

Jerzy Edigey:

CZEK DLA BIAŁEGO GANGU:

WIELKI SEN 2010

Redaktor serii Grzegorz CIELECKI

Projekt okładki i logo serii Rafał BARTLET

Redakcja techniczna Anna LEWANDOWSKA

Korekta Aleksandra BIŁY

© Jerzy STRZAŁKOWSKI

ISBN 978-83-62391-04-2

Wydawnictwo WIELKI SEN Al. Jana Pawła II 65/90, 01-038 Warszawa  
tel. 0-502-322-705 [www.klubmord.com](http://www.klubmord.com), [prezesik13@wp.pl](mailto:prezesik13@wp.pl)

Do ludzi stojących przed ósmą rano na przystanku trolejbusowym przy Alei Szucha na rogu Alei Ujazdowskich podbiegł młody mężczyzna.

- Tam - wskazał ręką - na Agrykoli leży jakiś człowiek. Jest nieprzytomny, zdaje mi się, że dostał ataku epilepsji. Szedł parę kroków przed nami i nagle upadł. Został przy nim mój kolega. Lecę zawiadomić Pogotowie. Gdzie tu może być najbliższy telefon? Może ktoś z państwa poszedłby tam, gdzie te krzaki...

Ktoś poradził, że najlepiej zatelefonować z pobliskiego gmachu Ministerstwa Oświaty, kilku zaś ludzi pośpieszyło na miejsce wypadku. Mężczyzna, który zaalarmował stojących na przystanku, pobiegł w kierunku szarego gmachu Ministerstwa.

Pośrodku ścieżki idącej z pobliskiej kolonii „fińskich” domków leżał młody mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym.

Choremu rozpięto kołnierzyk u koszuli i uniesiono głowę, ale zabiegi te nie przywróciły mu przytomności.

Gdy podnoszono mu głowę, żeby podłożyć pod nią czyjaś teczkę, chory jęknął, a po jego bladej jak papier twarzy przemknął grymas bólu.

- Ja chyba pobiegnę po trochę wody. Tu zaraz jest budka z piwem - zaofiarował się mężczyzna, którego tu zastano - a ktoś z państwa może stanie na chodniku koło jezdni, żeby zatrzymać karetkę. Bo z ulicy nic nie widać przez te krzaki.

Nikt nie protestował. Pewien starszy pan zgodził się stanąć na chodniku i czekać na karetkę Pogotowia, a tamten pobiegł szybko na Nowowiejską po wodę.

Pogotowie przyjechało w ciągu paru minut. Lekarz pochylił się nad

chorym, pobieżnie zbadał, po czym postanowił przewieźć go na Hożą. Ktoś powiedział, że dwaj panowie, którzy byli świadkami wypadku i zaalarmowali innych, gdzieś zniknęli. Zarówno ten, który pobiegł zatelefonować, jak i ten, który poszedł szukać wody, nie powrócili już na miejsce wypadku.

Tymczasem posługacz wraz z kierowcą ułożyli chorego przy pomocy lekarza na noszach i mały pochód skierował się do stojącej przy chodniku w Alejach Ujazdowskich karetki Pogotowia. Nosze wstawiono do samochodu, który natychmiast ruszył, przeciął jezdnię Alei i zniknął w ulicy Koszykowej.

- Mógłby umrzeć - zauważył starszy pan - gdyby trzeba było czekać na tę wodę, po którą pobiegł ten w czarnym płaszczu.

W Pogotowiu na Hożej troskliwie zaopiekowano się chorym. Lekarze stwierdzili silne uderzenie w tył czaszki i wstrząs mózgu. Przeprowadzone badania rentgenowskie nie wykazały pęknięcia czaszki.

Przy mężczyźnie znaleziono portfel z dwustu pięćdziesięcioma złotymi, portmonetkę z drobnymi, ręczny zegarek „Atlantic” oraz bilet miesięczny, dowód osobisty i legitymację aplikanta sądowego - wszystkie dokumenty na nazwisko Zygmunta Kalinkowskiego, lat 24, zamieszkałego w Warszawie, na kolonii domków fińskich w Ujazdowie. W legitymacji sądowej znajdowało się pismo prezesa sądu, kierującego aplikanta do prokuratury wojewódzkiej na praktykę. Wszystkie te papiery złożono na razie do depozytu.

- Pani Mario - zwrócił się lekarz dyżurny do jednej z pielęgniarek - zatelefonuje pani do prokuratury i zawiadomi ich o wypadku. Dobrze też będzie zapisać od razu, kto zawiadomił Pogotowie i kto znalazł chorego. Na pewno będą o to pytać.

Niestety pani Maria nie mogła spełnić w całości polecenia swojego szefa. Dowiedziała się tylko, że telefon był z Ministerstwa Oświaty, skąd ktoś zawiadomił, że na ulicy Agrykola leży człowiek chory na epilepsję. Lekarz natomiast, który wyjeżdżał do chorego, powiedział, że bezpośredni świadkowie wypadku zniknęli.

Kalinkowskiego zabrano tymczasem z sali opatrunkowej i przewieziono na czwarte piętro do małego szpitala urządzonego przy Pogotowiu. Lekarz dyżurny szpitala wypełnił „kartę choroby” i powiesił ją przy łóżku delikwenta, jeszcze raz pobieżnie zbadał puls i polecił pielęgniarce, żeby opiekowała się chorym aż do odzyskania przez niego przytomności.

\* Wielki gmach sądów przy ulicy Świerczewskiego w Warszawie tętnił codziennym, normalnym życiem. Dochodziła godzina dziesiąta, więc

przez oba wiatraki obrotowych drzwi wejściowych wlewała się do obszernego hallu prawdziwa rzeka ludzi. Adwokaci przed swoją szatnią odbierali togi i wkładali je w pośpiechu, idąc szerokimi schodami na wyższe piętra. W kiosku zaopatrywano się w gazety i papierosy. Wiadomo, obecność w gmachu sądu wiąże się najczęściej z wielogodzinnym wyczekiwaniem na swoją sprawę.

Woźni udzielali informacji, gdzie, na jakim piętrze znaleźć numer sali wymieniony na małym karteluszkę wezwania. Prokuratorzy szybkim krokiem przemierzali długie sądowe korytarze, śpiesząc do sal na rozprawy. Klienci szukali swoich adwokatów, adwokaci martwili się, czy już wszyscy świadkowie są na miejscu. Panujący tu ruch wzmagał jeszcze dziennikarze i zaprzysięgli kibice sądowi, a na obszerne podwórze sądowe zajeżdżały „suki” -karetki więzienne, przywożąc oskarżonych na rozprawy sądów karnych.

Na czwartym piętrze w Prokuraturze Województwa Warszawskiego było znacznie spokojniej niż na niższych piętrach. W tym dniu nie załatwiano tutaj interesantów, ale niektórzy niemający rozpraw prokuratorzy oraz urzędnicy pracowali w swoich pokojach. Właśnie z jednego z nich wyszła urzędniczka i zatrzymała przechodzącą przez korytarz koleżankę.

- Idę, Halina, do twojego szefa. Chcę, żeby mi podpisał zlecenia na to przepisywanie w godzinach pozabiurowych.

7

- Nie chodź dzisiaj. Kur zły jak chrzan. Nic nie załatwisz i tylko się narazisz.

- A co mu się stało?

- Wścieka się, że aplikanta jeszcze nie ma. Kazał mi go po wszystkich pokojach szukać, a panicz pewnie się gdzieś wieczorem zabawił i zasnął.

- Na co mu Kalinkowski?

- Wiesz przecież, Danko, że Kur prowadzi sprawę „białego gangu” i że przydzielono mu do pomocy Kalinkowski. Pisali akt oskarżenia. Był już gotowy i Kalinkowski miał tylko uzupełnić i poprawić paginację dowodów. Rano dzwonił szef prokuratury i prosił, żeby mu to Kur przyniósł na dwunastą godzinę do ostatecznego omówienia i akceptacji, a aktu nie ma. Kalinkowski pewno go zamknął w swojej szufladzie, więc Kur szaleje. No, lecę do niego. Przyjdź, kochana, jutro, może lepiej trafisz. A tymczasem w pokoju 483 wiceprokurator Jerzy Kur czekając na swoją sekretarkę i na swojego aplikanta rzeczywiście był w bardzo złym humorze, przy tym zmęczony i przepracowany. Od paru miesięcy sprawa „białego gangu” nie pozwalała mu wyjść z biura wcześniej niż późnym

wieczorem. Wszystkie plany urlopowe wzięły w łeb. W kinie nie był już chyba od dwu miesięcy, zapomniał również, jak wygląda teatr czy choćby kawiarnia. Ciągłe tylko konferencje z oficerami MO, niekończące się przesłuchiwanie „podejrzanych”, badania świadków i cała masa innych czynności „dochodzenia prokuratorskiego”. Wprawdzie aplikant Kalinkowski - prokurator Kur przyznawał to nawet w chwili gniewu - bardzo mu dopomógł w rozwikłaniu całej tej skomplikowanej sprawy, ale jak tu się nie złościć na niego? Wiedział doskonale, że dzisiaj on, wiceprokurator, ma ostatecznie ustalić treść aktu oskarżenia i omówić go z prokuratorem wojewódzkim dla definitywnego zakończenia dochodzenia. Roboty przy akcie oskarżenia było jeszcze sporo, a tu ten Kalinkowski zamknął sobie wszystko w biurku i spóźnia się do pracy. Kur wiedział, jak bardzo szef nie lubi, kiedy jego podwładni nie wywiązują się w terminie ze swoich za-

dań lub przynoszą mu rzecz nie wykończoną czy też wykonaną po łebkach. Nic więc dziwnego, że w miarę jak upływały minuty, humor wiceprokuratora ciągle się pogarszał.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu weszła sekretarka Halina Wilska.

- No i co? - zapytał niecierpliwie.

- Nigdzie go nie ma i nikt go nie widział. Nawet chodziłam do „stołecznej”, myślałam, że może wpadł po drodze do tej Zosi pod 511. Zawsze szuka pretekstu, aby tam iść. Ale ona go nie widziała od paru dni.

- A akt oskarżenia?

- Nikomu w swoim pokoju nic nie mówił. Pracował chyba do wieczora i wyszedł ostatni. Na pewno zaraz przyjdzie. Sekretarka usiłowała pocieszyć swojego szefa i, jak mówili złośliwi, a takich nie brakuje nawet w prokuraturze, swoją wielką sympatię.

- Zobacz jeszcze w szafie, tam gdzie są wszystkie akta „białego gangu”. Może włożył go do którejś z teczek.

Sekretarka posłusznie otworzyła stojącą w kącie pokoju dużą, żelazną szafę, wyjęła z górnej półki siedem obszernych jasnoróżowych teczek i przejrzała dokładnie wszystkie.

- Nie ma nigdzie. Nie ma nawet tego ostatniego tomu sprawy. Widocznie zamknął go razem z aktem w swoim biurku. Trzeba czekać.

Jerzy Kur usiłował zająć się jakąś inną pracą, lecz raz po raz nerwowo spoglądał na zegarek. Gdy minęła godzina dziesiąta, znowu zwrócił się do sekretarki:

- Za dwie godziny mam być u szefa. Muszę mieć ten akt oskarżenia. Nie możemy dłużej czekać.

W tej chwili zadzwonił telefon stojący na biurku prokuratora. Kur szybko złapał za słuchawkę.

- Tak, to ja. Słucham!... Słucham. Dziękuję. Powoli odłożył słuchawkę na widełki.

- Dzwonił sekretariat szefa. Pogotowie zawiadomiło ich, że Kalinkowski miał wypadek. Upadł na ulicy. Odwieziono go do szpitala na Hożą.

8

9

W otwartych przez woźnego szufladach aplikanta znaleziono trochę czystego papieru, druki protokołów „przesłuchania podejrzanego” i protokoły dla świadków.

- Nie ma aktu oskarżenia - denerwował się Kur.

- Ani aktu, ani ostatniego tomu sprawy „białego gangu” - dodała Wilska.

- W tomie tym były ostatnie zeznania oskarżonych. Tam był też ten list z Wiednia - wiceprokurator był do reszty zgnębiony. - Ale gdzie mogą być te akta?

- Kalinkowski pracował aż do zamknięcia gmachu. Widocznie nie skończył paginacji i zabrał akta ze sobą.

- Jak on mógł wziąć ze sobą akt oskarżenia i dokumenty?! - Prokuratora ogarniała coraz większa złość. - Przecież tego nie wolno robić. Ładnie ja będę wyglądał, gdy się szef o tym dowie. I co zrobić teraz bez tych dokumentów? Ten list z Wiednia! Nawet nie mamy jego odpisu. Sekretarce zrobiło się żal prokuratora. Siedział za biurkiem z tak zrozpaczoną miną, że chyba nawet „szef nie mógłby się na niego gniewać w tej chwili. Zresztą cóż on był winien temu, co zaszło. Kalinkowski przecież pracował nad sprawą, brał udział we wszystkich czynnościach dochodzenia prokuratorskiego, wiedział, jak władze zwierzchnie popędzały zarówno Kura, jak i MO, żeby jak najszybciej skończyć i przesłać akta wraz z oskarżeniem do sądu wojewódzkiego. Wiedział, że akt oskarżenia musiał być gotowy dzisiaj najpóźniej na godzinę dwunastą. Nic dziwnego, że skoro nie skończył roboty w biurze, to wziął akta do siebie do domu. Nie wolno wprawdzie było tego robić, ale nie było chyba w całym wielkim gmachu sądów ani jednego prokuratora ani sędziego, który mając termin na złożenie oskarżenia czy też napisania „motywów”, nie zrobiłby tego samego, co zrobił Kalinkowski. Trzeba akurat nieszczęścia z chorobą! Inaczej nikt by nie wiedział i nikt też nie zdziwiłby się, że ro-bota została zrobiona tak szybko.

- Proszę się nie martwić - Wilska uspokajała prokuratora - jeżeli

Kalinkowski zachorował idąc do sądu, to na pewno ma papiery ze sobą. Jeżeli nie, to papiery są u niego w domu.

Jerzy Kur chwycił się tej myśli.

- Niech pani zadzwoni na pogotowie - poprosił - telefon numer 8-24-24. Sekretarka ujęła słuchawkę.

- Tu prokuratura wojewódzka. Chciałam się dowiedzieć o aplikanta Kalinkowskiego. Przywieziono go do was dzisiaj rano.

- Aha! Dziękuję. - Panna Halina odłożyła słuchawkę i zwróciła się do prokuratora.

- Zły numer. To tylko biuro wezwań. Mówili, żeby dzwonić do informacji o wypadkach.

- Daj - zdecydował Jerzy Kar - zadzwonię po prostu do dyrektora. - Nakręcił numer znaleziony w książce telefonicznej.

- Poproszę dyrektora, doktora Mula.

- A gdzie jest? Nie można go zawołać? Tu mówi wiceprokurator Jerzy Kur. Bardzo ważna i pilna sprawa.

- Pani jest sekretarką doktora Mula? Do Pogotowia przywieziono dzisiaj naszego aplikanta, kolegę Zygmunta Kalinkowskiego. Miał przy sobie ważne akta prokuratury. Proszę o zabezpieczenie tych akt, zaraz po nie przyjedziemy.

- Tak. Będę czekał na telefon. Proszę dzwonić na centralę, wewnętrzny 483. Sprawa jest naprawdę bardzo pilna... Bardzo panią proszę. Czekam... W gabinecie zapanowało naprężone milczenie. Prokurator i jego sekretarka siedzieli bez słowa, wpatrując się jak urzeczeni w mały czarny przedmiot stojący na biurku. Ale uparty aparat długo milczał. Wreszcie rozległ się dzwonek. Kur szybko chwycił za słuchawkę.

- Tak! Słucham. Nie było żadnych papierów? Czy państwo dobrze sprawdzili? Na pewno nie było? Kiedy można będzie z nim mówić?...

Dobrze, zadzwonię. - Ręka trzymająca słuchawkę powoli opadła. Ostatnia nadzieja rozwiąła się.

10

11

- Pojadę do niego do domu - zaoferowała się Wilska - może akta są w domu. Gdzie on mieszka? - Sprawdziła adres w skorowidzu - domki fińskie na Ujazdowie. Już jadę!

- Pojadę z tobą - zdecydował prokurator.

- A szef? Dochodzi pół do dwunastej, a przecież pan wie, że szef nie lubi, jak się prokuratorzy spóźniają na konferencję.

- Nic na to nie poradzę, jeżeli nie ma aktu oskarżenia, to nie mam z czym

iść do niego. Chyba żeby mu powiedzieć, że zginęły również protokoły ostatnich przesłuchań oskarżonych i ważne dokumenty, między innymi ten list z Wiednia. Nie, z takimi nowinami nie potrzebuję się śpieszyć.

Jedziemy najpierw na Ujazdów.

O taksówkę przed gmachem sądów nie jest łatwo. Ale tym razem mieli szczęście. Właśnie jeden z adwokatów otwierał swojego „Moskwicza”. Chętnie zgodził się podrzucić prokuratora na róg Wiejskiej i Pięknej. W parę minut

byli na miejscu.

Jakaś uprzejma kobieta pomogła im trafić do drzwi właściwego domku. W chwilę potem otworzyła im starsza, siwa pani.

- Czy pani Kalinkowska? - zapytał prokurator.

- Nie, Zygmunt Kalinkowski jest moim siostrzeńcem. Państwo w jakiej sprawie?

- Jesteśmy z Prokuratury Wojewódzkiej, kolegami Zygmunta - Wilska ujęła inicjatywę w swoje ręce. - To jest pan prokurator Jerzy Kur, a ja jestem jego sekretarką. Halina Wilska - dodała przedstawiając się.

Starsza pani otworzyła szerzej drzwi.

- Proszę, państwo pozwolą do pokoju. Ale Zygmunta nie ma w domu. Jest w pracy. Jak to? Przecież państwo z nim pracują? Co się stało? Czy coś złego z Zygmuntem? - Kobieta dopiero teraz uprzytomniła sobie coś niezwykłego w tym, że koledzy jej siostrzeńca, prokurator i jego sekretarka, składają jej wizytę w czasie, gdy Zygmunt powinien być w pracy.

- Niech się pani nie lęka - Wilska starała się uspokoić panią domu. - Nie stało się nic złego. A właściwie nic wiel-

12

kiego. Zygmunt idąc do pracy nagle zachorował. Ale nic poważnego - dodała szybko. - Jest na Hożej, w pogotowiu i za parę dni będzie zdrow. To naprawdę nic poważnego.

- Bardzo państwu dziękuję za zawiadomienie mnie. Zaraz tam lecę.

- My właściwie mamy jeszcze jedną sprawę do pani. Zygmunt pracował tu w domu i zostawił swoje papiery. Chcielibyśmy je zabrać.

- A tak! Wczoraj siedział do późnej nocy i coś pisał. Nawet gniewałam się na niego. Ale żadnych papierów nie zostawił. Wrócił do domu późno, tylko zjadł kolację i od razu wziął się do pisania. Widziałam, jak rano Zygmunt kładł papiery do aktówki, taka różowa okładka i te papiery tak zszywane nitką. Chciałam mu dać śniadanie, a on tylko ręką machnął. „Zjem w bufecie” powiada. Złapał teczkę i wyszedł.

- Proszę pani - przerwał prokurator - te papiery na pewno muszą być tutaj. Niech pani sprawdzi. Może Zygmunt zapomniał teczki.

- Przecież mówię, co widziałam - starsza pani była nieco urażona. - Zygmunt wyszedł z teczką, taką żółtą, w ręku. Zresztą proszę do jego pokoju. Sami państwo zobaczycie.

Na biurku Kalinkowskiego prokurator znalazł kilka notatek i sporządzony przez aplikanta skorowidz dokumentów, którym widocznie posługiwał się przy paginacji aktu oskarżenia. Teczki w pokoju nie było.

Starsza pani powiedziała prawdę. Kalinkowski wyszedł z domu z teczką w ręku. Ale co się z nią stało?

Prokurator chciał się tego dowiedzieć na Hożej, lekarze jednak nie dopuścili go do chorego. Kalinkowski ciągle jeszcze nie odzyskał przytomności. Odnaleziony przez Jerzego Kura lekarz, który przywiózł chorego, przypomniał sobie, że wprawdzie Kalinkowski leżąc na ulicy miał pod głową jakąś teczkę, ale twierdził, że nie była żółta, lecz czarna. Posługacz nawet pamiętał, że teczkę tę wziął starszy pan, który ich pierwszy zatrzymał w Alejach Ujazdowskich i pokazał, gdzie się znajduje delikwent.

13

Zgnębiony prokurator wrócił do swojego gabinetu, gdzie woźny poinformował go, że „szef parę razy dzwonił, a nawet przysyłał swoją sekretarkę i prosił, żeby Kur do niego natychmiast przyszedł, gdy tylko wróci do biura. O wypadku Kalinkowskiego „szef już wiedział, gdyż to właśnie jego sekretarka odbierała telefon z pogotowia. Wiadomość o zaginięciu dokumentów również drogą „pantoflowej poczty" musiała już do niego dojść. Nic więc dziwnego, że wiceprokurator wchodził do gabinetu swojego zwierzchnika z duszą na ramieniu.

Prokurator wojewódzki uważnie wysłuchał opowiadania Jerzego Kura. Znał go doskonale z wieloletniej współpracy i wiedział, jak sumiennym i pracowitym prawnikiem był wiceprokurator. Miał też pozytywną opinię o Zygmuncie Kalinkowskim, który dał się poznać jako młody, doskonale zapowiadający się prawnik. Zdał egzamin z pierwszą lokatą i obecnie właściwie już nie był aplikantem adwokackim, tylko czekał na etat w Prokuraturze w Płocku, dokąd chciał wrócić. Jeżeli Kalinkowski wziął akta do domu, to wprawdzie wykroczył przeciwko przepisom, ale zrobił to nie ze złej woli, tylko żeby dokończyć pracy. Zresztą prokurator przyznawał w duchu, że szukając współwinnych musiałby i siebie w ich poczet zaliczyć. Mało to razy „piłował" podległych sobie prokuratorów o jak najszybsze zakończenie tej sprawy?

Z kolei jego ponagliła Prokuratura Generalna, prasa zaś „najeżdżała” na Prokuraturę Generalną, że jedna z największych i najbardziej pomysłowych afer ostatnich lat - afera „białego gangu” - pozostaje ciągle nierozszyfrowana.

- Są dwie ewentualności - powiedział szef prokuratury - albo teczkę świsnął jakiś przygodny złodziejaszek, a wtedy na pewno ją odnajdziemy gdzieś na ulicy, albo... albo to nie był wypadek, jak chce pogotowie, tylko zamach na Kalinkowskiego właśnie w celu zdobycia dokumentów. Wtedy naturalnie będzie je znacznie trudniej znaleźć. Co do samego Kalinkowskiego, to nawet po odzyskaniu przytomności na pewno niewiele będzie mógł nam powiedzieć

14

o wypadku. W każdym razie trzeba o wszystkim zawiadomić Komendę Stołeczną MO. Niech rozpoczną normalne śledztwo i niech szukają tej przeklętej żółtej teczki.

- Może lepiej pan prokurator zawiadomi Komendę Główną MO. Mam tam przyjaciela jeszcze z uniwersytetu, z prawa. Major Krzyżewski. Żeby jemu dali tę sprawę.

- KGMO? - prokurator zawahał się nieco. - Nie będą chcieli bawić się z takim drobiazgiem. Zresztą w Pałacu Mostowskich nie lubią, jak się ich pomija w kompetencji.

- Jakoś bym to załatwił - prosił Jerzy Kur - teraz mają urlopy. Dużo pracy, mało ludzi. Chętnie pozbędą się kłopotu. A jak w KGMO pan prokurator zadzwoni do pułkownika Włochowicza, to on na pewno pójdzie nam na rękę. A z majorem ja sam porozmawiam, żeby wziął tę sprawę. Przecież w tej teście był list z Wiednia. Ten, kto go posiada, może zainkasować w „Donaubanku” sumę 80 000 dolarów. „Biały gang”, a tylko on mógł zorganizować napad, na pewno będzie próbował podjąć te pieniądze.

- Przecież wszyscy ważniejsi z „białego gangu” już siedzą - protestował jeszcze prokurator.

- Ważniejsi siedzą, ale czy wszystkich już ujęliśmy? Wcale nie jestem tego pewien. Nie mamy jeszcze księgowego Macioszka. Listy gończe nie dały jak dotychczas żadnego rezultatu. A mogli być przecież jeszcze inni. W tym bałaganie, jaki panował w fabryce, i przy zniszczeniu wielu śladów mógł się uchować na wolności niejeden „wtajemniczony”.

- No dobrze - zgodził się prokurator - jeżeli KGMO wyrazi zgodę zajęcia się tą sprawą, to nie mam nic przeciwko temu. A do pułkownika Włochowicza mogę zadzwonić. Co do samej sprawy, to nie czekajcie, aż się akta znajdą, tylko co można, to od razu odtwarzać. Wszystkich z

„białego gangu" jeszcze raz przesłuchać. No i, naturalnie, trzymać sprawę w tajemnicy.

Trzymać sprawę w tajemnicy - powtarzał sobie Jerzy Kur wracając do swojego pokoju. - Ładna tajemnica, jak już na pewno cały gmach trzęsie się od plotek.

Miał rację. Wiadomość o wypadku Kalinkowskiego i zaginięciu teczki z aktami obiegła wszystkie pokoje Prokuratury

15

Wojewódzkiej, stamtąd powędrowała do Prokuratury Stołecznej, aby później trafić na „dzielnice", następnie do sekretariatów i gabinetów sędziów wszystkich sądów mieszczących się w wielkim gmachu przy ulicy Świerczewskiego, nie wyłączając Sądu Powiatowego dla miasta Pruszkowa.

Nim prokurator Kur zdążył się podzielić z Wilską wiadomościami o przebiegu konferencji w gabinecie „szefa", otworzyły się drzwi i do pokoju weszła panna Zosia Sama-szkówna, jedna z najładniejszych urzędniczek Prokuratury Stołecznej. Ta, którą Halinka trochę słusznie podejrzewała o flirt z głównym bohaterem dzisiejszych wydarzeń.

- Co się u was dzieje? Dlaczego siedzicie z takimi ponurymi minami? Czy to prawda, że Kalinkowski jest w szpitalu? - panna Zosia zadawała pytania, nie czekając nawet odpowiedzi. - Podobno zginął jakiś akt oskarżenia? No to macie ładny bal. Nie zazdroszczę!

- Nie żartuj - powiedziała Wilska - akt oskarżenia to jeszcze głupstwo. Gorzej, że Kalinkowski jest ciągle nieprzytomny i że razem z aktem zginęła teczka z dokumentami, a wśród nich bardzo ważny list jednego z banków w Wiedniu. Podstawowy dokument w sprawie. Ale co ci jest? Zosia Samaszkówna zbladła nagle, zachwiała się i byłaby chyba upadła, gdyby prokurator Kur nie podtrzymał słaniającej się dziewczyny.

- To nic, to nic! - powiedziała. - Nie wiedziałam, że Zygmunt jest tak chory - dziewczyna starała się opanować. -Dziękuję panu prokuratorowi, mało brakowało, bym zemdląca.

- Ładne rzeczy - prokurator usiłował żartować - mielibyśmy teraz aż dwoje nieprzytomnych. Co to znaczy prawdziwa miłość.

- Zaraz miłość — ofuknęła go panna Zosia. - Ładny chłopak i lubię go. Pana przecież też lubię. Też bym żałowała, gdyby pan był tak chory. No, muszę wracać do siebie. Proszę, pozdrówcie przy okazji Zygmunta ode mnie -i szybko wybiegła z pokoju.

- Nie wiedziałam wcale - powiedziała Wilska - że tak się zadurzyła w tym Zyguncie. Przecież on ma narzecz-

na w Płocku i nieraz mi mówił, że się natychmiast ożeni, jak tylko dostanie pracę w tamtejszej prokuraturze. Podobno ładna i bogata dziewczyna, córka jakiegoś doktora. Mają własną willę na Radziwiu. W tej chwili zadzwonił telefon. To prokurator wojewódzki zawiadamiał, że rozmawiał z pułkownikiem Wło-chowiczem, który zgodził się, żeby KGMO przejęła śledztwo w swoje ręce.

Wiceprokurator bardzo się ucieszył tą wiadomością.

- Odwiedzę dzisiaj majora Krzyżewskiego i poproszę go, aby wziął tę sprawę. To mój stary przyjaciel i ma pewne zobowiązania wobec mnie. Jeden z najzdolniejszych oficerów śledczych na „Ksawerowie”. Jeśli on tej teczki nie znajdzie, to nikt inny też jej nie znajdzie. Jestem jednak pewien, że da sobie radę, choćby miał ją spod ziemi wydostać.

Ale pokój nr 483 przeżył tego dnia jeszcze jedną „inwazję”. Tuż przed godziną piętnastą do gabinetu prokuratora Kura wpadł zdyszany sprawozdawca „Expressu Wieczornego”, znany i popularny w całym gmachu sądów redaktor Stefan Bociański. Przywitał się serdecznie z prokuratorem, szarmancko pocałował Wilską w rękę, opowiedział parę ploteczek i dowcipów i wreszcie niewinnie zapytał:

- A co się dzieje z Kalinkowskim? Chciałbym się z nim zobaczyć.

- Chory biedak - odpowiedziała Wilska - musi pan przyjść innym razem. Może jutro.

- Co tam typujemy na niedzielę, redaktorze? - Kur starał się zmienić temat rozmowy, wiedząc, że drugą obok sądów namiętnością dziennikarza są „koniki”. Przyjaciele nawet nazywali go krótko „Koń”.

Ale pan Stefan nie pozwolił zbić się z tropu.

- Macie podobno jakieś kłopoty przez tego Kalinkowskiego. Jakies papiery czy coś tam zgubił. Tak tu mówią...

- Ech, po prostu plotki - zbagatelizował pytanie prokurator - ktoś głupi coś wymyślił, a inni powtarzają. Nie ma się czym interesować, redaktorze. To nie dla „Expressu”!

Nic ciekawego. Za to przyrzekam, że jak tylko sprawa „białego gangu” będzie zakończona, to pan pierwszy ją dostanie. Nawet przed „Życiem”. Bociański chwilę jakby się zastanawiał i wreszcie wyciągnął rękę do prokuratora.

- No to umowa stoi. Nic nie wiemy. Ale za to dostanę „gang” pierwszy. Nawet przed „papem”.

- Zgoda - odpowiedział prokurator żegnając redaktora.

3 . Tego samego dnia, parę minut po ósmej wieczorem, prokurator Jerzy Kur wchodził do jednego z mieszkań kamienicy przy ulicy Wołowskiej.

- Dobry wieczór, panie Jerzy - powitała prokuratora pani Maria Krzyżewska - już nawet zapomniałam, jak pan wygląda. Od paru miesięcy nie dał pan nawet znaku życia. Kilka razy pytałam męża o pana, ale i on nic nie wiedział.

- Praca, pani Mario, praca - tłumaczył się Kur witając panią domu - nawet i dzisiaj, szczerze mówiąc, nie przyszedłbym do was, gdyby nie pilny interes do męża. Dzwoniłem kilkakrotnie, ale słuchawki nikt nie podnosił.

- Telefon w porządku, tylko Stach wyjechał służbowo do Zambrowa, ale mówił, że koło szóstej wróci, więc chyba przed dziewiątą się go doczekamy. Stale jest teraz w rozjazdach.

Krzyżewscy dopiero od dwóch lat mieszkali w Warszawie. Przedtem Stanisław Krzyżewski, który po skończeniu prawa wstąpił do milicji, najpierw porucznik, a później kapitan MO, pracował we Wrocławiu w Komendzie Miejskiej, a następnie w Komendzie Wojewódzkiej MO. Parę udanych akcji, między innymi wyjaśnienie zagadkowego morderstwa, gdzie jedynym śladem był szkielet bez dwu palców lewej ręki, wykrycie słynnej kradzieży obrazów z Muzeum Wrocławskiego, ujęcie wielokrotnego mordercy Władysława Baczyńskiego, zwanego „diabłem, który przychodzi w nocy” - wszystko to zwróciło uwagę „góry” na zdolnego, wyróżniającego się ciekawymi metodami i koncepcjami prowadzenia śledztwa oficera. Rezultatem tej uwagi były dwa paski i gwiazdka na naramiennikach munduru i służbowe przeniesienie do stolicy, do Komendy Głównej MO.

Stanisław Krzyżewski chętnie wrócił do swojego rodzinnego miasta, natomiast pani Maria przyjęła ten awans początkowo z wielkim niezadowoleniem. Żal jej było opuszczać obszerną, wygodną willę na Zalesiu. Drugą przyczyną niezadowolenia pani Marii z awansu męża były jego częste wyjazdy służbowe. Na szczęście major Krzyżewski miał tylu znajomych i przyjaciół, że szybko utworzyło się miłe kółko towarzyskie, które pozwoliło jego żonie pogodzić się ze stolicą. Jednym z częstych gości na Wołowskiej był właśnie Jerzy Kur - kolega i przyjaciel majora jeszcze ze szkolnych czasów. Pani Krzyżewska, ulubionym zwyczajem wszystkich kobiet, od pierwszych dni pobytu w stolicy usiłowała go wyswatać, ale jak dotychczas prokurator zdołał wyjść obronną ręką z tych wszystkich misternie nań zastawionych pułapek i zachować swój stan cywilny. Być może, że jedną z przyczyn tego była właśnie Halina Wilska, która coraz bardziej podobała się swojemu szefowi, ale która nieraz

dawała mu do zrozumienia, że owszem, miły, przystojny wiceprokurator bardzo jej odpowiada, ale... w grę może wchodzić tylko małżeństwo. Na tę ostateczność Kur jakoś nie mógł się zdecydować.

Major wrócił do domu w dobre pół godziny po przyjściu Kura. Oznajmił żonie, że jest głodny jak wilk i wypytywał przyjaciela o ostatnie nowinki z prokuratury. Był w doskonałym humorze. Wyprawa do Zambrowa udała się znakomicie. Złapali na gorącym uczynku wiejskiego kowala, który wykupywał garnki aluminiowe i z nich „domowym sposobem” fabrykował pięciozłotówki, wyręczając w ten sposób mennicę państwową.

- To był świetny interes - śmiał się major - z jednego garnka, kosztującego kilkadziesiąt złotych, ten spryciarz fabrykował ponad dwieście piątek.

Puszczał je w obieg co czwartek na targu w Zambrowie.

Gdy już gospodarz zaspokoił pierwszy głód i obaj panowie dostali po filiżance czarnej kawy, major pytająco spoj-

18

19

rzał na swojego gościa. Doskonale rozumiał, że nie sama przyjaźń sprowadziła go na Wołowską i kazała czekać aż do wieczora na jego powrót.

Prokurator pokrótce streścił przebieg wydarzeń dzisiejszego dnia i nie ukrywał skutków, jakie dla całej sprawy i dla niego osobiście miało tajemnicze zniknięcie dokumentów.

- Musisz mnie ratować z tej kabały, nie jestem wprawdzie winien temu, co się stało, ale sam rozumiesz, taka sprawa może się odbić nie tylko na tym dochodzeniu, ale i na całej mojej pozycji w prokuraturze. Tym bardziej, że sam prosiłem o powierzenie mi dochodzenia przeciwko „białemu gangowi”, i Kalinkowski był moim protegowanym. Lubilem tego chłopca i specjalnie postarałem się o przydzielenie mi go do pomocy.

Major uśmiechnął się, słuchając przyjaciela opowiadającego o swoich tarapatach.

- Może - wyraził przypuszczenie - teczkę po prostu skradziono licząc na jej zawartość, a dokumenty złodziej gdzieś podrzuci. Przecież nie mają dla niego żadnej wartości. Również zaaresztowani nic na tym nie skorzystają; tyle chyba, że dochodzenie przedłuży się o parę miesięcy.

- To wszystko prawda - zgodził się Kur - ale boję się, że jest inaczej. Ten, kto wziął teczkę, doskonale wiedział, dlaczego ją bierze. Przecież tam było pismo „Donaubanku”. Ten dokument dla „białego gangu” ma wartość osiemdziesięciu tysięcy dolarów, i to płatnych za granicą, w Wiedniu. Obawiam się, że złodziejowi chodziło właśnie o ten list.

- No cóż - zgodził się major - właśnie jestem od dziś „bez przydziału” i jeżeli dadzą mi tę sprawę, to chętnie ci pomogę. Ale proszę o jedno, zanim będę o niej rozmawiał z pułkownikiem Włochowiczem, powiedz mi coś niecoś o tym twoim „białym gangu”. Ciągłe używasz kryptonimu, a ja mam mniej niż zielone pojęcie, co to jest. Czytałem drobne wzmianki w prasie przed paru miesiącami, ale później już ani słowa. O co tam właściwie chodzi?

- Prasa nic nie pisze, bo przed sporządzeniem aktu oskarżenia nie udzieliliśmy jej informacji. Otóż jedna z ce-

20

mentowni województwa warszawskiego produkuje cement specjalny, tak zwany „cement szybkoosprawy 404”. Cementu tego używa się w budownictwie wodnym przy wznoszeniu tam rzecznych i umacnianiu skał przy budowie zapór w górach. Jest on oczywiście znacznie droższy od normalnego cementu i jest bardzo poszukiwany zarówno w kraju, jak i na rynkach zagranicznych. Toteż cementownia ta produkuje głównie na eksport, przede wszystkim do Austrii, Szwecji i Norwegii - państw specjalizujących się w budowie zapór i elektrowni wodnych w górach. Cement szybkoosprawy „404” ma również nieco inny wygląd od używanego na potrzeby zwykłego budownictwa. Jest prawie biały jak mąka. Stąd nazwa „biały gang”.

Materiały budowlane eksportujemy za pośrednictwem Centrali Handlu Zagranicznego „Budex”. Mniej więcej przed dwoma laty „Budex” otrzymał reklamację z Austrii

o jakość naszego cementu. Wysłano więc za granicę paru fachowców, między innymi inżyniera Lisowskiego, jednego z dyrektorów cementowni. Na miejscu okazało się, że cement jest dobry, tylko na budowie nie bardzo się z nim umiano obchodzić i nie przestrzegano właściwych proporcji żwiru i wody. Cała sprawa skończyła się więc dla „Budexu” pomyślnie, nabywca cofnął swoje pretensje.

Ale dyrektor Lisowski wykorzystał pobyt w Wiedniu dla nawiązania kontaktu z innym konsorcjum, budującym zapórę wodną w Alpach Austriackich, gdzieś pod Linzem. Konsorcjum to również na gwałt potrzebowało cementu szybkoosprawy „404”, więc Lisowski występując w imieniu cementowni, z pominięciem „Budexu”, sprzedał im kilkanaście tysięcy ton. Właściwie nie sprzedał, tylko mając przy sobie blankiety firmowe i pieczętę fabryki zawarł umowę na dostawę cementu, uzgodnił terminy dostawy

i sposób zapłaty oraz zainkasował dużą zaliczkę. Trudno, naturalnie,

powiedzieć coś pewnego, zdaje się jednak, że przedstawiciele konsorcjum, nie znając struktury naszego handlu zagranicznego, działali w dobrej wierze i rzeczywiście myśleli, że podpisują umowę z upoważnionym przedstawicielem cementowni.

21

Lisowski nie zaryzykował zainkasowania zaliczki i po prostu ucieczki. Bał się, że za przestępstwo popełnione w Austrii „Interpol” będzie go szukał po całym świecie. Wrócił z pieniędzmi do kraju i tutaj zorganizował prawdziwy gang. Za pomocą fałszywych danych zaniżono - oczywiście tylko na papierze - produkcję cementowni. Fałszowano wagi wysyłanych do Austrii transportów cementu, posługiwano się również fałszywymi listami przewozowymi. Banda na punkcie granicznym miała swoich ludzi, którzy zręcznie zmieniali i przeadresowywali wychodzące z Polski wagony z cementem. Kilkunastu ludzi, dobrze opłacanych przez Lisowskiego, zdołało w ten sposób wysłać za granicę poważną ilość cementu. Każdy pociąg wychodzący z cementem do Austrii miał, obok wagonów wysyłanych na podstawie dyspozycji „Budexu”, również i ładunek przeznaczony dla konsorcjum w Linzu. To była naprawdę koronkowa robota, zapięta na ostatni guzik. I prawdopodobnie głównemu spryciarzowi udałooby się zrealizować w całości swoją prywatną umowę, a później, przy pierwszej okazji, podjąć pieniądze za granicą i „wybrać wolność”.

Wsypa nastąpiła właściwie przypadkowo. Miejscowy posterunek MO w miasteczku, gdzie znajduje się cementownia, zwrócił uwagę, że niektórzy robotnicy z fabryki i niektórzy kolejarze raptownie „podnieśli swą stopę życiową”. Jak to zwykle bywa - radio, telewizor, gdzie indziej nowa „Jawa” i popijawy z koleżkami w miejscowej gospodzie. Kierownik posterunku myślał, że to pewnie jakaś kradzież z cementowni lub na stacji - kilku worków cementu na potrzeby miejscowego, nielegalnego budownictwa. Niewiele się więc zastanawiając przymknął paru facetów. Dowodów nie znalazł i musiał ich po 48 godzinach wypuścić. Posłał raport do „powiatówki”, gdzie mu dobrze zmyto głowę, ale gdzie mimo to zainteresowano się całą sprawą. Przeprowadzono już bardziej dyskretny wywiad i zaczęto po kolei zapraszać do siebie na rozmowy różnych ludzi z fabryki. Z tych dochodzeń zebrano tyle materiału, że nie ulegało wątpliwości, iż w cementowni dzieją się ja-

22

kieś cuda. Ale nawet wówczas, kiedy już Komenda Powiatowa MO doszła do pewnych rezultatów, nie przypuszczano nawet, że to afera na skalę

międzynarodową i że zamieszani są w nią nawet dyrektorzy.

A tymczasem Lisowski nie próżnował. Gorączkowo organizował wysyłkę ostatnich transportów, a jednocześnie on i jego współpracownicy jak mogli, tak zacierali ślady. W wywołanym przez nich pożarze w gmachu dyrekcji fabryki, szybko zresztą ugaszonym, „dziwnym trafem” spłonęła prawie cała księgowość cementowni. Zginęły też na stacji wtórniki listów przewozowych i wykazy numerów wagonów podstawianych na bocznice cementowni. Działano tak przemyślnie, że nawet odpowiednio uszkodzono wszystkie wagi w fabryce i wagę wagonową na stacji. Nic dziwnego, że męczymy się z tą sprawą od tyłu miesięcy. Trzeba prawie wszystko, nawet produkcję dzienną cementowni za ten cały okres, ustalać na podstawie zeznań świadków i na podstawie ekspertyz biegłych. Bo dowody są zniszczone lub tak ukryte, że do tej pory nie potrafiliśmy ich odnaleźć.

Po rozpoczęciu dochodzenia i po pierwszych aresztowaniach Lisowski z resztą gangu, będącą jeszcze na wolności, próbowali innymi sposobami ukryć całą sprawę. Płacąc rodzinom aresztowanych i porozumiewając się w jakiś sposób z zatrzymanymi, zdołano namówić ich do wzięcia całej winy na siebie i przyznania się, że kradli cement i sprzedawali go w kraju - głównie do Warszawy. Nawet sprokurowano różne dowody dla potwierdzenia tych zeznań.

Sprawy nie dało się jednak zatuszować. Coraz to nowy członek bandy wpadał w sidła śledztwa. Coraz więcej ludzi zaczynało „sypać”. Niektórzy zaczęli nawet „pryskać”. Tylko Lisowski tkwił do końca na posterunku. Trzeba przyznać, że nie mogliśmy mu niczego dowieść, aresztowani solidarnie milczeli, gdy pytaliśmy o ich dyrektora. Wyglądało nawet na to, że Lisowski jest niewinny, bo pozornie pomagał nam w prowadzeniu dochodzenia i nie usiłował uciec. A tymczasem, jak się później okazało, Lisowski miał już

23

wszystko przygotowane do wyjazdu za granicę. Czekał tylko na list. Na pismo z „Donaubanku”, że konsorcjum wpłaciło resztę należności za cement. Nie mógł po prostu opuścić ani na chwilę cementowni, bo lada dzień poczta mogła przynieść długo oczekiwane zawiadomienie.

List zgodnie z przypuszczeniem Lisowskiego nadszedł, ale na szczęście nie dotarł do rąk adresata. Udało nam się przejąć go wcześniej. Z tą chwilą rola Lisowskiego jako organizatora i przywódcy gangu została zdekonspirowana. Aresztowany, przyznał się po pokazaniu mu pisma do większości zarzucanych mu przestępstw, a tylko usiłował zmniejszyć

rozmiary popełnionych nadużyć.

Pismo „Donaubanku” skierowane do dyrekcji cementowni zawiadamiało, że konsorcjum wpłaciło osiemdziesiąt tysięcy dolarów do dyspozycji cementowni. Kwotą tą, zgodnie z umową i ze zleceniem konsorcjum, może dysponować dyrektor Lisowski lub osoba przez niego upoważniona, pod warunkiem okazania wspomnianego listu. Był to więc rodzaj czeku zablokowanego i wystawionego na zlecenie Lisowskiego.

Sam więc rozumiesz - kończył swoje opowiadanie prokurator - jak ważnym jest dla nas odzyskanie tego czeku. Na jego podstawie każdy członek gangu po dotarciu do Wiednia może zainkasować ogromną sumę, osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

- No, nie bardzo - zauważył major - oprócz listu musi też mieć upoważnienie Lisowskiego do odbioru tych pieniędzy.

- A skąd możemy wiedzieć, że Lisowski przed aresztowaniem nie zostawił takiego upoważnienia, a choćby podpisu „in blanco” na zwykłej kartce papieru? Zresztą tutaj chodzi o 80 000 dolarów, to jest prawie o osiem milionów złotych, licząc po kursie czarnej giełdy. Przy takich pieniądzach mury więzienia mogą nie być istotną przeszkodą dla uzyskania potrzebnego upoważnienia.

Poza tym ustaliliśmy, że „biały gang” ma swojego „stałego” przedstawiciela w Wiedniu, jednego z tych wycieczkowiczów, którzy w drodze na Olimpiadę w Rzymie urwa-

24

li się w Austrii z wycieczki „Motor-Turistu”. Ten facet „reprezentował” cementownię wobec konsorcjum i załatwiał wszelkie sprawy związane z transportem kradzionego cementu za granicą. On również podnosił w „Donaubanku” różne, dużo mniejsze kwoty i przysyłał je Lisowskiemu do Polski. Być może, że ten gość ma upoważnienie Lisowskiego do odbioru pieniędzy. Na pewno zaś ma zarówno blankiety firmowe cementowni, jak i jej pieczęć. Ostatecznie sfabrykować czyjś podpis, mając takie akcesoria, nie jest już wielką sztuką.

- Nie rozumiem jednego. Dlaczego nie trzymaliście tego czeku w kasie pancernej lub nie zdeponowaliście go od razu w Narodowym Banku Polskim?

- Mądry Polak po szkodzie. W dużej mierze usprawiedliwia nas to, że przecież wszystkie akta „białego gangu”, a więc i teczkę z czekiem trzymamy właśnie w opancerzonej stalowej szafie. Pieniądze i mniej wartościowe przedmioty deponujemy zazwyczaj w kasie Sądu Wojewódzkiego. Waluty zagraniczne, złoto i klejnoty składamy w

Narodowym Banku Polskim. Ten czek właściwie nie podlegał ani pierwszej, ani drugiej kategorii.

- A jednak była to pewna lekkomyślność! - stwierdził major.

- Teraz każdy tak mówi. Ale weź pod uwagę i to, że czek jest imienny, wystawiony na inżyniera Lisowskiego, którego przecież mamy w swoim ręku. Poza tym czek ten był nam stale potrzebny przy niemal wszystkich czynnościach śledztwa jako ważny dowód winy oskarżonych. I to niestety zemściło się dziś na nas. Szczerze mówiąc, nie jestem tu bez winy. I dlatego właśnie przyszedłem prosić cię o ratunek.

- A dlaczego nie położycie aresztu na tej sumie za pośrednictwem odpowiednich władz austriackich?

- Widzisz! Tu jest nasza słaba strona. W żadnym państwie handel zagraniczny nie lubi „publicznego prania brudów”. Dlatego i nasi panowie z MHZ i z „Budexu” kategorycznie zastrzegają się przeciwko nadawaniu sprawie jakiegokolwiek rozgłosu. To wiąże nam ręce. Musimy dzia-

25  
łać tylko w kraju i tylko normalnymi „milicyjnymi” sposobami. Robimy więc dobrą minę do złej gry. A co do tych pieniędzy, to „Budex” miał przelać je na swoje konto za pomocą cichego porozumienia między naszym Bankiem Handlowym a „Donaubankiem”. Oczywiście „Budex” do prowadzenia tych rozmów musi mieć czek w swoim posiadaniu. W tej sytuacji jest nam bardzo niewygodnie zastrzec sobie wypłatę czeku, co zresztą nie byłoby takie proste z punktu widzenia prawa czekowego. Wątpię nawet, czy w sądzie austriackim uzyskalibyśmy takie zastrzeżenie. Przecież dla zagranicznego sądu jedyną podstawą wypłaty czeku jest umowa. A tę umowę podpisał Lisowski i on też ją całkowicie zrealizował. Fakt, że przy realizacji dostaw okradł skarb państwa i że nawet nie miał prawa podpisywać takiej umowy, jest dla sądu austriackiego tylko sprawą wewnętrzną Polski. Z punktu widzenia zarówno odbiorcy cementu, jak i Austrii, Lisowskiemu te pieniądze się należą. Reszta to już dziedzina prawa karnego obowiązującego w innym kraju.

- Czy wszyscy z „białego gangu” zostali aresztowani? -zapytał major.

- Nie! Uciekł jeden z przywódców. Główny księgowy, Adam Macioszek. Rozpisano za nim listy gończe, ale bez rezultatu. Właściwie to tylko dzięki niemu Lisowski zdołał rozkręcić całą aferę. To właśnie Macioszek, odpowiednimi manipulacjami księgowymi, stworzył sztuczną superatę cementu w magazynie i zorganizował całą historię z podstawieniem wagonów pod ładunek cementu.

- Kawaler czy żonaty i czy ma krewnych w Warszawie?

- Żonaty, troje dzieci. Dwie starsze córki zamężne. Jedna w Lublinie, druga wyszła za mąż za urzędnika w tym samym miasteczku. Najmłodszy syn kończy politechnikę.

- W Warszawie?

- Nie, w Krakowie. Szukając Macioszka ustaliliśmy przede wszystkim jego kontakty rodzinne, aby tą drogą wpaść na ślad zbiega. W Warszawie, jak nam się zdaje, nie ma on nikogo. Z rodziną, która jest pod obserwacją, nawet nie próbował się kontaktować.

- Otóż myślę, że pierwszą rzeczą, którą należy zrobić w tej sprawie, jest ostrzeżenie wszystkich punktów granicznych, by zwróciły uwagę na wszystkie papiery w języku niemieckim, które mogą się znaleźć u ludzi wyjeżdżających z Polski. Trzeba bowiem pamiętać, że list może być wysłany za granicę również za pośrednictwem osób trzecich, a nawet cudzoziemców. W ten sposób Macioszek, jeśli to on zdobył czek „Donaubanku”, zmniejsza ryzyko wpadki - dzieli je na połowę.

- To już zrobiliśmy - powiedział prokurator. - Nie czekając na oficjalne wszczęcie śledztwa, prokurator wojewódzki, a właściwie Prokuratura Generalna na jego wniosek wydała odpowiednie ostrzeżenia. Nawet opisaliśmy wygląd dokumentu.

- Doskonale - ucieszył się major - ale musicie stale pilnować, żeby to zarządzenie było wykonywane. Wiem, jak to wygląda na punktach granicznych. Celnicy otrzymali ostrzeżenie, a z nim nadzieję na wysoką nagrodę za złapanie tak cennego przemytu. Przez pierwsze kilka dni będą się rzucać na każdy, nawet najdrobniejszy świstek papieru zapisany w języku niemieckim. Potem przyjdą nowe ostrzeżenia i zajmą się innymi rzeczami. Nawiasem mówiąc wątpię, żeby można było tak obstawić granicę, aby złapać małą kartkę papieru. Powiedz mi jeszcze jak się czuje Kalinkowski.

- Idąc do ciebie wstąpiłem do Pogotowia. Do chorego wprowadzić mnie nie dopuszczono, ale lekarz poinformował, że Zygmunt odzyskuje przytomność. Jeśli nie zajdą jakieś komplikacje, to jutro będzie można z nim porozmawiać. Wybieram się do niego z samego rana.

- Zróbmy inaczej - zaproponował major - będę od rana na Ksawerowie i postaram się, żeby to właśnie mnie dano tę sprawę. Jeżeli mi się uda, to zadzwonię do ciebie i razem pojedziemy na Hożą. Od razu oficjalnie przesłucham tego Kalinkowskiego i będziemy wiedzieli, czego się trzymać. Czy masz świadków wypadku?

- Nie mam! Kalinkowskiego znaleźli na ulicy jacyś przechodnie. Zatelefonowali po pogotowie i zaopiekowali się

26

27

chorym. Wszyscy się śpieszyli, a lekarz, który przyjechał, szybko przetransportował chorego samochodem na Hożą. Nawet nie przyszło mu na myśl, żeby kogokolwiek wylegitymować.

- Szkoda - powiedział Krzyżewski - to również musimy wyjaśnić. Na pewno w Pogotowiu będą wiedzieli, skąd telefonowano.

- To już wyjaśniłem. Telefonowano z gmachu Ministerstwa Oświaty.

Dzwonił portier. Zapytany przeze mnie wyjaśnił, że telefonował na prośbę jakiegoś człowieka, który zawiadomił, że na ulicy leży epileptyk. Niestety, portier nie pamięta wyglądu tego człowieka. To było tuż przed rozpoczęciem pracy i w hallu panował duży ruch.

- Widzę, że prokuratura i bez naszej pomocy energicznie prowadzi dochodzenie - uśmiechnął się major.

4. Zgodnie z umową major Krzyżewski zadzwonił do prokuratora Jerzego Kura. Obaj panowie umówili się na godzinę jedenastą w gmachu Pogotowia, w poczekalni na parterze. Ponieważ lekarze wyrazili zgodę na widzenie z Kalinkowskim, pielęgniarka zaprowadziła ich na czwarte piętro, gdzie w jednej z paru salek małego szpitalika leżał chory.

- Proszę rozmawiać z chorym najwyżej 10-15 minut i nie denerwować go. Jeszcze nie jest z nim najlepiej. Dość poważny wstrząs mózgu - uprzedzał lekarz.

Kalinkowski leżał na brzuchu i nie mógł prawie poruszać głową. Z radością przyjął odwiedzinę Jerzego Kura i ze zdziwieniem spojrzał na stojącego obok nieznanego sobie mężczyznę. Prokurator wyjaśnił pokrótce, kim jest nieznanomy i w jakim charakterze przybył.

- Właśnie chcielibyśmy się dowiedzieć o okolicznościach tego przykrego pańskiego wypadku.

- Niewiele pamiętam - odpowiedział Kalinkowski - po prostu wyszedłem z domu i szedłem do „setki”. Ponieważ mam bliżej do przystanku na Szucha niż do rogu Pięknej, więc szedłem Agrykołą, górą, nad ulicą. Tam teraz zrobili dwie dróż-

ki. Pamiętam, że nie doszedłem do samych Alei. Nagle straciłem przytomność i obudziłem się tutaj w Pogotowiu.

- Czy od rana pan się źle czuł? - major ciągle zadawał pytania.

- Nie! Czuję się zupełnie dobrze. Przypominam sobie, że pracowałem dość długo w nocy. Wiedziałem, że trzeba tę paginację do aktu oskarżenia koniecznie skończyć. Nawet ciotka gniewała się, że tak długo siedzę.

Poszedłem więc spać, a rano obudziłem się przed szóstą i od razu wziąłem

się do roboty. Pracowałem przeszło godzinę, ale wszystko skończyłem. Mam nadzieję, że pan prokurator sprawdził i wszystko jest zrobione dobrze. Potem zjadłem śniadanie i wyszedłem do autobusu. Nie wiem, jak się to stało. Nigdy w życiu dotychczas nie mdlałem.

- Czy pan zauważył coś idąc do Alei? Kalinkowski usiłował sobie przypomnieć.

- Ach ta moja głowa - skarżył się. - Nie, nic nie zauważyłem. Nic nie pamiętam. Szedłem dość szybko, na ulicy nie było nikogo. Tam jest zawsze pusto. Zaraz... Chyba nieco z tyłu szło za mną dwu panów.

- Kto to był? Jak wyglądali?

- Nie przypominam sobie. Nie przyglądałem się im. Pewno wyszli z sąsiednich domów. Zauważyłem ich, jak przechodziłem koło sali „Gwardii”, tam gdzie jest ta fabryka wody sodowej i gdzie dawniej była skocznia narciarska. Byli w płaszczach, bo deszcz zaczynał padać. Ale dlaczego pan tak mnie wypytuje?

- Panie Zygmuncie - zapytał prokurator - czy pan miał przy sobie tę teczkę?

- Naturalnie! Tę, co zawsze. Skórzaną żółtą aktówkę. Miałem w niej akt oskarżenia i wziąłem też ze sobą ten ostatni tom śledztwa, bo właśnie był mi potrzebny do paginacji...

Kalinkowski nagle przerwał. Przez jego twarz przebiegła chmura niepokoju. Chciał się odwrócić i usiąść na łóżku, ale jęknął z bólu i osunął się znowu na poduszki.

- Czy ta teczka - zaniepokoił się - zginęła? Mówili mi, że nic nie zginęło, zegarek i portfel są podobno w depozy-

28

29

cie, o teczce nic nie mówili. Pan ją odebrał, panie prokuratorze? Akt oskarżenia był potrzebny na dwunastą, na konferencję u szefa.

- Niech się pan nie niepokoi, Zygmuncie - Kur starał się mówić możliwie najbardziej beztróskim głosem. - Właśnie z tą teczką coś nie bardzo. Ludzie, którzy panu pomagali, nie znaleźli jej przy panu. Pan major prowadzi z ramienia KGMO dochodzenie w tej sprawie.

Kalinkowski ciężko westchnął.

- Co ja zrobiłem najlepszego! To i akt oskarżenia zaginął, i te wszystkie przesłuchania. Trzeba będzie wszystko na nowo robić. To straszne...

- Proszę nam powiedzieć - zapytał major - czy pamięta pan, że w teczce był też czek „Donaubanku”?

- Był! Pamiętam doskonale, tom VII karta 184. Nawet chciałem

zapropnować panu prokuratorowi, żeby raczej przenieść ten czek do teczki z dokumentami, a w aktach zostawić tylko polskie tłumaczenie. To i on zginął?

Prokurator tylko kiwnął głową. Zygmunt był zupełnie załamany.

- Czy pan ma jakichś wrogów osobistych - indagował Krzyżewski - takich, którzy byliby zdolni do zorganizowania napadu?

- Wrogów? - Aplikant był wyraźnie zdziwiony. - Nie mam żadnych wrogów.

- Może w czasie pańskiej pracy w prokuraturze czy w sądownictwie ktoś uważał, że pan mu zrobił krzywdę? Może się panu ktoś odgrażał? Niech pan sobie przypomni, to bardzo ważne.

Zygmunt milczał przez chwilę.

- Nic nie wiem. Ani w sądzie, ani w prokuraturze samodzielnie nie wykonywałem żadnej pracy. Nie wydawałem przecież wyroków ani nie przesłuchiwałem i nie podpisywałem decyzji aresztowań.

- A może jakiś pański nieprzyjaciel? Może poszło o kobietę? Czy nie odbił pan komu dziewczyny?

Aplikant, pomimo swojego strapienia, uśmiechnął się.

- Jestem zaręczony z koleżanką szkolną. To się ciągnie już bardzo dawno. Rodzice jej nie zgadzali się na nasz ślub, dopóki nie skończę prawa i nie zdam egzaminu sędziowskiego, ale tak na ogół byli mi przychylni. O ile wiem, nikt też nie próbował odbić mi Joaśki.

- A jak pan spędził dzień przed wypadkiem? - Wszystkie odpowiedzi major Krzyżewski notował w brulionie o twardych zielonych okładkach.

- Przyszedłem, jak zwykle rano, do gmachu sądów. Ponieważ aplikant Jasiński, mój przyjaciel - uzupełnił Zygmunt - nie był tego dnia w pracy, więc za zgodą pana prokuratora poszedłem na salę nr 8, gdzie protokołowałem u sędziego Szmagiera. Sesja skończyła się około godziny trzynastej. Poszedłem jeszcze na dół do bufetu, zjadłem obiad i chwilę rozmawiałem z paru adwokatami, Prószyńskim i Domańskim, o sprawie mecenas Brojda. Potem pożegnałem się i poszedłem prosto do gabinetu prokuratora Kura. Wyjąłem z szafy IV, V, VI i VII tom akt sprawy „białego gangu”. Od pana prokuratora wzięłem rękopis aktu oskarżenia. Pamiętam, że pan prokurator dał mi jeszcze kilka wskazówek i poleceń. Następnie poszedłem do sąsiedniego pokoju i już nie ruszałem się od stołu, dopóki pani Ignasiowa nie wyrzuciła mnie parę minut przed siódmą. Jeszcze przedtem przyszła panna Halinka i chciała wziąć akta, bo panu prokuratorowi były potrzebne. Prosiłem, żeby zostawiła ostatni, VII tom, nad nim właśnie pracowałem.

- I co dalej? - major coś sobie długo zapisywał w notesie.

- Dalej już nic ważnego nie zaszło. Jak już mówiłem, przed siódmą przyszła nasza sprzątaczką i powiedziała, że wszystkie pokoje posprzątane i że dłużej nie może czekać. Ponieważ jeszcze nie skończyłem roboty, a wiedziałem, że musi być gotowa na rano, włożyłem akt oskarżenia i ten siódmy tom do teczki i wyszedłem z gmachu sądów.

- Sam? - major szybko zadał pytanie.

- Tak, sam! Zresztą w całym gmachu poza sprzątaczkami chyba już nikogo nie było. Ponieważ przez tyle godzin siedziałem, postanowiłem trochę przejść się. Szedłem

30

31

najpierw Świerczewskiego, później koło „Felusia” i następnie przez Ogród i Plac Saski do Krakowskiego Przedmieścia. Przy Traugutta wsiadłem do autobusu. Po drodze nikogo nie spotkałem. Przyjechałem do domu, wujostwo już byli po kolacji, więc ciotka coś mi odgrzała, zjadłem i znowu wziąłem się do roboty. Siedziałem chyba do północy.

- Czy jednak może pan stwierdzić, że został pan napadnięty? - major znowu wracał do poranka następnego dnia.

- Szczerze mówiąc, nie mógłbym przysiąc. Szedłem ścieżką i więcej nic nie pamiętam. Ostatnim błyskiem świadomości poczułem tylko straszny ból w głowie.

- Przed czy po upadku?

- Tego też nie mogę stwierdzić.

Lekarz dyżurny już dwa razy zaglądał do pokoju. Wreszcie widząc, że nikt nie dostrzega dawanych przez niego znaków, postanowił czynnie interweniować, wszedł i dotknął ramienia prokuratora.

- Kończcie panowie tę rozmowę. Chorego bardzo to męczy.

- Już idziemy — sumitował się Kur.

- Bardzo przepraszamy, panie doktorze - major czuł się winnym przeciągnięcia tej wizyty - jeszcze tylko jedno małe pytanie.

I zwracając się do Zygmunta zapytał:

- Czy po drodze z gmachu sądu do domu, wtedy wieczorem, przed napadem, nikogo pan nie spotkał i nigdzie nie wstępował?

- Nie! Nigdzie nie wstępowałem i nikogo nie spotkałem.

Aplikant powiedział te słowa szybko i spokojnie, a jednak wyczułone ucho oficera milicji zarejestrowało, że ton tej odpowiedzi był inny niż poprzednich. Różnica prawie niedostrzegalna, niemniej istniejąca.

Major zamknął swój notes, uprzedził Zygmunta, że po wyzdrowieniu

będzie musiał podpisać formalny protokół zeznań, który zostanie napisany na podstawie tej rozmowy, i życzył choremu jak najszybszego powrotu do zdrowia. Obaj panowie pożegnali Kalinkowskiego i ku wielkiemu zadowoleniu lekarza opuścili wreszcie salę szpitala,

32

wstępując po drodze do dyrektora Pogotowia. Major poprosił go o wydanie polecenia, by legitymowano wszystkich, którzy będą chcieli odwiedzić Zygmunta Kalinkowskiego, i zapisywano, kto do niego dzwoni lub kto zapytuje o jego zdrowie. Doktor Mul zgodził się na to i natychmiast wydał odpowiednie zarządzenie.

- Po co to potrzebne? - dziwił się prokurator, gdy już wyszli na ulicę.

- Może się przydać - krótko zbył przyjaciela major. -W tej sprawie nie mamy żadnego zaczepienia, więc musimy szukać na wszystkie strony. Musimy też dać ogłoszenie, żeby zgłosili się świadkowie, którzy pomagali ratować Kalinkowskiego po wypadku.

- Ja to załatwię przez Bociańskiego w „Expressie” -podjął się prokurator.

- Dobrze. Podaj, aby się zgłosili telefonicznie do KGMO na mój wewnętrzny telefon. Zauważyłem, że ludzie chętniej zgłaszają się do MO z wiadomościami, jeżeli mogą dzwonić.

Obaj panowie doszli tymczasem Hożą do rogu Marszałkowskiej i prokurator zaproponował, by wstąpić do znajdującego się tam baru kawowego na „małą czarną”, ale major wymówił się, tłumacząc, że chciałby jeszcze-pójść na Agrykołę, aby samemu obejrzeć miejsce wypadku.

Pożegnawszy się z przyjacielem major wstąpił do pierwszego napotkanego „Samu” i kupił pół kilo „krówek” śmietankowych. Schowawszy torebkę do kieszeni płaszcza, ruszył w kierunku Alei Ujazdowskich. Był widocznie zadowolony, że został sam. Nie mógł i nie chciał zadać przyjacielowi jednego pytania. Pytania, na które nie znajdował na razie odpowiedzi. Pamiętał doskonale, że prokurator, relacjonując mu wczoraj wieczorem wydarzenia całego dnia, wyraźnie powiedział, jak to w czasie jego wizyty w fińskim domku starsza pani, ciotka Kalinkowskiego, stwierdziła, że aplikant wrócił do domu w przeddzień napadu około godziny dziewiątej wieczorem.

A tymczasem przesłuchiwany przed chwilą Kalinkowski zeznał, że wyszedł z gmachu sądów przed siódmą.

33

Spacer do Krakowskiego Przedmieścia i jazda autobusem mogła mu zająć pół godziny, najwyżej czterdzieści pięć minut. Musiałby więc być w domu

na Ujazdowie jeszcze przed ósmą, jeżeli nigdzie nie wstępował. Zresztą zeznania Zygmunta pośrednio potwierdzały to, co mówiła starsza pani. Kalinkowski wyraźnie powiedział, że jego gospodarze byli już po kolacji i ciotka odgrzewała mu jedzenie. Coś tu się wyraźnie nie zgadzało.

Dlaczego aplikant skłamał, że nie wstępował nigdzie po drodze?

O • Cały rozległy teren pomiędzy ulicami Piękną, Alejami Ujazdowskimi i Agrykola, w dół aż do samej Wisły, to królestwo dzieci i młodzieży. Ale królestwo to podzielone jest ściśle na różne autonomiczne „księstwa”. Oto Park Ujazdowski ze swoimi małymi stawkami i łabędziami - domena dzieci najmłodszych.

Nieco niżej, tuż pod skarpą rozłożył się Park Szkolny. Ta „prowincja” opanowana jest przez usportowioną młodzież szkolną. Na bieżni, pamiętającej czasy Kusocińskiego, biegają niezmordowanie od świtu do nocy tysiące następców Krzyszkowiaka i Zimnego.

Jeszcze trochę dalej domena najstarszej młodzieży: boisko i pływalnia „Legii” oraz „Torwar”.

W tym układzie i przy tym podziale terenów zabrakło miejsca dla dzieci w wieku lat 8-12.

One to właśnie, w drodze nigdzie nie pisanego zwyczaju, obrały za teren swojej działalności wąski skrawek zielonej łąki, rozciągającej się pomiędzy Alejami Ujazdowskimi a ostro w dół opadającą ulicą Agrykola. Tutaj, od kwietnia aż do późnej jesieni 1961 r., toczyła się nieustająca, od świtu do zmierzchu, bitwa pod Grunwaldem.

Ileż tu zostało połamanych, pracowicie przedtem wystruganych z drzewa mieczy! Iluż Zbyszków z Bogdańca, Zawiszów Czarnych, komturów krzyżackich i Zyn-dramów z Maszkowic wracało stąd do domu z podbitymi oczyma i guzami na głowach. Niejednej też Jagience i Danusi pociekła nieraz krew z rozbitego w zapale walki noska.

Major Krzyżewski sam ze swoich młodych lat pamiętał inne boje - wtedy bohaterski Negus ze swoimi bojownikami był tu z napadającymi na niego Włochami.

Łąka nie była Grunwaldem, lecz Aduą, a pobliska budka z pączkami i malinowymi landrynkami nazywała się wówczas Addis Abeba.

Właśnie Litwini, pod wodzą piegowatego chłopca w zielonkawej wiatrówce, z krzykiem wyskoczyli z kryjówki i uderzyli na Krzyżaków, którymi dowodziła wyrośnięta dziewczynka o krótko ostrzyżonej grzywce. Miecze uderzyły o miecze, aż się z nich zamiast iskier drzazgi posypały. Major Krzyżewski przyglądał się tym bojom z uśmiechem sympatii. Może przypomniały mu się własne młode lata?

Chłopcy już przedtem zauważyli, że ten pan kręci się tutaj od pewnego czasu. Przeszedł parę razy ścieżką koło piaskownicy, nawet wchodził w rosnące tam krzaki. Spoglądał ku ziemi, jakby czegoś szukał.

Kiedy więc w toczącej się potyczce nastąpiło chwilowe zawieszenie broni, bo jeden z wodzów musiał natychmiast wracać do domu, reszta wojowników coraz ciekawiej przyglądała się mężczyźnie w szarym płaszczu. Któryś z młodych ludzi zapytał go o godzinę, pan uprzejmie odpowiedział, a następnie wyjął z kieszeni torebkę z cukierkami, sam zjadł jednego, a resztą obdzielił wszystkich, nie robiąc różnicy między Litwinami i Krzyżakami.

- Czy nie znaleźliście czegoś tutaj? - zapytał dzieci.

- A co pan zgubił? - zainteresował się wódz Litwinów.

- Szedłem wczoraj wieczorem tędy i po ciemku wpakowałem się w te krzaki. Zdaje się, że tutaj właśnie zgubiłem taką niebieską chusteczkę i miałem też w ręku wierzbową gałązkę powycinaną w szachownicę. Nie znaleźliście? -Major Krzyżewski improwizował na temat zguby.

- Jakby tu coś było, to chłopaki na pewno by znaleźli -wódz Litwinów był widać najrezolutniejszy ze wszystkich -ale nikt nie miał takiej gałązki. Jak pan ją zrobił?

34

35

- Bolek Jabłoński to wczoraj znalazł, ale nie gałązkę -powiedział jeden z malców.

- Co znalazł? - zainteresował się major.

- Eh, nic takiego - odpowiedział inny chłopiec - taki mały woreczek.

- Woreczek? Jak on wyglądał? - Starszy pan był coraz bardziej zainteresowany.

- Taki długi, gruby worek, jak „polski kawior”.

- Kawior? - major musiał stwierdzić, że rozmowa z wojownikami krzyżackimi i litewskimi jest co najmniej tak trudna, jak przesłuchiwanie podejrzanego, z którego dopiero słowo po słowie trzeba wyciągać zeznania.

- No, nie wie pan? - zdziwili się chłopcy - „polski kawior” to kiszka kaszana, długa i gruba.

- A co było w tym woreczku?

- Nic nie było. Zwykły piasek. Taki jak ten - tu jeden z chłopców pokazał na piaskownicę.

- A gdzie macie ten woreczek? - dopytywał major.

Ale nikt z chłopców nie mógł tego powiedzieć. Piasek wysypali, a co się stało ze szmatką? Może Bolek wziął do domu? Woreczek został znaleziony w krzakach w pobliżu ścieżki ułożonej z poszczególnych, luźno położonych płyt chodnikowych. Właśnie tam, gdzie, jak to stwierdził lekarz Pogotowia, znalazł nieprzytomnego Zygmunta Kalinkowskiego.

- A gdzie jest ten Bolek, który znalazł woreczek? - major koniecznie starał się dowiedzieć czegoś więcej o odkryciu chłopców.

- Jego dziś nie ma tutaj - odpowiedziała dziewczynka z grzywką. Major rozdał resztę cukierków dzieciom i poprosił je, aby jeżeli jeszcze coś znajdą, schowali. On jutro tu przyjdzie znowu.

Następnego dnia czwartkowy numer „Expressu Wieczornego”, zamiast jak zwykle zapowiedzi nowego numeru „Kulis”, przyniósł na pierwszej stronie ogłoszenie grubym drukiem w czarnej ramce:

36

**KOMENDA GŁÓWNA MILICJI OBYWATELSKIEJ PROSI WSZYSTKICH ŚWIADKÓW WYPADKU WE WTOREK W GODZINACH RANNYCH NA ROGU ALEI UJAZDOWSKICH I AGRYKOLI LUB OSOBY, KTÓRE UDZIELIŁY POMOCY CHOREMU, O SKOMUNIKOWANIE SIĘ TELEFONICZNE Z KGMO, TEL. 454-11, WEWN. 622.**

Na to wezwanie zgłosił się tylko pan Zbigniew Adamczyk, urzędnik pewnej instytucji wydawniczej przy ulicy Miodowej. Major Krzyżewski natychmiast pojechał do jego biura, skontaktował się z panem Adamczykiem i zaprosił go do małej kawiarni, znajdującej się w trójkątnym domu na rogu ulicy Koziej. Tam pan Zbigniew pokrótce opowiedział całą historię, jak to na przystanku trolejbusowym stała grupka ludzi i jak do niej podszedł jakiś człowiek, zawiadamiając, że w pobliżu leży chory epileptyk.

- Czy ten człowiek miał przy sobie teczkę? - spytał major.

- Bo ja wiem! Nie pamiętam. Może i miał. Deszcz padał, to mu się nie przyglądałem. Zresztą zaraz poszedł do telefonu.

- A pan miał teczkę?

- Tak. Miałem. Podłożyliśmy ją nawet choremu pod głowę, bo jedna pani, co z nami była, mówiła, że trzeba rozpiąć kołnierzyk i podnieść głowę, aby zemdlony odzyskał przytomność.

Dalej pan Adamczyk opowiedział, jak czekali przy chorym na pogotowie i jak jeden z panów podjął się iść po wodę, ale już z nią nie wrócił. Jak wreszcie on - Adamczyk - zauważył jadącą karetkę Pogotowia i jak

zabrano do niej chorego.

- Czy pamięta pan, jak ci dwaj byli ubrani? - interesował się major, który ciągle robił w swoim brulionie jakieś notatki.

Pan Zbigniew pamiętał tylko, że jeden z mężczyzn miał jasny prochowiec, a drugi czarny płaszcz z folii. Nawet nie przypominał sobie, czy byli z gołymi głowami, czy też mieli czapki.

37

Major widząc, że już niczego więcej się nie dowie od świadka, zapisał sobie tylko jego adres i podziękował mu za oddaną milicji przysługę.

- Jeszcze jedno - przypomniał sobie pan Adamczyk, gdy już wstawali od stolika - ten pierwszy, który poszedł zadzwonić, miał jakieś dziwne ucho, płaskie, jakby kiedyś był skaleczony lub uderzony. Czasem widzi się takie uszy na filmach u bokserów.

Obaj panowie pożegnali się, pan Adamczyk wrócił do swojego biura, major zaś pojechał na Świerczewskiego do prokuratora Kura.

- Jak widzisz - tłumaczył przyjacielowi - posunęliśmy się trochę naprzód. Człowiekiem, który prawdopodobnie dokonał napadu, jest jakiś były bokser lub zapaśnik, mężczyzna ze zdeformowanym uchem. Do zamachu użył, możemy to przypuszczać, woreczka z piaskiem, którym zadał Kalinkowskiemu uderzenie w tył głowy. Dlatego nie ma śladu krwi. Przy użyciu jakiegokolwiek narzędzia, na przykład kija lub kamienia, uderzenie spowodowałoby rozcięcie skóry i krwawienie ofiary. Teraz trzeba tylko znaleźć sprawcę napadu,

- A co z Macioszkiem? - dopytywał się prokurator. - Jak znajdziemy Macioszka, to znajdziemy i jego ludzi.

- Cała milicja w Polsce szuka teraz Macioszka. Zastawiliśmy sieci i rybka musi, prędzej czy później, wpaść w nasz niewód. Wypada uzbroić się w cierpliwość, a tymczasem, jak widzisz, nie odpoczywam i chwytam nitkę za drugi koniec. Niekoniecznie Macioszek doprowadzi nas do bezpośredniego sprawcy. Może właśnie być odwrotnie.

- Uzbroić się w cierpliwość! Dobrze ci to mówić - martwił się Kur - już od rana dzwonili do mnie z Prokuratury Generalnej.

- Był też telefon z Ministerstwa Handlu Zagranicznego - dorzuciła Wilska - pytali się, czy już mogą otrzymać list z „Donaubanku”.

- Żeby to były odciski palców, ale ucho! Na razie jeszcze w kartotekach nawet najbardziej ostrożnych policji świata nie notuje się kształtu muszli usznej przestępców.

38

- A może by - poddała Wilska - poprosić sędziów z oddziałów karnych.

Może oni zauważyli u któregoś ze swoich pacjentów takie ucho. A może straż więzienna lub milicjanci najczęściej konwojujący więźniów do sądu? Jeżeli to zawodowy przestępca, to musiał mieć do czynienia zarówno z sędzią, jak i z więzieniem.

- To nic nie da - skrzywił się prokurator - wiem po sobie. Oskarżałem w tylu rozmaitych sprawach, ale nigdy nie przyglądałem się, jakie uszy mają ludzie zasiadający na ławie oskarżonych.

- Pomysł panny Haliny nie jest wcale taki zły, jak ci się wydaje - powiedział major. - Nie będziemy pytać sędziów i prokuratorów, ale wśród milicji można poszukać. No tak - dodał zapalając się - przede wszystkim trzeba zapytać pułkownika Kizło. On na pewno będzie coś wiedział, jeżeli tylko ten facet był kiedykolwiek notowany w kronikach milicyjnych.

Jeszcze dzisiaj odzyskam pułkownika. A wy co robicie?

Wilska skrzywiła się.

- Przede wszystkim tłumaczmy się, dlaczego Kalinko wski zabrał akta do domu. Poza tym odprawiamy dziennikarzy, którzy naturalnie wywęszyli, że coś u nas nie w porządku, i bez przerwy nachodzą prokuratora. A oprócz tego mamy pasjonujące zajęcie: odtwarzamy wszystko, co było w ostatnim tomie akt. Właśnie za chwilę przyprowadzą nam tu Lisowskiego na kolejne przesłuchanie. Nic, tylko piszę i piszę na maszynie te niekończące się protokoły.

- Czy już przesłuchiwałś Lisowskiego po wypadku? - spytał major.

- Tak, przesłuchiwałem go wczoraj. Dzisiaj tylko kończymy zeznania. Zadawałem mu różne pytania. Może rzeczywiście nic nie wie albo tak fantastycznie udaje. Dziwił się nawet, dlaczego znowu pytam go o rzeczy, które zeznawał na poprzednim przesłuchaniu. Zaproponował też, że wystawi upoważnienie na kogokolwiek z „Budexu”, żeby mogli podjąć pieniądze z „Donaubanku”. Powiedział, że liczy, iż sąd uzna to za okoliczność łagodzącą. Telefonowa-

39

łem nawet do „Budexu” w tej sprawie. Zaproponowali, żeby Lisowski dał takie pełnomocnictwo radcy handlowemu w Wiedniu. Jak Lisowskiego tu przyprowadzą, to mu je dam do podpisu.

- No cóż! To by świadczyło, że albo jest bardzo pewny, albo rzeczywiście nic nie wie. Ja sądzę, że raczej to drugie.

Do gabinetu wszedł sierżant milicji i zameldował prokuratorowi, że aresztowany Lisowski doprowadzony jest do pokoju więźniów na parterze.

- Przyprowadźcie go, sierżancie - polecił prokurator.

- A więc ja już odchodzę - major pożegnał się z panną Wilską i prokuratorem. - Jeżeli się czegoś dowiem od Ki-zły, to zadzwonię jutro rano.

Któż z warszawskiej MO i spośród urzędników MSW nie zna pułkownika Kizły? Starszy, siwawy pan, ubrany z tą dyskretną elegancją, jaka cechuje niektórych mężczyzn po sześćdziesiątce, zawsze w granatowym „edynie”, zawsze z białą chusteczką w kieszonce i jak lustro wyczyszczonymi butami; pułkownik był jedną z najbardziej znanych postaci w Warszawie. Chociaż przed dwoma laty przeszedł na dobrze zasłużoną emeryturę, to bynajmniej nie stracił kontaktu z „aparatem”. Brał czynny udział w pracach Domu Kultury, był członkiem zarządu „Gwardii”, a przede wszystkim służył radą i pomocą młodszym kolegom. Był dosłownie chodzącą encyklopedią wszystkich kryminalnych wypadków nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Nawet Interpol nieraz zwracał się do pułkownika z prośbą o opinie i informacje. Nic więc dziwnego, że major Krzyżewski postanowił odszukać starszego pana i zapytać o przestępcę z boksterskim uchem.

Odnalezienie pułkownika nie było trudne. Na ulicy Rakowieckiej, tuż obok nowego gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, stoi niewielki w porównaniu z nim, jednopiętrowy budynek. Szerokie schody i oszklone drzwi prowadzą do wnętrza Klubu Pracowników MSW. Major Krzyżewski, stale w rozjazdach, w Klubie bywał rzadkim gościem. Toteż szatniarz, odbierając od niego gdzieś około szóstej wieczorem płaszcz, zauważył:

- Ale pan major nie był chyba u nas z pół roku albo i dłużej.

- Cóż robić - roześmiał się major - chciałaby dusza do raj... Czy pułkownik Kizło jest dzisiaj?

- Jeszcze go nie ma, ale tylko patrzeć, jak przyjdzie. Major Ptak już czeka, a dyrektor Kawon przed chwilą dzwonił, że razem z doktorem Wyrzewiczem zaraz przyjdą.

Od przynajmniej pięciu lat rozgrywany był nigdy niekończący się pojedynek między pułkownikiem, mającym za partnera majora Ptaka, a pozostałymi panami. Można też było być pewnym, że tylko własny pogrzeb przeszkodziłby któremukolwiek z partnerów w przybyciu na termin rozgrywek. Wobec tego major wybrał sobie w sali kawiarnianej stolik, przy którym siedząc widział dobrze każdego wchodzącego do Klubu. Zamówił kawę i cierpliwie czekał. Nie trwało to zresztą długo. Po jakimś kwadransie w drzwiach ukazała się sylwetka pułkownika Kizło. Major zerwał się, przywitał wchodzącego i zaprosił do swojego stolika.

Krzyżewski wypytywał pułkownika o zdrowie, o jego pracę, o to, co się dzieje w Domu Kultury. Kizło w pewnym momencie przerwał tę towarzyską rozmowę i powiedział:

- Wy mi, majorze, nie mydlcie oczu. Ja za stary wróbel. Jak mnie taki młody człowiek prosi do stolika, chce kawę fundować i zamartwia się moim reumatyzmem, to wiadomo - ma jakiś interes. Więc walcie kawę na ławę, bo i czasu mało, tam na górze partia czeka.

- Czy pan pułkownik może sobie przypomina przestępstwa zadane za pomocą woreczka z piaskiem? Chodzi mi o użycie worka, a właściwie woreczka z piaskiem, którym napastnik ogłusza ofiarę w celach rabunkowych.

Pułkownik zamyślił się.

- Byli tacy specjaliści. Pamiętam takiego Mamaja z Krakowa i Karskiego z Sosnowca. Ale ten miał woreczek z miałem węglowym. No i nasz warszawski Rękawek.

- Co za Rękawek? Ten mnie chyba będzie interesował.

- Rękawek to tylko pseudonim. Kiedy go złapali pierwszy raz na „bombie”, znaleźli przy nim rękaw od jakiejś

40

41

starej marynarki, z jednej strony zeszyty. Tą kiszka, wypełnioną piaskiem, walił nasz orzeł faceta w łeb. Gdy ofiara zemdląła, wtedy ją obrabiał na czysto. Dlatego też wszyscy nazywali go „Rękawkiem” i tak już zostało. Nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska. Ale w sądach go znają. Przynajmniej dziesięć razy karany. Ostatnio dostał pięć lat, zawsze za to samo, i musi jeszcze siedzieć. Chyba żeby go przed terminem zwolnili. Popytajcie na Walico-wie. Tam wam o nim wszystko powiedzą, bo i popić sobie lubił, i rozrabiać. Nieraz co tydzień lądował w komisariacie. No, ale na mnie czas, majorze, właśnie mi doktor z góry, ze schodów daje znaki... A jak wam będę jeszcze potrzebny, nie zapominajcie o starym.

- Jeszcze chwileczkę, drogi pułkowniku - major starał się zatrzymać starszego pana - a może pan zna takiego przestępcę, co ma zdeformowane uszy. Takie płaskie, może był kiedyś bokserem.

- Po co się major pyta o Rękawka, jak go pan zna. Na egzamin starego Kizłę tu dzisiaj biorą. Przecież to właśnie Rękawek ma lewe ucho płaskie.

- Ależ pułkowniku, bardzo przepraszam. Ja naprawdę nie wiedziałem nic o Rękawku. Po prostu szukam przestępcy, który dokonał napadu na jednego z aplikantów sądowych i pozbawił go przytomności za pomocą uderzenia woreczkiem z piaskiem. Jak podał jedyny, zresztą nie bezpośredni świadek

napadu, przestępca miał zdeformowane ucho.

- To na pewno nikt inny tylko Rękawek. Musieli go jednak wypuścić przed terminem. Ale żeby Rękawek napadał na jakiegoś tam aplikanta - dziwił się Kizło - on zawsze polował na pijaków wychodzących z knajpy, i to takich, u których widział większą gotówkę. Szedł za nimi i gdzieś w ciemnej ulicy cicho „usypiał” facetów. A miał, trzeba mu to przyznać, delikatną rękę. Tak umiał stuknąć, że ofiara traciła przytomność na krótki czas, 10-20 minut.

- Widocznie po wyjściu z więzienia jeszcze nie doszedł do dawnej wprawy - roześmiał się major - bo mojego klienta „uśpił” na kilkanaście godzin. W tej chwili do stolika podszedł major Ptak.

Major dokończył swoją kawę, zamienił jeszcze parę słów ze znajomymi i wyszedł z Klubu. Był zadowolony. Nareszcie natrafił na pierwszy ślad, byle tylko nie zgubić tropu i cierpliwie dążyć do celu, którym był mały świstek papieru z firmowym nadrukiem „Donaubank Wien”. Świstek, który miał wartość 80 000 dolarów.

v\_) . W Komendzie Dzielnicowej MO na Walicowie porucznik Rajski trochę się zdziwił, że KGMO interesuje się Rękawkiem. Za takiego „asa”, który mógł skupić uwagę najwyższej władzy, nikt go tu nie miał. Znano go natomiast doskonale i od razu udzielono wszystkich potrzebnych informacji.

- Rękawek, a właściwie Jan Napiórkowski - porucznik mówił to wszystko bez posługiwania się jakimikolwiek aktami - jedenastokrotnie karany. Ostatnio 5 lat. Zwolniony z więzienia przed dwoma miesiącami, przedterminowo, za dobre zachowanie. Zresztą w więzieniu zawsze się dobrze zachowuje. Natomiast na wolności znacznie gorzej. Złodziej recydywista! Dwa razy udowodniono mu napad na swoją ofiarę, którą przedtem ogłuszył uderzeniem...

- Drogi poruczniku - przerwał major - to wszystko mniej więcej wiem i nie o przeszłość Rękawka w tej chwili mi chodzi. Co o nim wiecie po jego wyjściu z więzienia.

- Przyszedł do mnie i prosił o protekcję, bo szuka pracy. Mówił, że zrywa z dotychczasową przeszłością. Obiecywał też, że więcej o nim nie usłyszymy. Skierowałem go do „Kasprzaka”. Pewnie tam pracuje dotychczas. To poza wszystkim dobry szlifierz precyzyjny. W swoim fachu na pewno by więcej zarobił, niż za pomocą woreczka z piaskiem. Przed wojną pracował w Państwowych Zakładach Inżynieryjnych na Grochowie. Dopiero okupacja i wódka tak go wykoleiły.

- Ma rozbite jedno ucho? - dopytywał major.

- Wszystko się zgadza. Widzę, że w KGMO wiedzą wszystko. Nawet znaki szczególne naszych podopiecznych znają.

42

43

- Od czego? Czy to były bokser?

- Trudno mi odpowiedzieć. Rękawek nieraz się przechwalał, że przed wojną boksował w „Okęciu”. Nawet samego Kolczyńskiego miał znokautować, co już jest jawnym kłamstwem. Ale zapytywałem kiedyś „dziecko Warszawy” - Tolusia Komudę, i on rzeczywiście przypomina sobie takiego boksera. Rękawek różnie opowiadał. Raz, że ucho rozbił mu Walerek Karpiński w meczu o mistrzostwo Warszawy, to znów, że w czasie okupacji w walce z hitlerowcami kula mu kawałek ucha oberwała. Najprawdopodobniej gdzieś dostał po pijanemu butelką w ucho.

- Chciałbym, poruczniku, żebyście nie płosząc Rękawka, przeprowadzili dyskretny wywiad, jak mu się obecnie powodzi i czy był w pracy w ubiegły wtorek. Bardzo was o to proszę. Muszę szybko mieć te dane.

- Z ludźmi krucho, bo to urlopy. Pracy więcej niż zwykle, a KGMO zamiast nam pomóc, obarcza nową robotą -narzekał Rajska.

- To nie KG, ale ja - tłumaczył major - po prostu jeden z moich przyjaciół, prokurator Kur, ma duże przykrości i właśnie podejrzewam, że przez Rękawka. Chcąc więc ratować nieboraka sam prosiłem, żeby nie dawali tego do Pałacu Mostowskich, tylko do mnie.

Tu major opowiedział porucznikowi Rajskiemu przebieg wypadków. W gabinecie prokuratora Kura, do którego major przyszedł prosto z Walicowa, panował nastrój grobowy. Szef denerwował się, że sprawa, jego zdaniem, nie posuwa się dość szybko. Nie brakowało, jak to się wszędzie dzieje, i w prokuraturze ludzi, którzy zazdrościli stosunkowo młodemu, 35-letniemu prawnikowi kariery. Teraz ci „życzliwi” starali się wokół Kura wytworzyć odpowiednią atmosferę i po cichu informowali, kogo potrzeba, że inaczej nie mogło się stać, gdy na tak odpowiedzialne stanowisko powołuje się młodych, niedoświadczonych ludzi. Wszystko to Jerzy Kur odczuwał bardzo boleśnie. Nawet Wilska, szczerze mu współczując, nie mogła go pocieszyć.

- Nic się nie martw, Jerzy - major udawał większego optymistę, niż był w istocie. - Dopóki nie podjęto pieniędzy z „Donaubanku”, to sprawa nie jest przegrana. Rękawka za dzień, dwa będziemy mieli. Jak mu dowiedziemy winy, to go tak przycisnę, że wyśpiewa wszystko, co wie. A po Rękawku

przyjdzie kolej na Macioszka i innych macherów z „białego gangu”. Ktoś z nich musi mieć ten przeklęty czek, co ci takiego bigosu narobił. Co z Lisowskim? Czy podpisał upoważnienie?

- Właśnie to jest dziwne! Nie tylko że podpisał, ale jeszcze udzielił najrozmaitszych wskazówek, w jaki sposób najlepiej te pieniądze odzyskać.

- Tak jak przypuszczałem, nic jeszcze nie wie o kradzieży. Widocznie Macioszek zrobił to bez niego. Jakie wiadomości od Kalinkowskiego? - dopytywał major.

- Kalinkowski ma się już dużo lepiej. Jutro wychodzi ze szpitala i za cztery dni wraca do pracy.

- Już jutro? - Major otworzył swój brulion i coś w nim sobie zapisał. - To ciekawe.

Ale ani prokuratorowi, ani Wilskiej nie wyjaśnił, co może być ciekawego w powrocie aplikanta ze szpitala do domu, a później do pracy.

Porucznik Rajski dotrzymał słowa. Nazajutrz zawiadomił majora, że ma sporo wiadomości o Rękawku. Krzyżewski natychmiast pojechał na Waliców.

- Jesteście chyba, majorze, na właściwym tropie. Rękawek ciągle pracuje u „Kasprzaka”, ale we wtorek spóźnił się do pracy o prawie trzy godziny. Przyszedł przed dziewiątą. I co ciekawsze, teraz znowu hula po knajpach. Ma forszę i funduje koleżkom.

- Trzeba go wziąć na rozmowę. Ale tak jakoś zręcznie, żeby nie wiedział, o co chodzi, i żeby nie spłoszyć innych.

- A w domu zrobić rewizję? - podchwycił porucznik.

- Nie! - zdecydował major. - To na pewno nie jego własna robota, więc w domu niczego się nie znajdzie. Najlepszy dowód, że to nie jego pomysł, bo nawet zegarka Kalinkowskiemu nie zdjął z ręki. Już nie mówiąc o portfelu z kilkuset złotymi.

44

45

- Właśnie to jest najdziwniejsze dla mnie w całej tej sprawie i zupełnie niepodobne do zwyczajów Rękawka - zauważył Rajski. - A co do „wzięcia” Rękawka, nic się, majorze, nie bójcie. Zrobi się artystycznie. Niech on tylko pokaże się w knajpie i trochę podpije. Jeden z naszych ludzi wywoła awanturę. Zbije szybę lub coś podobnego. Drugi wyskoczy z knajpy i krzyknie „milicja, ratunku”. Radiowóz będzie czekał w pobliżu i wszystkich z knajpy wygarniemy. Niby to za tę rozróbę. A rano wszystkich

kolejno będzie się zwalniać. Rękawka ostatniego weźmiemy na górę. Nikt nie będzie niczego podejrzewał. Przecież nie ma wieczora, żeby tu u nas nie było w jakiejś knajpie mniejszej lub większej awantury. Nikogo to nie dziwi. Dyżurny będzie miał polecenie, żeby jak tylko Rękawek trafi do nas, natychmiast was, majorze, zawiadomić. Dajcie mi swój domowy telefon, bo to będzie pewnie późnym wieczorem albo i w nocy. Rano przyjdziecie i weźmiemy go w obroty. Już jaz nim porozmawiam. Przez cztery dni major oczekiwał wiadomości z Walico-wa, wreszcie sam zadzwonił do porucznika Rajskiego.

- Pamiętam o was - śmiał się Rajski - ale niestety, jak na razie, nic się nie dało zrobić. Rękawek przywarował i siedzi w domu. Może zwąchał, żeśmy się o niego pytali. Jeżeli wam się śpieszy, to możemy go wziąć z domu albo przed bramą fabryki.

- Nie. Lepiej jeszcze trochę poczekajmy. Takie aresztowanie spłoszy innych. Na Rękawku ostatecznie najmniej mi zależy. Potrzebny tylko do pokazywania dalszego śladu. Należy wszystko robić cicho i dyskretnie. Major Krzyżewski był tego zdania, ponieważ poprzedniego dnia został wezwany do MSW, do dyrektora departamentu pułkownika Zienkiewicza, który udzielił mu kilku wskazówek.

- Pracujcie jak najostrożniej! Naturalnie dobrze będzie odzyskać ten czek, ale Ministerstwo Handlu Zagranicznego interweniowało nawet u naszego „starego”, żeby wszystko zrobić możliwie „w rękawiczkach”. Dla tamtych panów pieniądze są mniej ważne niż skandal międzynarodowy,

46

wy, który mógłby zaszkodzić naszym transakcjom handlowym.

Upoważniam was, majorze, jeśli zajdzie tego potrzeba, do pewnych posunięć nie zawsze zgodnych z regulaminem służby. To znaczy - jeżeli uznacie, że na pewne rzeczy trzeba przymknąć oko lub machnąć ręką, możecie to zrobić na swoją odpowiedzialność. Zawiadomicie tylko mnie o tym. Pamiętajcie stale o międzynarodowym aspekcie tej sprawy.

Rajski zapewnił majora, że Rękawek jest pod stałą, dyskretną obserwacją i przy najbliższej okazji będzie „zdjęty”. Porucznik dodał, że liczy na najbliższą sobotę lub niedzielę. Statystyka dzielnicy wyraźnie wykazywała, że największa ilość bójek i awantur wypadła właśnie na te dni.

Tymczasem majora trapił nieustannie problem, dlaczego Kalinkowski skłamał w swoich zeznaniach i jak spędził tę godzinę pomiędzy wyjściem z gmachu sądów i powrotem do domu.

W Pogotowiu przejrzał listę osób, które odwiedziły aplikanta w szpitalu,

znalazł nazwiska jego rodziny i poza tym tylko prokuratora, jego sekretarki i dwóch kolegów z sądu. Ktoś telefonicznie zapytywał o Kalinkowskiego, ale proszony o podanie nazwiska zrezygnował z uzyskania informacji i odłożył słuchawkę.

Odwiedził więc Kalinkowskiego w domu, ale tu poinformowano majora, że aplikant zrezygnował z dalszego zwolnienia lekarskiego i uznał, że czuje się już na tyle dobrze, żeby wrócić do pracy. Chcąc nie chcąc musiał więc Krzyżewski pojechać na Świerczewskiego, chociaż był zupełnie pewny, że tam przyjaciel będzie się niecierpliwił zbyt powolnym, w jego mniemaniu, przebiegiem śledztwa. Rzeczywiście przecucia go nie myliły.

- Znowu nic nowego - denerwował się prokurator - weź do pomocy więcej ludzi. Tyle dni minęło, Kalinkowski zdążył wyzdrowieć, a wy nic. Przez ten czas można już było nie jeden, ale dziesięć czeków wywieźć do Wiednia.

- Mogli wywieźć nawet sto! - ostro odciął się major - ale tego jednego nie wywieźli. Jeżeli Prokuratura uważa, że śledztwo prowadzone jest źle czy nie dość energicznie, to

47

niech wystąpi o zmianę i przekazanie do Komendy Stołecznej. Może oni będą dla was lepsi. Wiceprokurator zmieszał się.

- Bardzo cię, Stachu, przepraszam! Nie chciałem cię urazić i doskonale wiem, że jak ty nie ruszysz sprawy z miejsca, to nikt jej nie ruszy. Ale wczuj się w moje położenie, dosłownie zaczyna mi się palić ziemia pod nogami.

- Rozumiem cię bardzo dobrze, ale zrozum i ty nas. Nie jesteśmy czarodziejami i jasnowidzami. Są też pewne względy, znasz je doskonale, które nakazują działać jak najostrożniej i z największą rozwagą. Czasem co nagle, to po diable! Ale wracajmy do rzeczy. Chciałbym się widzieć z Kalinkowskim, podobno już wrócił do pracy.

- Tak. Siedzi teraz w ostatnim pokoju na lewo z korytarza. W gabinecie prokuratora Babińskiego, który wyjechał na urlop.

Krzyżewski pożegnał się z prokuratorem i wyszedł na korytarz. Rozejrzał się, chcąc się zorientować, w jakim iść kierunku, i skręcił na lewo.

- Majorze! Majorze!

Obejrzał się. Za nim biegła panna Wilska.

- Niech się pan nie gniewa na Kura - prosiła - on teraz naprawdę przeżywa ciężkie dni. I to przecież nie ze swojej winy. Bardzo pana proszę!

Uśmiechnął się patrząc na dziewczynę. Z tym błagalnym wyrazem twarzy była naprawdę ładna.

- Jaki ten Jurek szczęściarz - zażartował - nie o wszystkich szefów sekretarki tak się troszczą.

Wilska zarumieniła się.

- Panno Halino - powiedział major ujmując ją lekko pod rękę - przejdźmy się trochę i porozmawiajmy poważnie. Czy pani zna Kalinkowskiego i co pani o nim sądzi?

- Cóż ja mogę powiedzieć? Kalinkowski pracuje w sądach warszawskich już przeszło trzy lata. Przeszedł przez wszystkie wydziały. Najdłużej, przeszło rok, jest w prokuraturze, bo chce iść w tym kierunku. Dobry kolega, zawsze chętnie wyreczy w pracy. Grzeczny, ale może trochę zarozumiały, za bardzo go chwalili w pracy. Niewątpliwie zdolny! Chce wracać do Płocka.

- Czy zamożny?

- Rodzice jego mieszkają w Płocku. Ojciec pływa na statku. Matka jest kierowniczką baru mlecznego. Ma jeszcze młodszego brata i siostrę. No i zamożną narzeczoną. Córka miejscowego lekarza.

- A jakieś flirty? W Warszawie nie ma nikogo?

- Chyba nie. W każdym razie nic o tym nie wiem. Lubi czasem zachodzić do tej Zosi w Prokuraturze Stołecznej.

- Co to za Zosia?

- Zosia Samaszkówna. Pracuje w Prokuraturze Stołecznej już od czterech lat. Panowie twierdzą, że najładniejsza panna w całym gmachu. Pomimo swojej urody jakoś nie ma szczęścia do mężczyzn, nikt się do niej nie kwapił z poważnymi zamiarami. Dopiero ostatnio zaręczyła się z jednym z sędziów. Jej ojciec pracuje u „Wedla”. Ma młodszego o dwa lata brata Wiktora. Studiował polonistykę na uniwersytecie, ale zdaje się, że bez większych sukcesów. Przystojny chłopak i ładnie tańczy, tańczyłam z nim na ostatniej zabawie. Ostatnio dużo przesiaduje u siostry w Prokuraturze Stołecznej i kręci się stale po gmachu sądów. Zosia mówiła, że chce napisać powieść i szuka tutaj materiałów.

- To Kalinkowski flirtował z tą panną Zosią?

- Tego chyba nawet nie można nazwać flirtem, bo Zosia zaręczona jest z jednym z sędziów i ostatnio bardzo dba o swoją opinię. Zresztą Zygmunt o tym wiedział i też nie ryzykowałby rywalizacji z osobą, która mogłaby w jego sytuacji - aplikanta czekającego na etat - poważnie mu zaszkodzić. Co prawda dziewczyna podobała mu się, a i on jej również. Przecież o mało nie zemdląła, gdy dowiedziała się o jego wypadku. Gdyby prokurator jej nie podtrzymał, to by upadła. A przedtem nic nie dawała po sobie poznać.

- A pani daje poznać po sobie?

- To już do sprawy nie należy, panie majorze - roześmiała się Wilska - i tak za dużo panu powiedziałam.

48

49

Kalinkowski pracował przy dużym dębowym biurku, zawalonym teczkami z aktami, Przyjął majora bez większego entuzjazmu, ale też bez niechęci.

- Jak się pan czuje?

- Dziękuję, już zupełnie dobrze. Jeszcze czasem dokucza mi ból głowy, ale lekarz mówił, że to lada dzień przejdzie.

- Nie lepiej byłoby dłużej odpocząć? Gdzieś wyjechać na parę dni?

- Nie! Nie miałbym tam chwili spokoju. Narobiłem historii, to chociaż własną pracą staram się zmniejszyć nieco skutki mojej lekkomyślności. - Aplikant mówił trochę drżącym głosem. - Sam pan rozumie, majorze, że ta sprawa może zaważyć na całym moim życiu. Zdałem egzamin sędziowski, lada chwila miałem dostać nominację i wyjechać do Płocka. Mam tam narzeczoną, chcę się z nią wreszcie ożenić. Miałem dobrą opinię, chociaż niektórzy - tu uśmiechnął się lekko - twierdzą, że jestem nieco zarozumiały. Słowem, wszystko wskazywałoby na to, że moje życie ustabilizuje się i pobiegnie równym torem. A teraz wszystko wzięło w łeb!

- No, może nie będzie tak źle - major usiłował pocieszyć młodego człowieka.

- Nie potrzebuje mnie pan łudzić i pocieszać. Doskonale zdaję sobie sprawę z mojego położenia. W tej chwili o nominacji nie może nawet być mowy. Ten „haczyk” w życiorysie może się zamienić w skałę, o którą rozbije się cała moja kariera. Do Płocka nie pojedę, w Warszawie trzymać mnie nie będą. Zresztą w jakim charakterze? Jestem przecież już po egzaminie. Próbować aplikantury adwokackiej i znowu tracić dwa albo trzy lata? Wątpię nawet, żeby mnie w tej chwili chcieli przyjąć do adwokatury i czy minister zatwierdziłby listę bez wykreślenia z niej mojego nazwiska. Pozostaje posada gdzieś w administracji. Mogę dostać tylko marną, źle płatną pracę w jakiejś dziurze. Przecież każdy personalny, nawet bez zasięgnięcia o mnie opinii, stwierdzi prosty fakt: po odbyciu aplikacji sądowej i po zdaniu egzaminu z bardzo dobrym wynikiem - nie przyjęty do sądownictwa. To wystarczy!

- Trochę pan przesadza, młody człowieku, ale rzeczywiście położenie pańskie nie jest wesołe - mówił wolno major - dlatego też liczę, że pomoże pan nam w śledztwie.

- Naturalnie - głos aplikanta był już spokojny - jeśli moja osoba i moja pomoc może się panu na coś przydać, proszę mną rozporządzać. Właśnie dlatego wróciłem tak szybko do pracy, żeby możliwie przyczynić się do zatarcia skutków mojego czynu.

- Nie o tym myślałem.

- Nie rozumiem pana majora.

- A szkoda!

Major otworzył teczkę, którą miał w ręku. Wyjął z niej kilka kartek zapisanych na maszynie i podał Kalinkowskiemu.

- To jest formalny protokół przesłuchania pana, spisany na podstawie naszej rozmowy w szpitalu. Proszę przejrzeć.

Aplikant czytał uważnie kartkę po kartce. W paru miejscach trzymanym w ręku piórem postawił przecinki, widocznie opuszczone przez maszynistkę. Gdzieś tam poprawił słabo dobitą literę.

- Wszystko w porządku - rzekł po przeczytaniu.

I już chciał podpisać protokół na dole, w przeznaczony na to rubryczce, gdy w tej chwili major szybko usunął kartkę protokołu. Pióro z rozpędu zrobiło jakiś zygzak na blacie biurka.

- Co pan robi? - zdziwił się Kalinkowski.

- Spośród wielu pańskich kłopotów chcę mu zaoszczędzić jeszcze jednego: procesu o fałszywe zeznania - odpowiedział chłodno major, chowając niepodpisany protokół do teczki.

Kalinkowski zerwał się z biurka, odsuwając z hałasem krzesło, na którym siedział. Major również powstał ze swojego miejsca. Chwilę mierzyli się oczyma, wreszcie aplikant, wzruszając ramionami, powiedział:

- Nie rozumiem pańskich insynuacji, majorze.

- A ja jestem pewny, że rozumie je pan doskonale.

- Zeznałem wszystko, co mi było wiadome. Nie mam nic do dodania.

!,( )

51

- Jak pan uważa - odpowiedział major. - Powiniennem nic nie mówiąc poczekać, aż pan podpisze protokół, i natychmiast pana zaarrestować. Nie zrobiłem tego, bo wolno mi, ze względu na charakter sprawy, postępować z pewnymi odchyleniami od przepisów. Ale to już ostatnie ostrzeżenie. Wziął teczkę i skierował się w stronę drzwi.

- Jak się pan namyśli, to radzę przyjść do mnie. Będę czekał.

- Powiedziałem już, że nie mam nic do dodania.

- Radzę się zastanowić - odpowiedział major zamykając drzwi.

Po wyjściu majora Kalinkowski jeszcze chwilę stał, wreszcie usiadł, wziął pióro i usiłował dalej pracować, ale nie mógł. Pióro zbyt mu drżało w ręku, uniemożliwiając pisanie. Odłożył je i siedział bez ruchu, wpatrując się w jakiś nieokreślony punkt na ścianie. W końcu zdjął słuchawkę z widełek, nakręcił numer i powiedział:

- Chciałbym się z tobą jak najszybciej zobaczyć.

7

. Na Nadbrzeżu Polskim w Gdyni stał szwedzki statek s/s „Upsala”. Gęsty dym buchający z komina wskazywał, że palacz właśnie podrzucił sporą porcję węgla pod kotły i że statek gotów jest do odjazdu. Co do ładunku, to cały śródpokład zavalony był piękną białą kantówką. Ostatni robotnicy i funkcjonariusze WOP schodzili z pokładu. Na pokładzie „Upsali” wyciągnięto już trap. Starszy, siwawy marynarz, z dystynkcjami kapitana na mundurze, stanął przy kole sterowym. Marynarze szwedzcy zwolnili z wind grube, manilskie liny.

Polacy na nadbrzeżu rozluźniali nieco pętle, i po chwili zdjęte z pachołków cumy uderzyły głucho o nadburcie statku. Marynarze zaczęli je od razu ściągać windami. Statek stał jeszcze przy nadbrzeżu, ale już nic go nie łączyło z portem.

Z tyłu za rufą zakłębiło się. To nieruchoma dotychczas śruba drgnęła i zaczęła się obracać coraz szybciej. Statek jeszcze chwilę stał spokojnie, potem zakołysał się i powoli ruszył naprzód. Robotnicy, stojący na nadbrzeżu, machali rękoma. Szwedzi odpowiadali im pozdrowieniami. Ktoś krzyknął „szczęśliwej drogi”, ktoś po prostu powiedział „do widzenia”. Zwykle pożegnania, gdy statek wyrusza w daleki rejs.

Kapitan Olaf Atterbom pewną ręką prowadził swój statek. Wyszedł już na środek basenu i lekkim łukiem sterował „Upsalę” w stronę widniejących z dala latarni wyjściowych gdyńskiego portu.

„Upsala” po raz ostatni pozdrowiła rykiem swojej syreny port i wzięła kurs na pławę kierunkową Helu. Kapitan zakomenderował „całą naprzód”, oddał ster bosmanowi, a sam poszedł do kabiny dla zrobienia odpowiednich zapisków w księdze okrętowej. Morze było spokojne, podróż zapowiadała się pomyślnie.

Wtem do kabiny wszedł jeden z marynarzy.

- Kapitanie, mamy „blinda” na pokładzie.

- Co? Jak?

- Wlazł widocznie w czasie ładowania desek i ukrył się w tej komórce przy kominie.

- Przecież tam się można usmażyć - powiedział kapitan.

- Toteż nie wytrzymał długo. Kiedy statek ruszył i palacze dobrze podrzucili do kotłów, to na wpół żywy wylazł na pokład.

Kapitan klnąc wyszedł z kabiny.

Na pokładzie stał człowiek ubrany w kombinezon robotniczy, w wieku około 60 lat. Nie golony od paru dni i brudny. Na widok kapitana odezwał się w złej niemczyźnie.

- Uciekłem od komunistów. Groziła mi śmierć. Niech pan mnie ratuje.

Dobrze zapłacę za odstawienie do jakiegokolwiek portu skandynawskiego lub do NRF.

Kapitan, znający trochę język polski, uśmiechnął się lekko. - Niech pan mówi po polsku. Jak się pan znalazł na moim statku. Dlaczego?

- To szwedzki statek? Pan jest Polakiem? - w głosie pasażera na gapę wyczuwało się wyraźny przestach.

52

53

- Jest pan na „Upsali” płynącej pod szwedzką banderą.

Przybysz zaczął opowiadać, że pochodzi z bogatej ziemiańskiej rodziny.

Mieli wielkie majątki pod Lublinem. Komuniści brutalnie wyrzucili z

domu żonę z małym dzieckiem. On sam ukrywał się przez kilkanaście lat i

brał udział w partyzantce przeciwkomunistycznej, a gdy ta została rozbita,

żył pod fałszywym nazwiskiem pracując nadal w antykomunistycznej

organizacji. Brał udział w wielu zamachach. Teraz agenci komunistyczni

wpadli na trop tej organizacji. Część ich bojowców aresztowano, resztę po

prostu rozstrzelano. On sam lekko ranny zdołał jakoś szczęśliwie zbiec w

momencie, gdy milicja wkroczyła w nocy do jego mieszkania. Dzięki

pomocy życzliwej ludności na piechotę dotarł do Gdyni. Tu robotnicy

pomogli mu dostać się na statek i ukryć w luku wentylacyjnym przy

kominie. Ale było bardzo gorąco, więc nie mógł już dłużej ukrywać się w

swoim schowku. Liczy, że kapitan, jako przedstawiciel neutralnego

państwa zachodnioeuropejskiego, udzieli mu azylu i dowiezie do Szwecji.

Jego organizacja ma swoje placówki w każdym porcie Europy i hojnie

wynagrodzi właściciela statku i załogę.

Olaf Atterbom uważnie wysłuchał tej opowieści. Nie przerywał ani

słowem, ani gestem. Niech się nieznajomy wygada do woli. Łatwiej wtedy będzie można odróżnić, co jest prawdą, a co kłamstwem w jego historii.

Że tej prawdy jest raczej bardzo mało, o tym kapitan nie wątpił. Zbyt

długo pływał do Gdyni i zbyt dobrze znał stosunki panujące w tym kraju.

Gdy nieznajomy skończył swoje opowiadanie, kapitan polecił jednemu z

marynarzy otaczających ciekawym wieńcem „blinda”:

- Weźcie go na dół do łazienki, niech się umyje. Później niech mu kok da coś do jedzenia.

Gdy nieznajomy znikł pod pokładem, kapitan wrócił do swojej kajuty. Dobry humor, jaki mu towarzyszył od rana, rozwiął się bez śladu. Sprawa była nieprzyjemna i nie wiadomo było, co robić w tym przypadku. Może rzeczywiście „polityczny”, za którym stoi jakaś szpiegowska niemiecka lub amerykańska organizacja? Z takimi lepiej nie zadzie-

54

rać. Mają swoje sposoby. Nie tak dawno jego przyjaciel wysadził na brzeg marynarza, Niemca z NRF, który zamustrował się na szwedzki statek płynący do jednego z rosyjskich portów. U marynarza kapitan dostrzegł zestaw różnych precyzyjnych aparatów fotograficznych. Nie chcąc więc ryzykować, wysadził Niemca wraz z jego podejrzanym bagażem na jednej ze śluz Kanału Kilońskiego. Gdy wrócił do Hamburga, jakiś „pijak” pchnął go nożem w biały dzień na ludnej ulicy. Na dobitek złego władze portowe zaraz go ukarały grzywną tysiąca marek za szczury na statku. Na ładunek czekał przeszło dziesięć dni i wreszcie uciekł z niegościnnego portu.

Bez względu zresztą na to, czy to polityczny, czy zwykły złodziej, który coś ukradł i chce uciec za granicę, wziąć „blinda” i zawieźć do Szwecji, to znaczy narazić się polskim władzom portowym. Poza tym kapitan Atterbom dobrze wiedział, że i w Szwecji nie lubią takich pasażerów. Protokoły, dochodzenia, przesłuchania...

- Potrzebne mi to było - powiedział sam do siebie. I jak zwykle, gdy miał jakieś „polskie” kłopoty, postanowił poradzić się swojego oficera-mechanika, Oskara Borga. Przez telefon okrętowy wydał polecenie, żeby Oskar natychmiast przyszedł do jego kajuty.

- Wiesz już, że mamy „blinda” na pokładzie - tymi słowami przywitał kapitan swojego mechanika wchodzącego do kajuty. - Niech go cholera...

- Niech go cholera - zgodził się Borg.

- Co teraz zrobimy?

- A gdzie jesteśmy?

- Za pół godziny będziemy na wysokości cypla Helu - poinformował kapitan.

- A więc jesteśmy na wodach terytorialnych Polski - zauważył spokojnie mechanik - w myśl przepisów prawa międzynarodowego jesteśmy obowiązani zawiadomić władze polskie o pasażerze na gapę i niech go sobie zabierają.

- Kiedy to podobno uciekinier polityczny - kapitan wahał się co zrobić i powtórzył Bergowi opowiadanie Polaka.  
Oskar wybuchnął głośnym śmiechem.

55

- Łże od początku do końca. Stawiam roczną pensję, że to zwykły złodziej. Na pewno nie miał żadnych majątków pod Lublinem. Był kasjerem w banku albo kierownikiem sklepu i uciekł z kasą. Co miał kapitanowi powiedzieć? Że za nim listy gończe rozpisano za kradzież? Musiał bujać, że ucieka, że polityczny, że walczy z komunistami. Na szczęście nie na naiwnych trafił. Jak się nazywa?

- Zaraz się dowiemy - kapitan zadzwonił i polecił jednemu z marynarzy przynieść dokumenty zbiega. Z dostarczonego polskiego dowodu osobistego wynikało, że pasażerem bez biletu jest Andrzej Myśliński, lat 58, z zawodu ślusarz-mechanik, zamieszkały w N., pracujący w tamtejszej cementowni. Żonaty. Wykształcenie 7 klas szkoły podstawowej.

Kapitan nie wahał się dłużej. Napisał krótką depezę o wypadku i polecił oficerowi pełniącemu jednocześnie na „Upsali” funkcję radiomechanika, natychmiastowe wysłanie jej do kapitanatu portu w Gdyni. We trzech czekali w kabinie radiowej na odpowiedź. Nadeszła po upływie kilkunastu minut. Kapitanat portu prosił, żeby statek nie zmieniał kursu, tylko zwolnił szybkość do 5 węzłów. Z portu na Helu podpłynął kuter pościgowy WOP-u, który zdejmie z pokładu nielegalnego pasażera.

Ze statku widać było wyraźnie, jak z pobliskiej przystani na Helu wyszła w morze jakaś niewielka motorówka. Stale nabierała szybkości i, ciągnąc za sobą smugę białej piany, mknęła wprost na „Upsalę”. Kilkanaście minut później trzech wojskowi w ciemnych, marynarskich mundurach znaleźli się na pokładzie „Upsali”.

- Panie kapitanie - meldował jeden z nich - starszy bosman, dowódca kutra KP-125 melduje się w sprawie nielegalnego pasażera.

- Proszę, tu są jego dokumenty - kapitan przywitał się z bosmanem. - Przeprowadźcie tego blindę - dodał zwracając się do swoich ludzi.

Pasażer bez biletu ukazał się w otworze schodów prowadzących do śródokręcia. Spojrzał na grupkę stojących osób i zobaczywszy mundury marynarzy WOP-u, zrozumiał wszystko. Zrobił jeszcze parę kroków naprzód, nagle

skreślił, przebiegł pięć metrów dzielące go od burty statku i przeskoczywszy metalowe barierki, zniknął na zewnątrz.

- Alarm! Człowiek za burta! Maszyna stop! - komenderował dowódca statku. - Maszyny wstecz!

Statek prędko wytracał i tak niewielką szybkość.

- Szalupa na wodę!

W mgnieniu oka jeden z wopistów ładnym łukiem skoczył w kierunku, gdzie pod falami znikł nieszczęsny blind...

Na wodzie ukazała się jasna czupryna wopisty. Widać było, jak walczy z zalewającą go raz po raz falą, ale już kuter i spuszczone na wodę łódź płynęły w jego kierunku.

Pływak znowu wynurzył się na powierzchnię.

- Bosak! - wykrzyknął, starając się silnymi ruchami nóg utrzymać nad powierzchnią wody.

Jeden ze Szwedów, ich łódź była bliżej, podał mu wiosło. Pływak chwycił je jedną ręką, nie wypuszczając z drugiej swojej zdobyczy. Na kuter wyciągnięto niedoszęłego samobójcę, a za nim o własnych siłach wygramolił się jego zbawca.

- Niech go diabli - klął - alem się napił wody. Ledwie go znalazł...

Nieznajomego wyciągnięto na pokładzie kutra. Dwóch marynarzy fachowymi ruchami przystąpiło do ratowania topielca. Przewrócono go twarzą do pokładu, wylano wodę z płuc i rozpoczęto sztuczne oddychanie. Po paru minutach denat otworzył oczy.

Dowódca kutra jeszcze raz wszedł na statek, żeby podziękować za pomoc w ratowaniu tonącego i załatwić formalności zdjęcia z pokładu obywatela polskiego, Andrzeja Myślińskiego. Równocześnie z odpowiednimi dokumentami kapitan wręczył starszemu bosmanowi butelkę koniaku.

- Dziękuję, panie kapitanie! Jesteśmy na służbie. Nic nam nie potrzeba - bronił się bosman.

- Nie daję wam do picia - roześmiał się kapitan - to lekarstwo dla tamtego, który wskoczył do wody. Żeby się nie przeziębził. A i innym przyda się parę kropel leku. Trzeba dbać o zdrowie.

56

57

- No, skoro pan kapitan mówi, że lekarstwo, to bardzodziękujemy - bosman schował butelkę do kieszeni spodni.

"Upsala" podążyła w dalszą drogę kursem na Malmoe, kuter KP-125 zaś zawrócił do portu na Hel.

Tutaj uciekinier przebrał w suche ubranie.

Lekarz udzielił mu pomocy dając zastrzyk na podtrzymanie akcji serca.

Zbieg był całkowicie załamany.

Odmówił przyjęcia posiłku i nie odzywał się do nikogo.

- Nic się nie martw, frajerze - pocieszał go któryś z wopistów - głowy

ci nieurwą.

Dostaniesz najwyżej parę miesięcy za próbę ucieczki.

A może nawet wykręcisz się

grzywną.

Przy Myślińskim nie znaleziono żadnych pieniędzy ani żadnych papierów, tylko dowód osobisty, który bosmanowi oddał kapitan Olaf Atterbom.

Dowódca miejscowej jednostki postanowił, że zbieg na razie odpocznie parę godzin, po czym przewiezie go się do Gdyni i przekaze milicji.

Nazajutrz Myśliński został przesłuchany w Gdyni przez jednego z oficerów w miejscowej Komendzie Miejskiej MO.

Personalia swoje podał zgodnie z posiadanym dowodem osobistym i wyjaśnił, że chciał nielegalnie wyjechać do Szwecji, aby stamtąd dostać się do Ameryki, gdzie ma rodzinę.

- Przecież mogliście otrzymać od nich zaproszenie i wyjechać "Batorym" na parę miesięcy.

Po co było ryzykować?

Jak dostaliście się na statek?

Zbieg wyjaśnił, że na podróż "Batorym" nie miał pieniędzy i nie chciał nie prosić rodziny.

Postanowił własnymi siłami dostać się do USA.

Nie wiedział, że bez zaproszenia nie otrzyma nigdzie wizy.

Myślał, że jak się w pierwszym szwedzkim porcie poda za uciekiniera z Polski, to go za darmo zaraz dowiozą do Stanów Zjednoczonych.

Co do sposobu dostania się na statek, sprawa była zupełnie prosta.

Poprzybyciu do Gdyni zgłosił się do pracy i został skierowany do Przedsiębiorstwa Usług Portowych.

Przez parę dni czekał na okazję.

Właśnie zdarzyła się wczoraj, ładowali drewno na "Upsalę".

Na ten statek ani WOP, ani celnicy nie zwracali prawie żadnej uwagi.

Gdy więc ich zmiana skończyła pracę i zeszła ze statku, po godzinie był już z powrotem.

Za 58

wczasy znalazł sobie odpowiednią kryjówkę - małą, ciemną komórkę przy samym kominie.

Wśliznął się do niej i czekał.

Ale w tym pomieszczeniu było bardzo gorąco i duszno.

Kiedy się zorientował, że są już w drodze, odczekał jeszcze z godzinę i na wpół żywy wyszedł na pokład.

Głupiasprawa - pomyślałprzesłuchujący.

- Pieniądze jakieś polskie czy obce, złoto, dolary macieprzy sobie?

-Nie mam nic.

Przecież już mniew WOP-ierewidowali nic nie znaleźli.

- Trudno - powiedział oficer MO - będę was musiał narazie zatrzymać do wyjaśnienia sprawy.

Potem zobaczymy, co dalej.

Sporządził protokół "przesłuchania podejrzanego", który Myśliński podpisał, i polecił dyżurnemu milicjantowi odprowadzić zbiega do tymczasowego aresztu, a sam poszedł do komendanta z raportem.

- No, cóż!

- Komendant wysłuchał uważnie całej sprawy.

-Waluty przy nim nie znaleziono.

Dokumentów ipapierówważnych nie wywoził.

Nie popełnił więc przestępstwa dewizowego.

Weźcie od niego odciski palców.

Trzebaje posłaćdo Warszawy, do Centralnego Biura Dokumentacji.

Na razie nich dwa, trzy dni posiedzi u nas.

A dlaczego chciał się utopić?

- Mówi, że ze strachu.

Bał się, że za ucieczkę dostanieco najmniej 5 lat.

Obaj oficerowie roześmiali się z naiwności uciekiniera.

Porucznik wydał polecenie, żebyfotograf milicyjny wykonał zdjęcia i pobrał odciski.

- Jeszczedzisiaj listem dworcowym wysłać do KGMO!

8

Było po północy.

W mieszkaniu majora Krzyżewskiego wszyscy już spali, gdy nagle zadzwonił telefon.

Major wyrwany z pierwszego, mocnego snu dopiero po trzecim sygnale podniósł słuchawkę.

Na jego zaspane "halo" usłyszał głos:

- Obywatel major Krzyżewski z KGMO?

59.

- Tak, to ja,

'- Tu dyżurny sierżant z Komendy Dzielnicowej na Walicowie. Z polecenia obywatela porucznika Rajskego zawiadamiam, że obywatel Jan Napiórkowski został zatrzymany na ulicy Wroniej za wszczęcie bójki z obywatelem Antonim Palusem i obywatelem Marianem Chmielewskim.

- Zaraz, zaraz, sierżancie - przerwał major - skończciez tymi obywatelami i powiedzcie krótko, o co chodzi.

Co za Jan Napiórkowski?

- No ten Rękawek, o którego major pytał u nas.

- Aa, Rękawek!

Świetnie, że go macie.

Przyjadę do was jutro o dziewiątej.

Dajcie znać od razu porucznikowi Rajskeemu.

- Mamy ptaszka- tymi słowami porucznik Rajski powitał majora wchodzącego do jego pokoju w KDMO na Walicowie.

- Jeżeli chcecie, to zaraz dadzą go nam tu na górę.

- Poruczniku, lepiej zwalnijcie kolejno wszystkich zatrzymanych, tak żeby Rękawek został na sam koniec.

Wtedy i on, i jego kumple będą myśleli, że idzie na wolność.

- Obchodźcie się z nim jak z jajkiem!

Ale dobrze, zrobimy, jak chcecie.

Tylko przesłuchiwać ja go będę osobiście.

Nie upłynęło pół godziny, kiedy do pokoju wprowadzono mężczyznę około 40 lat, krępego, silnie zbudowanego.

Lewe ucho miał grube, mięsiste, lecz zupełnie płaskie, bez śladu zarysumuszli usznej i u góry nieco oberwane.

Wchodząc szybkim spojrzeniem obrzucił cały pokój.

Przelotne zdumienie odbiło się na jego twarzy na widok nieznanego oficera milicji z dystynkcjami majora.

Uklonił się nisko.

- Moje uszanowanie panu porucznikowi.

Jak zdróweczko?

Dawnośmy się nie widzieli.

A pana majora nie mam przyjemności jeszcze znać.

- Słuchajcie, Rękawek - głos porucznika Rajskego brzmiał groźnie- nie spotykamy się w salonie iniepotrzebne tutaj żadne "trele-morele".

Gadajcie krótko, cościeznowu z majstrowali.

- Ja nic nie wiem, panie poruczniku.

Niech tak skonam.

60

- To ja się wami opiekuję, pracę wam wyrabiam, a wyco?

Długo pracowaliście?

A mówiliście, że to ostatni raz.

- Panie poruczniku, niewinny jestem.

Jak Boga kochanego!

Jakichś dwóch ochlapusów coś tam zrobiło, jedendrugiego pysk strzelił, a tu zaraz milicji jak psów.

O, przepraszam - poprawił się - milicja wpada i wszystkich, którzy byli w knajpie, od razu do mamra zabiera.

Czy to jest sprawiedliwość?

To łamanie praworządności.

- Słuchajcie, Rękawek, ostatni raz was ostrzegam.

Nieróbcie zemnie balona.

- Jak bym śmiał, panie poruczniku.

Tyle lat pracujemy ze sobą.

Ja miałbym z kochanej swojej władzy ludowej balona robić?

Skarz mnie Bóg!

Major siedział z boku i nie mówiąc ani słowa pilnie przysłuchiwał się temu dialogowi.

Widział, jak spokojna na początku twarz porucznika stawała się coraz bardziej czerwona.

Nozdrza zaczęły mu lekko drgać.

Przypomniało to majorowi dawne czasy.

Jeszcze w szkole oficerskiej w Słupsku starszy, doświadczony wykładowca wiele razy im powtarzał, że między prowadzącym śledztwo a przestępcą toczy się pojedynek.

W tej walce wygrywa ten, kto dłużej zachować spokój i nie da się ponieść nerwom.

- Dość tego gadania - porucznik huknął pięścią w stół.

- Gadajcie do cholery, jak to było z tym zabójstwem prokuratora Agrykoli.

- Ja nie wiem o żadnym zabójstwie żadnego prokuratora - twarz Rękawka ani drgnęła - pan porucznik mnie zna. Rękawek czasem robił "bombę", ale nigdy nie szedłna „ mokrą robotę".

- We wtorek napadnięto na Agrykoli i zamordowano prokuratora. Mamy dowody, że braliście udział w napadzie.

W pracy was niebyło.

Świadkowie widzieli was namiejscu zbrodni.

Znalezionoworeczek z piaskiem.

- Ja tam nic nie wiem.

Mało tofrajerstwa teraz na rozbójchodzi.

Weźmie jeden z drugim trochę piasku do worka i pod uczciwego fachowca się podszywa.

- Co robiliścietego ranka?

-Jakiego ranka?

- Rękawek nie dał się złapaćw pułapkę.

61.

- We wtorek przed dziesięcioma dniami.

Do pracy przyszlście wtedy z trzygodzinnym opóźnieniem.

- A, wtedy!

Trochę sobie człowiekiem wieczorem kropnął, to się i zasnął.

Gdzie miałembyć?

Prosto z domu poszedłem do roboty.

- To dlaczego widziano was na Agrykoli?

- Ja tam nie wiem, kto mnie widział.

Z domu poszedłem do pracy.

- Kto to był tendrugi.

Wasz wspólnik?

- Nie mam żadnego wspólnika.

- Słuchajcie, Rękawek.

Tyle razy chodziliście na "bombę", macie dziesięć wyroków i tłumaczycie się jak ostatni frajer.

Wyraźnie mówię: mamy dowody.

Poznał was i portier Ministerstwa Oświaty, i świadkowie na przystanku.

Znaleźliśmy też woreczek z piaskiem, a wy tutaj bajeczki opowiadacie.

Wiecie, że jak się przyznacie, to i lepiej będzie wam w mamrze, i wyrok będzie łagodniejszy.

Co wam do głowy strzeliło, aby wbiały dzień, i to naprokuratorarobić zamach?

- Ja nie wiem, panie poruczniku, o czym pan mówi.

- Nie będziecie też nic wiedzieli, jak oberwiecie wyrok z artykułu 225.

Dotychczas dużo rzeczy wam się upiekło.

Tylko raz oberwaliście pięć lat.

Niedługo będziecie wspominali, jak to dobrze było, kiedy dostawało się tylko pięć lat.

Popatrzcie na ulicę, przyjrzyjcie się jak tam ludzie sobie chodzą, bocoś mi się widzi, że więcej jej za życia niezobaczycie.

- Co pan mnie tak straszy, panie poruczniku?

Ja niezłych bojących.

Ciągle pan mi mówi o mokrej robocie o 225 artykule.

Już mnie pan zamyka w trumnie niczym umarlaka.

Jeszcze jest sąd, jeszcze musi być sprawa.

Jeszcze mi niczego nie dowiedziono.

Gdzie ten trup, ten prokurator, co go miałem zabić?

Może mi go pan pokaże?

-W tonie Rękawka wyczuwało się wyraźną kpinę.

Tak też musiał to zrozumieć porucznik Rajski, bo odpytał przeszedł do perswazji.

- Rękawek, sami pomyślcie.

Macie złą sprawę.

Nawet gdy wszystkiemu zaprzeczycie i gdyby doszło tylko do po62 szlakówki, to i tak dobrze zarobicie.

Co najmniej z dziesięć lat.

Przecież tego wam prokuratura nie puści płazem.

Sąd też nie będzie się namyślał.

Dadzą wam duży wyrok, choćby dla odstraszenia, żeby się różne knajaki za prokuratorowi sędziów nie brali.

Żeby zrozumieli, że im się to nie opłaca.

Im się to nie będzie opłacało, a wy zapłacicie własną skórą.

No, Rękawek, miejcie rozum.

Przecież wiem dobrze, że sami tej roboty nie wymyśliliście.

Kto to był ten drugi?

- Janicie wiem - tępo odpowiedział Rękawek utkwivszy oczy w podłódze.

- A Macioszka znacie?

- Nie znam żadnego Macioszka.

- Ale z wasu party człowiek.

Ja dla niego jak najlepiej, z samej życzliwości chcę chłopca wyciągnąć kabały, a ten mi wariata struga.

Mówi, że Macioszka nie zna.

Tego z cementowni z N.

- Żadnego Macioszka nie znam - powtórzył Napiórkowski.

- To i czeku też niewidzieliście?

- Jakiego czeku?

- w głosie Rękawka można było wyczuć prawdziwe zdumienie.

- Słuchajcie, Rękawek, gadajcie po dobroci.

- Ja nic nie wiem, panie poruczniku.

- Jak sobie chcecie - porucznik mówił te słowa sztucznie spokojnym głosem.

Rajski wezwał dyżurnego milicjanta.

- Wziąć go nadół, do izolatki.

Pilnujcie, żeby z nikim się nie komunikował.

Jeszcze jedno.

On się chce oduczyć palenia.

Dym muszkodzi.

- Mogę nie palić, panie poruczniku - zgodził się Rękawek wychodząc z pokoju.

- Patrz pan, takie bydlę - wybuchnął porucznik.

- Nie denerwuj się, poruczniku.

Posiedzi kilka godzin, pomyśli i w końcu na pewno zmięknie.

A teraz musimy podzielić role.

Za jakieś trzy, cztery godziny weźmiecie goznowu na górę i ja z nim pogadam w cztery oczy.

- Doskonale - zgodził się porucznik, który po tej rozmowie gotów był uznać całe przesłuchanie za swój wybitny sukces - więc mówicie, że za cztery godziny i na zmianę.

63.

- Tak, tak jak proponujecie.

Muszę wyskoczyć do prokuratury na Świerczewskiego i zaraz wracam.  
A Rękawekniech siedzi.

W prokuraturze, jak zwykle, powitano majora tradycyjnym już pytaniem:

- Co nowego w naszej sprawie?

- Powoli zaczyna się klarować.

Mamy już pewne zaczepienia.

Zdaje się, że nareszcie złapaliśmy odpowiednią ścieżkę.

- Jaką ścieżkę?

- ucieszył się prokurator Jerzy Kur.

- Różne niteczki.

Kręcimy je i splatamy, żeby z tego utworzył się cały sznurek.

Znamy już pewne fakty, mamy pewne podejrzenia i mamy w swoich rękach tego, co rozbił głowę Zygmuntowi Kalinkowskiemu.

- To on zabrał czek?

- zapytała panna Halina Wilska.

- Być może, że on.

Ta sprawa nie została definitywnie rozwiązana.

Zresztą nie jest w tej chwili najważniejsza.

- Wiesz, z tobą naprawdę trudno się dogadać.

My tu wszyscy na głowach stajemy - prokurator Kur był wyraźnie zły - a przychodzi sobie taki jeden i mówi, że dla niego sprawa czeku na 80 000 dolarów nie jest najważniejsza.

- Naturalnie, że nie najważniejsza.

Najważniejsi są ludzie.

Skoro będziemy mieli ich w rękę, będziemy mieli i czek.

Rękawek jest aresztowany.

Bez trudu możemy mu dowieść udziału w napadzie.

To jednak nawet krok nieposunie sprawy wykrycia tych ludzi z "białego gangu", którzy są nawolnością i którzy zawładnęli czekiem.

Dlatego też myślę o lepszym sposobie: skłonić Rękawka do mówienia nawet pod warunkiem przymknięcia oka na to, że on kiedyś trochę potrafił w głowę czcigodnego pana aplikanta Kalinkowskiego.

- Dlaczego mówisz z takim przekąsem o Zygmuncie?

On mi się nawet skarżył, że go podejrzewasz.

- Z was wszystkich najbardziej właśnie podejrzewam Kalinkowskiego.

- Więc i ja jestem podejrzany?

- zdziwił się prokurator.

- Bardzo ci, Stachu, dziękuję.

-Nie masz zaco - odpowiedział major -dla mnie muszą być podejrzani wszyscy ci, którzyw jakikolwiek spo64 s6b mielidostep do akt i wiedzieli o czeku.

Naprzykładpanna Halinka.

Czy było jej trudno wywabić Zygmunta z gmachu sądów i poupewnieniu się, że ma on przy sobieteczkę zaktami "białogogangu", zorganizować na niegonazajutrz napad?

- POCO miałabym organizować napad - Halinka byłaszczere ubawionasłowami majora- mogłam po prostuwyjąć zteczki leżącej w szafie, do której mam klucze.

-To bysię od razu wydało.

Gdyby czek zginął z gabinetu prokuratora, bardzo łatwo byłoby ustalić, kto ostatni miał go w ręku i kto go wziął.

Liczba podejrzanychograniczyłaby się tylko do trzech osób: Jerzego, pani iKalinkowskiego.

A tak to podejrzanych jest znacznie więceji niewyklucza się możliwości, że sprawcą jest człowiek,którywtejhwiłi stoipoza wszelkimi podejrzeniami.

- Bardzo mądrze to wywiodłeś.

Jak przystało na gwiazdę polskiej kryminalistyki.

- Prokurator Kurusiłowałwszystko obrócić w żart.

-Ale powiedzmi, co znaczą twoje słowa, że z nas wszystkich najbardziej podejrzewaszZygmunta?

- Bardzo proste.

Złapałem go na próbie wprowadzeniamniew bład.

Dopóki nie będę wiedział, co było tego powodem,Zygmunt pozostanie na liście podejrzanych jako numer pierwszy.

- Może pan nam powiedzieć, o co chodzi?

- Halinkaniebyłaby kobietą, gdyby nie okazała zaciekawienia.

- Właściwie nie powinienem, ale powiem.

Po prostu Kalinkowski zeznał, że wyszedł z sądu przed godziną siódmawieczorem i poszedł prosto do domu.

A wiemy ze słów jego ciotki, że wrócił na Ujazdów dopiero około dziewiętejwieczór.

Co robił wciągutych dwóch godzin?

Droga muzając mogłanajwyżej 45 minut.

- Majorze, czypan nigdy nie byłmłody?

- roześmiała się Halinka.

-Na pewno umówił się ze swoją dziewczyną.

- Todlaczego o tym milczy?

-Po prostu niechce jej wciągać w sprawę.

Chce jej oszczędzić przyjemności wizyty milicji i przesłuchania.

A może to męczatka, z którą spotykał się ukradkiem?

Mo65.

że boi się, aby cała rzecz nie doszła do Płocka, gdzie Zygmunt ma narzeczoną?

- Zaraz, zaraz - podchwycił major - panimówiła, że onwsądzie ma kogoś?

- Nie ma nikogo, ale podobała mu się Zosia Samaszkówna. I nie z sądu, lecz z Prokuratury Stołecznej.

- Mam dopani prośbę.

Niech pani delikatnie wybada tę Zosię, czy rzeczywiście umawiała się z Kalinkowskim narandkę.

Może istotnie moje podejrzenia są bezpodstawne?

- Bardzo chętnie pomogę panu - zgodziła się Halinka.

- I tak miałam iść do Stołecznej.

Zaczeka pan na mnie.

Wrócę najwyżej za kwadrans.

Po wyjściu sekretarki major zauważył:

- Ładna dziewczyna.

I ma dobrze w głowie.

Czy zwróciłaś to uwagę?

- A daj mi święty spokój!

Mów milepiej o sprawie, a nieo urodziei głowie Halinki.

- Skoro wolisz mówić o sprawie, to wracajmy do niej.

Jaktamtwoje przesłuchania?

Co mówią ludzie z "białego gangu"?

- Można chyba przyjąć za pewne, że w sprawy rozrachunków zagranicznych Lisowski nie wtajemniczał nikogo.

Członkowie gangu dostawali od swojego "bossa" dość poważne kwoty, ale zawsze w polskiej walucie.

Obiecano im również, że po skończonych dostawach każdy, w zależności od swojej roli, dostanie od kilkudziesięciu do paruset tysięcy złotych.

Nawet nic nie wiedzieli o kombinacjach bankowych i dewizowych Lisowskiego.

- A sam Lisowski?

- Oczywiście dowiedział się jakąś drogą, że czek zaginął.

I albo udaje, albo naprawdę jest zmartwiony.

Uważa, że go okradli.

- Wcale się nie dziwię - odpowiedział major.

- Jeśli nawet zrobili to ludzie z "białego gangu", nie będą przecie żtacy głupi, aby dzielić się ze swoim szefem siedzącym zakratkami.

Chyba że inaczej nie będą mogli podjąć pieniędzy.  
W świecie podziemnym to tak jak w stawie ze szczupakami.  
Większy i silniejszy zjada słabszego.  
A kto siedzi, ten jest słabszy.

66

- Ale dlaczego wątpisz, że zrobili to ludzie "białego gangu"?

A kto mógł inny zrobić?

Tylko oni!

- Tego nie wiem.

Są przecież różni podejrzani.

Naprzykład Kalinkowski.

- A ty z uporem maniaka ciągle wracasz do tego Kalinkowskiego.

Też przestępca!

Ta sprawa przekreśliłaby jego przyszłą karierę prawniczą.

- Karierę prawniczą niewątpliwie.

Ale nie zamożność niezależność.

Słuchaj, Jerzy, czy ty nigdy nie pomyślałeś, że to nie tylko "dowód rzeczowy", lecz osiem milionów złotych?

I to płatne w dolarach za granicą.

Zważ, że Kalinkowski miał właściwie najwięcej możliwości zorganizowania całej afery.

Po prostu wyniósł czek i umówił się, że nadruży dzień ktoś go lekko trzaśnie w głowę.

Nawet upoważnienie od Lisowskiego mógł dostać pod pozorem przesłuchiwania go.

- To wszystko, co mówisz, może być prawdą, ale niewierzę, że Zygmunt był bezpośrednim czy nawet pośrednim sprawcą tego przestępstwa.

- Ja też nie mówię, że bezwzględnie wierzę, lecz nie mogę tego nie brać pod uwagę.

Tym bardziej że mam luki w jego zeznaniach.

W tej chwili drzwi się otworzyły.

Halinka weszła dopokoju i kładąc na stole teczkę z aktami, zwróciła się do majora.

- Przez pana pogniewałam się z przyjaciółką!

- Dlaczego?

- Kiedy zapytałam o Zygmunta, Zosia skoczyła, jakby ją kto gorącym żelazkiem parzył.

"A dajcie mi spokój - krzyknęła - z tym całym Zygmuntem!"

Żepare razy domnie przyszedł itrochę pożartowaliśmy, to zaraz po całymgmachu się rozniosło.

Narzeczony zazdrosny.

Zrobił midziką awanturę.

Groziłzerwaniem, jeżeli jeszcze coś usłyszysz o Kalinkowskim.

Nawet prosiłam Zygmunta, żeby tuda mnie nieprzychodził.

To było jeszcze przed wypadkiem.

A po wypadku znowu wszyscy z kondolencjami domnie przychodzą".

- Aleczy widziała się z Zygmuntem w dzień przed napadem?

- zapytał major.

67.

- Powiedziała, że nie.

Chciała nawet przysiąc, że jest niewinna.

A mnie nazwała szpiclówką- panna Halina aż trzęsła się z oburzenia.

- Bardzo pani dziękuję, Halinko -major zdawał się być bardzo zadowolony z raportu sekretarki.

- Nawet sobie pani nie wyobraża, jaką mi od dała przysługę.

Muszę przesłuchać Rękawka, tego, który napadł na Kalinkowskiego.

Jeżeli będzie miał coś ciekawego, to jutro do was wpadnę.

Jadę teraz na Waliców.

Do pokoju, który porucznik Rajski odstąpił majorowi, wprowadzono Jana Napiórkowskiego alias Rękawka.

Uklonił się grzecznie oficerowi milicji i zauważył:

- Widzę, że teraz pan major będzie ze mną gadał.

Ho!Ho!

Rękawekrośnie w cenie.

Coraz wyższe szarże mają doniegi interes.

- Nie błażnujcie, Rękawek.

Chcę, żebyśmy porozmawiali poważnie.

Możecie nam pomóc, a pomagając nam, na pewno nie zaszkodzicie sobie.

Rękawek milczał.

- Będę mówił z wami otwarcie i szczerze.

Wasz rzecz, jak się do tego stosunkujecie.

Napadliście i ogłuszyliście aplikanta - urzędnika prokuratury, zabraliście mu teczkę ważnymi dokumentami.

- Ja nic nie wiem, panie majorze.

- Nie przerywajcie mi.

Dobrze wiecie, że mam dostateczną ilość dowodów, aby was tak położyć, że na rozprawie dostaniecie najmarniej kilkanaście lat.

Prokurator może wam zrobić akt oskarżenia z 225 artykułu

kodeksu karnego w połączeniu z artykułem 23 paragraf 1 - wiecie, ten o usiłowaniu.

A do tego pasuje jeszcze jak ułał ten "bandycki" artykuł 259.

Razem sprawa prosta i można ją puścić w doraźniaku.

- Pan porucznik też mi przed paru godzinami groził - odpowiedział ponuro Rękawek.

- Ale ja wam niegrozę.

Ja właśnie chcę wam pomóc.

Z jednej strony macie sąd doraźny i ładny wyrok, z drugiej gotów jestem iść

wam na rękę.

Można to potraktować niejako artykuł 225 - ten o zabójstwo, ale 237, a tu wyrok

68

może być tylko do dwóch lat.

I sprawa idzie z oskarżenia prywatnego.

Może udami się poprosić pana aplikanta Kalinkowskiego, aby takiego oskarżenia nie składał.

Ostatecznie leżał w szpitalu tylko sześć dni i już jest zdrow.

- Taki pan dobry, panie majorze?

Kapusia chce pan z Rękawka zrobić?

- Nie jestem dobry, tylko naprawdę jest mi was żal.

Zrobili z was balona i teraz wy leżycie, a oni śmieją się w kółko.

Czy wiecie, co byłow tej żółtej teczce?

- Nie wiem nic o żadnej teczce.

- Dobrze.

Możecie nie mówić.

Ja wam sam powiem.

Byłtam jeden papierek, który jest wart osiem milionów.

I teraz facet ma forszę, a wy doraźniaka i widoki na to, co zobaczycie z celi na Mokotowie.

Więc macie wóz albo przewóz.

- Pan major prawdę mówił o tych ośmiu milionach?

- Daję wam oficerskie słowo honoru, że w całej rozmowie ani razu nieskłamałem i naprawdę chcę was wyciągnąć tej kabały.

Rękawek nic nie odpowiedział.

Widać było, jak mu drżą ręce.

Major podał mu papierosy.

Chciwie zaciągnął się parę razy dymem.

Jeszcze chwilę milczał, aż wreszcie podjął decyzję.

- Z pana majora przyzwoitychłop.

Nie tak jak porucznik, co to myśli, że na duś wszystko z człowieka wyciśnie.

Pan major inteligentnie z człowiekiem rozmawia.

A Rękawek też swój honor ma i inteligencję u ludzi szanuje.

Powiem wszystko, ale od razu mówię, że niewiele wiem.

I jeden warunek - tam był zemną koleżka.

Tyle żemi pomógłszedł zaobstawę.

Ale niewinny.

Więc po co go wrabiać?

- Zgoda - zdecydował major - nic o nim nie wiem i niebędę się dowiadywał.

-To rozumiem.

To jest człowiek.

Nie to, co porucznik.

Przecież tyle lat współpracujemy z sobą.

Nawet tę gwiazdkę przeze mnie dostał wtedy, gdy mnie złapał na tej "bombie" na Elektoralnej, co to pięć lat mi dali.

I tak mnie, starego znajomego, potraktować.

Major, choć śmiać mu się chciało z tej całej żłodziejskiej filozofii, nie przerywał ani słowem, a Rękawek ciągnął dalej:

69.

- Kiedy mnie wzięli, będzie coś ze trzy i pół roku temu, siedziałem w dużej celi na Mokotowie.

Oddziałowy, który się do mnie przydarł, dał mi na złość do frajerskiej celi. Więc siedzę, a tu ze mną same dyrektory, kasjery, kierownicy, ani jednego porządnego złodzieja.

Siedzę tak parę dni już chciałem oddziałowego jakoś zblatować, a tu drzwi się otwierają i wpuszczają młodego człowieka.

Wziął go ze "Słowianki" na Puławskiej.

Tam się nożami porznęli, więc wszystkich z tego towarzystwa przymkli. Ten młody zaczął od razu takiego knajaka odstawiać, że frajerzy w portki przed nim robili.

Zaraz z łyżki nóż sobienia kaloryferze zrobił i każdemu, kto go nie chciał słuchać groził, że goźgnie.

Ja tam siedzę spokojnie i nic się nie wtrącam, a on nie wiedział, że ja za "bombę".

Można jeszcze jednego papierosika?

Major wyciągnął paczkę i podał zapalki.

Rękawek przypalił i pochwilimówił dalej:

- Tak minęło kilkadni.

Raz na obiad wyfasowaliśmy "katolika".

Słony był jak cholera, bo prosto z beczki dawali.

Więc ten knajak podłubał trochę i powiadado mnie:

"Wymyj mimiskę, bo mi się nie chce rąk moczyć" - i stawia michę przede mną.

Wziąłem ja więc tego śledzia i jak nim prasnę w ten blady pysk!

Dzieciuch porwał się do bicia, to mu najpierw dałem lewy prosty w żołądek, aż się skurczył.

Potem go wyprostowałem prawym sierpowym, że przez trzy prycze przeleciał, a na czwartej obudził się.

Taka się potem glizda grzeczna zrobiła, że rzygać się chciało.

Ja naprawdę byłem dobrym bokserem - o mistrzostwo Warszawy walczyło się przecież!

Jakoś po paru dniach - ciągnął dalej Rękawek - zwolnili go z mamra. Tylego widziałem.

Teraz jak wyszedłem, to pan porucznik po starej przyjaźni zrobił mi pracę u Kasprzaka.

Wychodzę ja kiedyś z fabryki, a tu pod bramą stoi ten blady.

I zaraz do mnie: "Moje uszanowanie, panie Rękawek".

Prosi do restauracji, pół litra stawia i wdzięczysię, jak małpa na drabinie.  
Wiadomo, jak jest jeleń, który płaci, to dlaczego nie wypić?  
Przy drugim pół litru facet mówi, że jest do zrobienia interes.  
Jeden gość ma teczkę

70

z takimi papierami, za które dyrektor jednego sklepu dobrze zapłaci.  
"Dam - powiada - pięć kaflów za tę teczkę.

Sprawa łatwa, bogość mieszka na Ujazdowie i codziennie rano idzie przez  
pustą ulicę nad Agrykołą.

Można go śmiało na bombę zrobić".

Gdyby mi dawał tysiąc złotych, to bym się zgodził - ciągnął dalej  
Rękawek - ale jak wyskoczył z pięcioma kafelkami, to mówię "nie"!  
Za mało!

Daj dziesięć patyków!

A on animrugnął i mówi: "Zgoda, dam dziesięć tysięcy".

Aż zgłupiałem.

Ale mówię, że bezzalicki nawet palcem nie kiwnę.

A facet wyjmuję cztery górale i bez słowa daje.

Chciałem się wycofać, bo na mój rozum coś nie w porządku, ale już  
niemożna było.

Rękawek swój honor ma słowo.

Schowałem więc te dwa tysiące do kieszeni, ale powiadam, że na "mokrą"  
janie idę.

Tamten tylko się roześmiał i mówi, że wystarczy pięć minut, żeby tylko  
teczkę wziąć i chodu.

- Ładnie pięć minut - zauważył major - Kalinkowski dziesięć godzin  
bez ducha leżał.

- Taki wstyddla starego fachowca!

Pierwszy raz zdarzyło mi się coś podobnego!

Wiadomo, w mamrze człowiek wyszedł nieco z wprawy.

Czy to ręka mi się obsunęła, czy za dużo piasku nasypałem do woreczka?  
Chciałem tylko ciut, ciut, a tu patrzę gość ledwie dycha.

- Mówcie dalej.

- Więc umówiłem się z tym bladym, że jak będzie czas, to spotkamy się  
przed fabryką i pokaże mi tego gościa, cogo trzeba uspić i gdzie on  
mieszka.

Za parę dni mój bladystoi pod bramą.

Mówi, żeby iść z nim do kawiarni "Sejmowa" na Piękną, tam obok sejmu.  
Przedtem jeszcze pół litra postawił i idziemy do tej "Sejmowej".

Owszem, lokal niczego sobie.

Siedzimy więc i pijemy kawę.

Blady nawet po jednym zielonym postawił i czekamy.

Czekaliśmy tak z godzinę, może dłużej.

Wreszcie wchodzi młodzik w płaszczu i z teczką.

"To on - mówi blady - przyjrzyj się pan".

Więc siedzę i patrzę.

Młodzik pije kawę i raz po raz na zegarek spogląda.

Tak przesiedział z pół godziny.

Potem poleciał do tele-

71.

fonu, gdzieś dzwonił.

Zaraz jednak wrócił i znowu siedzi na zegarek patrzy.

Chyba godzina upłynęła, zapłacił zakawę i wyszedł.

My za nim.

Poszedł na Ujazdów do fińskich domków.

Wszedł do jednego z ostatnich, tam koło hali sportowców.

Mój bladymówi, że gość zawsze chodzi Agrykołado przystanku autobusowego na Szucha i żeby go koniecznie jutro rano zrobić.

Powiada, że będzie czekał namnie narogu Litewskiej.

Dam mu teczkę, a on z rączki do rączki pięć kafelków jeszcze dołoży.

"Tamtedwa tysiące -powiada -to się nie liczy, to tylko na podtrzymanie znajomości z ten sierpowy, co wtedy dostałem".

Rękawek poprosił o jeszcze jednego papierosa i ciągnął dalej:

- Umówiłem się z koleżką, żeby poszedł na obstawę.

Spotkaliśmy się na rogu Koszykowej i poszliśmy na Agrykołę.

Tam usiedliśmy na ławce, patrzymy nadom, gdzie ten młody mieszka, palimy papierosy i czekamy.

Coś pośród drzwi domku otwierają się i nasz młodziak idzie.

Właśnie zaczęło padać.

Na ulicy żywej duszy.

Myślę sobie "dobra nasza, już jest mój".

Więc gdy wszedł w te krzaki, podchodzę z tyłu: delikatnie go woreczkiem w głowę.

Facet zachwiał się, to go podtrzymałem, żeby się broń Bożenie uderzył, bo tam kamienie.

Lekkopołożyłem go na ziemi i łap za teczkę.

Koleżka chciał jeszcze zegarek brać i w kieszeniach szukać, ale ja mówię: "nie rusz, zapłacili za teczkę, to tylko teczkę bierzemy".

Bo jak mówiłem panu majorowi, Rękawek swój honor ma!

- Ico dalej - niecierpliwił się major.

- Kiedy go już kropnąłem, to czułem, że mi się rękazwinęła i za mocno faceta stuknąłem.

Zląkłem się i mówię do koleżki, żeby tu zaczekał, a ja pójdę zawiadomić ludzi, że niby wypadek.

Bąłem się, że mi kipnie, i poleciałem dzwonić na pogotowie.

Rękawek namokrą robotę nie idzie.

Chciałem go tylko tak na pięć minut.

- A co blady?

- dopytywał major.

- Powiedziałem w ministerstwie, że tam na Agrykoli leży chory i poszedłem na Litewską.

Blady, gdy teczkę zobaczył, toaż mu się oczy zaświeciły.

Forsę miał przygotowa-

72

ną w kieszeni.

Chap za teczkę i zaraz wsiadł do taksówki- tyle go widziałem.

Ja poszedłem do placu Unii, tam wsiadłem do tramwaju i pojechałem do roboty.

- Czy zawsze byłem?

-Zawsze.

Nikogo z nim nie widziałem.

W knajpie też nie przysiadł.

- Jak się nazywa?

-Panie majorze, powiedziałem prawdę jak na spowiedzi, ale więcej nie wiem.

- A ile miał lat?

-Kto go tam wie, takiego bladego wymoczka.

Tak chyba ze 25 lat powinien już mieć.

- Słuchajcie, Rękawek, wierzę wam.

Milicja też ma swój honor i słowa dotrzymuje.

Teraz wezmą was jeszcze dopiwnicy, a za dwie, trzy godziny pójdziecie nawolność.

Codo sprawy, to jeszcze zobaczymy, jak będzie.

Ale macie siedzieć cicho.

Gdynawet zapytają, dlaczego razem z innymi was nie zwolniono, to powiedzcie, że porucznik przetrzymał was na złość, bo mu coś przysiadaliście.

A jak się dowiedziecie coś o tym bladym, to natychmiast dajcie mi znać.

Możecie liczyć na moją wdzięczność.

Major podniósł się z krzesła, wezwał dyżurnego i polecił mu odprowadzić aresztanta do celi.

Na drogę dał mu jeszcze kilka papierosów.

- Złoty chłop, złoty chłop - powtarzał stary złodziej idąc za dyżurnym do piwnicy.

Porucznik Rajski zdziwił się, nie widząc na stole nawet jednej kartki protokołu, a jeszcze bardziej, kiedy major poprosił go o zwolnienie za dwie godziny Rękawka do domu.

- Osobliwą politykę prowadzi teraz KGMO - zauważył.  
- Nam, z dzielnicy, niedługo złodzieje będą się w nos śmiali.  
- Są sprawy, w których trzeba prowadzić taką osobliwą politykę -  
skwitował kolega major.  
- Bardzo wam dziękuję, poruczniku, za wielką pomoc, jaką mi oddaliście.  
Może nawet będzie wyznaczona nagroda.  
Wtedy, mogę was chyba zapewnić, że przy podziale i wam coś z niej  
przypadnie.  
Wam i tym ludziom, którzy wzięli Rękawka.  
No, cześć, do zobaczenia!

73.

Po wyjściu majora porucznik długo jeszcze myślał, jak to można dostać nagrodę za ujęcie złodzieja, którego natychmiast potem się zwalnia. Ale nic z tego nie mógł zrozumieć.

Wreszcie machnął ręką i postanowił nie wracać więcej do tajemniczych metod majora Krzyżewskiego.

Miało się pod wieczór, gdy major dotarł wreszcie do swojego mieszkania przy Wołowskiej.

Pani Maria trzymała na kuchni dobrze wystygły obiad.

- Jadłeś coś czy jesteś głodny?

- Piłem kawę w sądzie.

- Poczekaj, zaraz odgrzeję.

Jest dla ciebie jakaś koperta.

Przed godziną przynieśli z Komendy - podała list z pieczęcią "tajne".

Major otworzył list i szybko przebiegł wzrokiem, kilkawierszy maszynopisu.

W kopercie znajdowała się również druga kartka, żółta - delegacja służbowa.

- Naszykuj mi jakąś koszulę, ręcznik i mydło - poprosił żonę.

- Za godzinę wyjeżdżam do Gdyni.

Pomiędzy szybko zjedzoną zupą a gorącym drugim daniem major zdążył jeszcze zadzwonić do prokuratora Kura:

- Zaraz wyjeżdżam do Gdyni.

Złapali tam Macioszka, usiłował uciec naszymi szwedzkim statku.

Miał fałszywy dowód osobisty.

Rozpoznano go w Centralnym Biurze Dokumentacji po odciskach palców.

- Czy znaleziono przy nim czek?

- dopytywał prokurator.

- Nic nie wiem.

Przesłucham Macioszka namiejscu i przywiozę go do Warszawy.

Mam nadzieję, że miał ten czek przy sobie.

-y W dwa dni później major Krzyżewski już o ósmej rano wszedł do pokoju prokuratora Kura.

Prokurator nie zdążył nawet jeszcze zdjąć płaszcza, panna Halinka zajęta była ustawianiem maszyny nastoliku.

W myśl przysłowia "kto się na gorącym sparzy, na zimne dmucha", po zaginięciu czeku z "Donaubanku" w prokuraturze nawet maszyny teraz zamykano na noc do żelaznych szaf.

- Co tam na Wybrzeżu?

- niecierpliwie zapytał prokurator.

- Dziękuję.

Leje jak i w Warszawie.

Dwa dni byłem nadmorzem i nie widziałem słońca nawet przez pięć minut.

W Sopocie spory ruch, ale nie to, co w zeszłym roku.

Jest trochę ładnych kociaków.

Widziałem nasze warszawskie "polonistki" na gościnnych występach, ale chyba sezonnie zbyt im się udało.

Tylko trochę alfonsiaków kręciło się przy nich.

Nasze panie z "oby czaj ówki", które jak zwykle wyjeżdżają w lecie nad morze, żeby pomóc miejscowej milicji, twierdziły, że w tym roku wyjątkowy spokój.

Zresztą najlepszy dowód, że bez trudu dostałem pojedynczy pokój w Grand-Hotelu.

Wieczorem na dansingu równieźnie było tłoku.

- Ja ciebie kiedyś zamorduję - przerwał prokurator - i każdy sąd mnie uniewinni!

Co z Macioszkiem?

- Już zupełnie dobrze.

Próbował popełnić samobójstwo, ale go odratowali.

Przywiozłem do Warszawy i poleciłem, aby go rano dostarczyli na Świerczewskiego.

Trzeba mu "przedstawić zarzuty" i wydać decyzję o areszcie, bo prokuratura gdyńska dała nakaz tylko na parę dni, do wyjaśnienia sprawy. Za jakąś godzinkę będziesz go miał w swoim gabinecie.

- Co z czekiem?

- prokurator naprawdę zaczynał się irytować.

- Czeku przy Macioszku nie znaleziono.

Ponieważ usiłował popełnić samobójstwo skacząc ze statku do wody, po wyratowaniu go dano mu inne ubranie.

Jego stare ciuchy zostały bardzo dokładnie zrewidowane, bo celnicy myśleli, że facet ukrył jakieś dewizy w odzieży lub w butach.

Na dzień napadu ma murowane alibi.

Był wtedy w Gdyni pracował w porcie.

Zresztą samsię przekonasz, jak go przesłuchasz.

Pozwolisz, że będę przy tym obecny?

- Nawet niemogę tego ci zabronić jako prowadzącemu dochodzenie w

sprawie czeku.

Więc powiadasz, że on nic nie wie o całej sprawie?

- O sprawie wie bardzo dużo, ale oczeku nie ma pojęcia.

Nawet nie wiedział o jego istnieniu.

Twierdzi, że Li75.

sewski nikogo nie wtajemniczał w rozrachunki zagraniczne.

Obawiam się, że to prawda.

Jeszcze przed godziną dziesiątą milicjant wprowadził do pokoju prokuratora Kura mężczyznę średniego wzrostu, o twarzy poranej zmarszczkami, siwawego.

Na polecenie prokuratora "doprowadzony" zajął miejsce przed biurkiem.

Panna Halina założyła na maszynę arkusz nadrukiem: "protokół przesłuchania podejrzanego".

Majorsiedział z boku, do niczego się nie wtrącając.

Prokurator zadał pierwsze pytanie:

- Adam Macioszek, lat 58.

Wykształcenie - Wyższa Szkoła Handlowa.

Żonaty, trojedzieci.

Zatrudniony na stanowisku głównego księgowego w cementowni.

Zamieszkały tamże.

Od trzech miesięcy poszukiwany przez władze listami gończymi.

Zatrzymany na szwedzkim statku "Upsala" przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy?

- Wszystko sięgadza, panie prokuratorze.

Panna Halina szybko wystukiwała na maszynie personalia przesłuchiwanego, a prokurator pytał dalej:

- Jesteście podejrzeni o udział w przestępczym porozumieniu zorganizowanym przez inżyniera Lisowskiego celem przywłaszczenia sobie na szkodę państwa poważnych kwot ze sprzedaży cementu szybko sprawnego 404 za granicę, do Austrii.

Uprzedzam was, że jako podejrzeni macie prawo odmawiać odpowiedzi na poszczególne pytania, a nawet w ogóle odmówić zeznań.

Jednocześnie informuję, że szczerze opowiedzenie wszystkiego, co jest wam wiadome, może stanowić okoliczność łagodzącą i przyczynić się do niższego wymiaru kary.

Czy przyznajecie się do winy?

- Przyznaję - krótko odpowiedział Macioszek.

- Czy macie coś do powiedzenia w tej sprawie?

Czy chcecie zeznawać?

- Chcę.

Powiem wszystko, jak było.

Prokurator podyktował Halince do protokołu pytania i odpowiedzi, poczęstował Macioszka papierosem.

Księgowy zapalił, chwilę milczał, jak gdyby układając historię pamięci, wreszcie zaczął mówić:

76

- Do cementowni przybyłemdziesięć lat temu.

Posadabyła dobra.

Ładne mieszkanie służbowe.

Na parterze mieszkał dyrektor Lisowski, mój bezpośredni zwierzchnik.

Nic dziwnego, że w takich warunkach szybko zaprzyjaźniliśmy się ze sobą.

Również nasze żony utrzymywały zażyłe stosunki towarzyskie.

Nie było dnia, żebyśmy się pozabiurem nie kontaktowali, mieszkając w małym domku na jednej klatce schodowej.

W ten sposób Lisowski wiedziało mnie i o moich kłopotach właściwie wszystko.

Mimo że uposażenie głównego księgowego było stosunkowo dość duże, miałem jednak spore trudności materialne.

Troje dzieci w szkołach w Lublinie.

Trzeba to i ubrać, i wyżywić, i dać na książki, i co miesiąc parę groszy na drobne wydatki.

Tak się zdaje, ale to kosztuje.

Toteż nie przelewało się u mnie.

Później jedna z córek po maturze zaczęła pracować w Lublinie i szybko wyszła za mąż.

Znowu poważne wydatki.

Zawsze coś niecoś trzeba było kupić.

Musiałem się zadłużyć.

Ale wszystkoczuwicie spłaciłem co do grosza.

Prokurator przerwał i od razu podyktował ten fragment maszynistce. Macioszek ciągnął dalej:

- Mojemu sąsiadowi Lisowskiemu powodziło się dużo lepiej.

Pensję miał wyższą, a i premię umiał wydebić bądźto od Centralnego Zarządu - wtedy jeszcze istniały centralne zarządy - bądźto od ministerstwa.

Później, gdy rozpoczęliśmy produkcję eksportową, szła premia eksportowa.

Lisowski tak ją dzielił, że dla niego zawsze najwięcej przypadło.

Trzeba jednak przyznać, że był bardzo dobrym organizatorem i świetnym fachowcem. Dzięki niemu nowa, trudna produkcja szybko się rozkręciła.

Słowem, Lisowski zawsze był przygotowiec.

Czy coś tam kombinował już na lewo, nie wiem.

Dość, że miał pieniądze i nieraz mi pożyczał.

Macioszek zaczerpnął głęboko powietrza i ciągnął dalej:

- Cztery lata temu Lisowski był w Austrii.

Wrócił bardzo zadowolony i w rozmowie śmiał się, że zrobił dobry interes.

"Jeszcze wszyscy będziemy bogaci" - mówił.

Wkrótce potem zauważyłem, że produkcja cementu niemiernie

77.

spada.

Nie miałem jednak żadnych podejrzeń.

Później coś mi się nie zgadzało zestawienie podstawionych wagonów z ilością wysłanych do Austrii.

Tych podstawionych było dużo więcej niż załadowanych i wysłanych. Zwierzyłem się Lisowskiemu.

Wyśmiał mnie mówiąc, że przecież wagonynie mogły wyparować z bocznic.

Widocznie kolej pomyliła się.

Musiała podstawić więcej, lecz w ostatnim momencie nadeszło pewnie jakieś zapotrzebowanie.

Dali więc gdzie indziej, zapominając skreślić z wykazu.

Tłumaczenie było logiczne.

Przyjąłem je bez komentarza.

Zresztą, mówiąc szczerze, nie miałem wtedy głowy do zastanawiania się nad tym.

Nadeszły inne, osobiste kłopoty.

Właśnie wtedy zaręczyła się druga moja córka.

Z miejscowym chłopcem, bardzo zresztą przyzwoitym.

Wyznaczono termin ślubu.

Pan sobie nie wyobraża, panie prokuratorze, co to znaczy weselenie wsi lub w takim małym miasteczku.

Trzeba zaprosić Wszystkich znajomych bliższych i dalszych obu rodzin, najmniej ze czterdzieści osób.

Również wiele osób przychodzi bez zaproszenia.

Każdy musi dostać jeść i pić.

Nie zrobisz wesela, to stracisz całe poważanie.

Będą tobie mówili gorzej niż o ostatnim łajdaku.

Ksiądz gotów wytknąć cię na kazaniu, że "łamiesz tradycje ojców swoich".

Nawet towarzysze pracy odwrócą się od ciebie.

A cóż dopiero ja - główny księgowy w dużej fabryce!

Chcąc nie chcąc musiałem wyprawić wesele, bo to rodzice panny młodej mają ten obowiązek.

Ile to kosztuje!

Na wsi całe fortuny na to idą.

Państwo młodzi mieliby nieraz na trzy lata życia.

, a przepuściła się wszystko w jeden dzień.

Jak obliczyłem, to i dwadzieścia tysięcy byłoby mało.

A przecież córce również jakąś wyprawę trzeba dać.  
Nate sprawy inaczej patrzy sięw małym miasteczku niżuwas w Warszawie.  
Nie wiedziałem, co robić, a tu pewnego wieczoru przychodziLisowski.

Major słuchał uważnie.

NiewątpliwieMacioszek mówiłprawdę, Wydanie córki za mąż jest na  
provincji bodajżenajwiększymwydatkiem.

Niejedno wesele kosztuje drożejniżsamochód"Syrena".

A na drugi dzień po weselu częstonie ma co do garnka włożyć.

78

- Przychodzi więcdo mnie Lisowski i mówi: "Co to, córkę za mąż  
wydajesz?"

No, będzie cię ta zabawa dobrze kosztowała.

Może masz kłopotyz pieniędzmi?

Nie krępuj się.

Kto ma ciebie poratować, jak nieprzyjaciel?

Dużo nie mogę, ale na piętnaście tysięcy zawsze możeszu mnie liczyć.

A co do oddania, tobędziesz spłacał wtedy, gdy będieszmiał".

Wziąłem więc tepieniądze, na moje nieszczęście.

Wesele wyprawilem, a Lisowskiemu spłacałem po 300 złotych  
miesięcznie.

Gdy już ta część zeznań została zaprotokołowana, Macioszek mówił  
dalej:

- Jakośtakw dwa miesiące po tymweselu wpadł miw ręce  
wykazwagonów.

Tym razem też się nie zgadzało,i to w znaczniwiększej ilości.

Znowu mówię otym Lisowskiemu.

Wy tłumaczyłmi w jakiś sposób, ale widziałem, że się zaniepokoił.

"Nikomui nic otym nie mów" - prosił - „jato sam wyjaśnię".

Był to rok 1960.

Olimpiadaw Rzymie.

Syn, któryjużwtedy studiował na politechnice wKrakowie, marzył o  
wyjeździe do Włoch.

Nawet z korepetycji i różnych dorywczych zarobków zebrał prawie sześć  
tysięczyłotych.

Trzeba było dołożyćjeszcze parę tysięcy.

Cóż, słaby byłem.

Sam za młodu borykałem się z biedą, więc myślę: "niechprzynajmniej  
moje dziecko ma lepiej".

Pożyczyłem,ale nieod Lisowskiego, tylkogdzie indziej, i dałem.

Umówiłem się synem, że po powrocie będzie spłacał.  
Naturalnie takarzec nie mogła się ukryć przed przyjaciółmi - sąsiadami.  
Lisowski o wszystkim doskonale wiedział.  
W przeddzień wyjazdu syna przyszedł do nas, rozmawiał z  
nim, wreszcie położył na stole zielony papierek - 100 dolarów.  
"Weź to sobie na drobne wydatki, żebyś miał parę groszy w Rzymie i wypił  
kieliszek Chianti za moje zdrowie.  
Ja zojcem jakoś się rozliczę.  
Mamy różne rozrachunki".  
Znowu byłem słaby.  
Nie sprzeciwiłem się, a Lisowski jeszcze pouczył syna, w jaki sposób ma  
przewieźć dolary przez granicę.  
Prosto zwinąć w kulkę, włożyć w jakiś papierek, na przykład po  
cukierkach i rzucić na podłogę lub do popielniczki.  
Jeżeli nawet znajdą, to nie przyznawać się.

- Dobry sposób - roześmiał się major - muszę to sobie zapamiętać.

-Po Olimpiadzie, gdy syn już wrócił na politechnikę, 'pewnego wieczoru Lisowski zaprosił mnie do swojego gabinetu. Powiedział, że ma nóż na karku i natychmiast potrzebuje całej sumy, jaką mi pożyczył.

A przede wszystkim tych dolarów.

Przez trzy dni biegałem po wszystkich znajomych.

Pojechałem również do krewnych do Lublina, ale zebrałem za ledwie parę tysięcy, nawet nie jedną czwartą tej sumy, którą byłem mu winien.

A dolarów w ogóle nie dostałem.

Więc Lisowski powiedział, że jest tylko jeden ratunek.

Do idących do Austrii wagonów dodać jeszcze kilka, tam się sprzeda cement, a ja mam w księgach nie wykazywać tego rozchodu, saldo zaś wyprowadzić przez obniżenie produkcji.

Zapewniał mnie, że nikt się nie dowie.

Obiecywał, że zrobimy to tylko jeden raz, żeby pokryć pieniądze, które byłem mu winien.

Tak się to zaczęło.

Skoro raz uległem, miał już mnie wręku.

Prokuratorem przerywał opowiadania Macioszka, tylko dał znak pannie Halinie, aby wszystko zapisywała możliwie jak najwierniej.

Księgowy mówił dalej:

- Wiem, że mój nie usprawiedliwia.

Byłem dorosły, wiedziałem, co robię.

Dzisiaj rozumiem, że zmarnowałem sobie resztę życia.

Miałem słaby charakter.

Gdy już zgodziłem się na współpracę z Lisowskim, to naturalnie robiłem wszystko, aby sprawa się nie wydała.

Przed wszystkim postanowiłem, że listy przewozowe muszą być opłacane w Austrii.

W ten sposób miejscowa stacja nie będzie się opierała tych wpływów i sald cementowni i kolei zawsze się zgodzą.

Również kolej dzięki temu nie będzie wykazywała w przysyłanych nam wykazach numerów tych wagonów.

Co do produkcji, to nie trzeba jej zaniżać, jak to dotychczas robił Lisowski, lecz właśnie jak najbardziej podnieść, a tylko części podwyżkinie notować, tak aby w magazynie co parę dni zbierała się superata kilku wagonów.

Wtedy wysyłać ją do Austrii.

Jeśli bowiem fabryka wykonuje, a nawet przekracza plan produkcji, to wszyscy są zadowoleni i nikt nie szuka dziury w całym.

Gdy zpla80

nem coś nie w porządku, to różne komisje nie wychodzą z fabryki.

Lisowski zastosował się do tych rad, i odtąd był spokojny.

Przecież przez prawie trzy lata i u nas, i na kolei było aż jednaście różnych rewizji.

Kontrolowanie papierki, liczone wagony i najczęściej grzebano się w delegacjach służbowych.

Jak zaczęła się ta wsypa, to Lisowski mówił, żeby się nie denerwować, jeszcze parę transportów i on urwie się za granicę.

Na mnie nie padnie nawet najmniejsza podejrzliwość, bo wtedy wszyscy będą zwalali winę na nieobecnego.

Zresztą twierdził, że nikt z całej paczki nie wie o maczaniu przez mnie palców.

Ja również tylko się domyślałem, że w fabryce i na kolei musi być kilka osób wtajemniczonych, którzy pomagają Lisowskiemu w sprawach transportu i załadunku, tak jak ja pomagałem w księgowości.

- Ile otrzymaliście pieniędzy za swoją działalność?

- zapytał prokurator.

- Każdemu z członków gangu Lisowski płacił różne sumy, ale od przypadku do przypadku.

Ja, poza tymi pieniędzmi, które dostałem od Lisowskiego jako pożyczkę, otrzymałem jeszcze sześć razy po 10 000 złotych.

Lisowski obiecywał, że gdy skończą się dostawy, to otrzymamy do podziału dwa miliony złotych.

Na każdego z nas przypadnie po parę set tysięcy, zależnie od roli, jaką spełniał w organizacji.

Pod warunkiem jednak, że wszyscy pojedynczo rozjedziemy się w różne strony Polski.

Mnie nawet już polecił swojemu znajomemu - dyrektorowi cementowni na Opolszczyźnie.

Miałem tam zacząć pracę od jesieni.

- A co z tym pożarem?

- zapytał prokurator.

- To już było po pierwszych aresztowaniach.

Lisowski zwołał mnie i zapytał, czy jeśli złączą szczegółowo badać książki, to czegoś nie wykryją.

Wyjaśniłem mu, że od momentu, gdy ja wiedziałem o wszystkim i kiedy listy przewozowe były opłacane za granicą, to wykrycie czegokolwiek jest bardzo mało prawdopodobne.

Musieliby mieć dane z biura zagranicznego Ministerstwa Kolei, bo wykazy nasze są zgodne z wykazami stacji i nawet wykazami

81.

Dyrekcji Warszawskiej PKP.

Ale co do poprzednich wago" nów, to tę różnicę łatwo mogą wykryć, tak jak ja sam ją wykryłem.

Wtedy Lisowski powiedział, że pomyśli o tym.

W dwa dni później wysłał mnie do Warszawy do ministerstwa po zestawienia.

Wyjechałem, a w czasie mojej nieobecności wybuchł pożar w gmachu dyrekcji i wszystkie książki spłonęły.

Czy to było podpalenie - nie wiem.

Mnie już wszystko jedno, prokuratorze, może mi pan wierzyć.

Gdybym cokolwiek wiedział, to nie pominąłbym tego w zeznaniach.

- A Lisowski nicpotem nie mówił?

- Nie, wtedy już niewiele rozmawialiśmy.

Lisowski czuł, że ziemią pali się pod nogami.

Nawet powiedział domnie: "W razie czego, Adam, masz gdzie wiać?

Staraj się dostać za granicę, do Wiednia.

Ja też tam będę próbował.

Musimy jeszcze poczekać tylko parę dni".

Poprosiłem go o pieniądze.

Mówił, że sam nie ma i czeka na nie.

Dał mi tylko 2000 złotych.

Gdy wkrótce potem Lisowski został aresztowany, dostałem zawiadomienie o stawieniu się do prokuratury.

Wiedziałem, że nie mam po co chodzić, bo już stamtąd nie wyjdę.

Zostawiłem więc żonie te pieniądze, a sam uciekłem.

- Gdzie ukrywaliście się?

- Najpierw pojechałem do Poznania, potem do Szczecina, żeby tam dostać się na jakiś zagraniczny statek.

Aleni udało mi się, nie chcieli wpuścić mnie do portu.

Wyjechałem więc do Gdyni.

Tutaj miałem więcej szczęścia.

Przyjęli mnie do pracy w Przedsiębiorstwie Usług Portowych.

Mieszkałem prywatnie w małym pokoiku pod Orłowem.

Nawet zameldowałem się tam na pobyt czasowy.

Przez parę tygodni ładowałem w porcie i szukałem okazji.

Rozmawiałem z kilkoma marynarzami zagranicznymi.

Żaden nie chciał mnie wziąć.

Pewien Niemiec zgodził się, ale żądał dwa tysiące dolarów za

dowiezieniedo Kanału Kilońskiego, gdzie obiecywał nocą wysadzić mnie na śluzie.

Ponieważ nie miałem żadnych pieniędzy, więc postanowiłem samzaryzykować i ukryć się na jakimś statku.

Można jeszcze jednego papierosa?

82

Major podsunąłMacioszkowi swoją papierośnicę.

Prokurator przeczytał tymczasem to, co napisała maszynistka i uzupełnił protokół ostatnimi zeznaniami.

- Okazja wkrótce się trafiła.

Do portu przybił szwedzkistatek "Upsala" - mówiłpo przerwie księgowy - ładowaliśmy na niegodeski.

Zauważyłem, że ani celnicy, ani WOPnie interesująsię statkiem.

Zresztą stał tuż przy MorskimUrzędzie Celnym.

Wiedziałem, że statek zaraz po załadowaniu towaru odpływa z Gdyni.

Wypatrzyłem sobie dobre schowanko.

Przysamym kominiebyło małe pomieszczenie zamknięte na śruby.

Jak tyłkonasza zmianazeszła ze statku, szybko kupiłemśrubokręt i udałem się z powrotem.

Byłem w kombinezonie robotniczym, więcnikt nie zwrócił na mniewagi. Prostu wziąłem jedną deskę, która widocznie zsunęła sięz kranu, i z nią wszedłem po trapie na statek.

Tutaj ukrytyza deskami, którezajęłycały środek statku, szybko odkręciłem śruby i wsunąłem się do luku.

Byłbym dojechał nawetdoSzwecji, tylko zrobiło się tak gorąco i duszno, że straciłem na pewienczas przytomności zapadłem w jakiś półsen.

Gdy ocknąłem się, uczułem kołysanie, znak, że statek jestw ruchu.

Miałem tylesił, że wywlokłem się z tego luku i zemdlałem na pokładzie.

Tam znalazł mnie jeden z marynarzy.

Zatrzymali stateki oddalimnie w ręce WOP-u.

- Chcieliście popełnić samobójstwo -powiedziałKur.

-Tak.

Wszystko przecież zmarnowałem.

Miałem rodzinę, Miałem posadę i szacunek ludzki.

Jeszcze parę latspokojnej pracydo emerytury.

Teraz co?

Lepiej było leżećna dnie Bałtyku.

- Macioszeksmutnie spuścił głowę.

- Każdy za wszystkimusi w życiu płacić - powiedziałprokurator - wy równieżza szkody,które wyrządziliście,musicie ponieśćkarę.

Rozpaczanie teraz nic nie pomoże.

Trzeba wziąćsię w garść.

Odsiedzicie swoje i wyjdziecie nawolność.

Mam nadzieję, że nie spotkamy się po raz drugi.

Gdzie byliście w wtorek 11 lipca?

- Wtenczas byłemjuż w Gdyni.

Pracowałem tego dnia w porcie.

Można sprawdzićna liście płacy w Przedsiębiorstwie Usług Portowych.

83.

- Czy wiedzieliście jak i ile pieniędzy otrzymuje Lisowski?

-O tym nigdy nie mówił.

Wiem, że jeździł do Warszawy stamtąd przywoził pieniądze.

Chyba sprzedawał jakieś waluty, bo pytał nawet, czy mam jakieś źródło i interesował się kursem dolara.

Prosił nawet, gdy jechałem do Lublina, aby tam się o tym dowiedzieć.

Ja jednak nie miałem żadnych znajomości między czarnymi dziaźkami, więc mu tego nie załatwiłem.

- Az zagranicy nie dostawał?

-Niewiem.

Z Austrii przychodziła nieraz różna korespondencja, ale dyrektor polecił raz na zawsze, aby wszystkie listy zagraniczne były przynoszone do niego bezotwierania.

- A o czeku z "Donaubanku" nic nie wiecie?

-Inżynier Lisowski często mówił, jak już było nam bardzo gorąco, że czekamy tylko na jedną rzecz i uciekamy.

Podwa, trzy razy dziennie pytałem sekretarki, czy nie nadeszła poczta z Wiednia.

Domyślałem się, że czeka na jakieś zawiadomienie lub na pieniądze, bo wiem, że wtedy ich nie miał.

Może miał to być właściciel.

- Alesami go nie widzieliście?

-Żadnego czeku nie widziałem.

Powtarzam, że nie wiem nic o pieniężnych rozrachunkach Lisowskiego.

- Czy przyznajecie się, że zorganizowaliście napad na aplikanta Zygmunta Kalinkowskiego celem zawładnięcia czekiem z "Donaubanku" w Wiedniu?

-Ja? Napad?

- Macioszek był wyraźnie zdumiony.

-Nigdy na nikogo nie napadłem.

- Radzę wam przyznać się szczerze.

I tak mamy dowody.

Szczerze przyznanie może wam bardzo złagodzić wymiar kary.

Gdzie jest ten czek?

- Nie wiem, jakie pan prokurator ma dowody.

Nic nie wiem o żadnym czeku.

- Czek z "Donaubanku" na 80 000 dolarów.

Skradziony z akt prokuratury.

Zrabował go niejaki Rękawek, wynajęty przez was za 12 000 złotych. Zeznał, że oddał wamcałą teczkę z papieraminatychmiast ponapadzie. Wamosobiście albo waszemu wysłannikowi.

84

- Nic nie wiem o żadnym czeku.

Przysięgam.

- Nie kręćcie.

Gdzie jest czek?

Macioszek rozplakał się.

- Dajcie mi spokój.

Nie męczcie mnie.

Możecie mnie zabić, tylko nie znęcajcie się nade mną.

Wszystko zmarnowałem, wszystko straciłem.

Miejcie choć tyle litości, żebyzostawić mnie w spokoju.

Major dał znak prokuratorowi, że więcej już dzisiaj przesłuchiwanego nie wyciągnie.

Zresztą JerzyKur doszedł do tego samego wniosku, bopodsunał swojemu "klientowi" paczkę z papierosami i powiedział:

- No, no.

Uspokójcie się.

Na dzisiajskończymy.

Będzieciejednak przesłuchiwani szczegółowo w następnych dniach.

Trzeba jeszcze szereg rzeczy wyjaśnić.

Może jesteście głodni?

Może chcecie napić się kawy?

- Wgruncie rzeczyprokurator żałował trochęswojego przyszłego oskarżonego.

Gdy dyżurnymilicjant zabrał już Macioszka na dół, doaresztu sądowego, gdzie miał czekaćna transportdo Więzienia Mokotowskiego, prokurator spojrzałpytająco namajora.

Ten skwitował to spojrzenie krótkim zdaniem:

- Kłapa!

Kompletna kłapa!

- Tak - zgodził się prokurator - wydaje się, że on naprawdęnie wie o czeku.

Ale gdzie on może być?

W czyich rękach?

Kto go porwał?

Ktoorganizował napad i wynająłRękawka?

- Dotychczas stawialiśmy Macioszka jako najedynego przywódcę gangu, który pozostał na wolności.

Ten ślad okazał się fałszywy.

Musimy więc chwycić inne nitki - stwierdził major Krzyżewski.

- Cudów niema!

Krasnoludki nie zapłaciły Rękawkowi 12 000 złotych za rozbicie głowy Kalinkowskiemu i za zabranie mu teczki z czekiem.

To zrobił żywy człowiek, doskonale poinformowany o całej sprawie.

Albo więc wy się mylicie i jeszcze jakaś gruba ryba z gangu jest na wolności, albo.

- Na pewno nikt z przywódców "białego gangu" nie umknie przed sprawiedliwością.

Wszyscy siedzą - odpowiedział prokurator.

- Albo?

Co masz na myśli?

Znowu wracasz do Kalinkowskiego?

85.

- Znowu wracam do tego, że ofiara napadu przesłuchiwana oficjalnie przez organy MO składa fałszywe zeznania i usiłuje wprowadzić milicję w błąd.

- To jest nonsens!

Ten chłopak jest niewinny.

- Nie mów tego zbyt pochopnie.

Kto wie?

Być może, że przy tym samym biurku będziesz niedługo podpisywał nakaz aresztowania pana Kalinkowskiego.

- Nigdy wto nie uwierzę.

Na pewno się mylisz.

- Zobaczymy - powiedział major.

- Wiem jedno, teraz gdy podejrzenie Macioszka spaliło na panewce, Kalinkowski jest jedyną osobą, przez którą uda się nam wykryć prawdziwego sprawcę napadu.

Ciągle zapominasz, że chodzi tutaj o osiem milionów złotych.

Przy tej sumie wszelkie kryteria moralności, wychowanie i przyjaźnie muszą być rozpatrywane pod innym trochę kątem.

W każdym razie muszę cię tym zawiadomić oficjalnie, od tej chwili uważam Kalinkowskiego za najbardziej podejrzanego.

Będzie ściśle obserwowany, poza tym wystąpię o uchylenie tajemnicy rozmów telefonicznych i korespondencji.

Sąd zawsze musi tłumaczyć wszystkie okoliczności na korzyść oskarżonego.

My, milicja, przeciwnie.

Wszystkie niejasności, wszystkie sprzeczności i luki w zeznaniach tłumaczymy odwrotnie: kłamie, ponieważ jest winny albo wie więcej i usiłuje osłonić winnego.

Dlatego właśnie muszę wpisać aplikanta Kalinkowskiego na moją "czarną listę" i zarządzić, by go bardzo dokładnie inwigilowano.

- Ja również niemogę oprzeć się wrażeniu, że Kalinkowski jest niewinny - wtrąciła się do rozmowy panna Halina.

- Widziałam go w parę godzin po dzyskaniu przytomności, tam w szpitalu Pogotowia na Hożej.

Rozmawiałam z nim później wiele razy.

Był wstrząśnięty tą sprawą i podkreślał, że dla niego oznacza to złamanie całej życiowej kariery.

- Dlaczego więc kłamie?

- zapytał major.

Nikt nie umiał dać odpowiedzi.

W ponurym nastrojucała trójka opuściła gmach sądów.  
Prokurator był tak zgnębiony, że nawet, co się nigdy nie zdarzało,  
zapropozował wstąpienie do pobliskiej "Saskiej" na Jednego".

Ale to

86

również niepomogło.

Robaka, który gnębił Jerzego Kura, nie dał się zalać paroma kieliszkami wódki.

Major próbował rozruszać zgnębianego przyjaciela,  
lecz nawet najnowsze ploteczki z "Ksawerowa" i najnowsze anegdotki polityczne nie potrafiły rozchmurzyć twarzy prokuratora.

Po niecałej godzinie pobytu w "Saskiej" trójka pożegnała się.  
Major pojechał na Wołowską, Halinka poszła do swojego "kołchozu"  
na Nowym Mieście, a prokurator postanowił wrócić jeszcze na  
Świerczewskiego, aby niewiadomo po raz który przestudiować akta  
"białego gangu".

-L \J Tego dnia, gdy major Krzyżewski wieczorem wrócił do domu,  
żona poinformowała go, że było kilka telefonów i że jakiś pan Rękawek  
dzwonił chyba pięć razy.

Majorze zdziwienia otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale właśnie  
w tej chwili zadzwonił telefon.

Żona, która była bliżej aparatu, podniosła słuchawkę.

- Tak jest.

Mąż już wrócił.

Ależ oczywiście, nie za późno pan dzwoni.

Już mu oddaję słuchawkę.

- Towy, Rękawek!

Jesteście tu na rogu Raławickiej i Wołowskiej.

Konieczniesz jeszcze dzisiaj.

No to trudno, poczekajcie, zaraz dowas zejść.

Niezbyt zadowolony z niespodziewanego telefonu, major rad nierad  
znowu włożył płaszcz i wyszedł na ulicę.

Tu, parę metrów przed bramą, czekał już Rękawek.

- Na drugi raz nie zejść do was!

- powiedział po przywitaniu oficera milicji.

- Macie jakieś sprawy, to zawsze możecie przyjść do biura na Ksawerów, a  
nie dzwonić do domu.

Zdawało się, że Rękawek nie dostrzega złego humoru majora.  
Przeciwnie, starał się być jak najbardziej serdeczny i kordialny.

- Już tam, panie majorze - tłumaczył się - nikt jeszcze Rękawka nie zobaczyli nie zobaczy, jak bez "chapsów", samz własnejwoli wchodzi do budynku milicji.

A tutaj nikt niewidzi.

Dużo czasu panu nie zajmę, a mam coś

87.

ważnego do powiedzenia.

Czekałem na pana majora parę godzin.

Jak tylko się o tym dowiedziałem, to od razu do' pana majora.

Więc przyszedłem tutaj i czekam na trawce<sup>^</sup> <sup>^</sup>w ogródkach działkowych.

A pana majora nie ma inie ma.

"Nawet ciut wypilem, ale tylko jedno "szkiełko", żeby reumatyzm w kości nie wlaźł.

Pan major to złoty chłop.

- Topo to, żeby mi to powiedzieć, wyciągacie mnie z domu?

Rękawek jakby niesłyszac ciągnąłdalej:

- Pan major to naprawdę złoty chłop.

Nie znał Rękawka i od razu mu zaufał.

Więc ja to szkiełko za zdrowie pana majora.

Bo już skończyłem z tym wszystkim.

Ślusarzmechanik teraz jestem.

U Kasprzaka!

Już mnie w sądzie zobaczą.

A wszystkoprzez panamajora.

Bo pan major od razu poznał się na człowieku i mu zaufał.

Rękawek szanuje inteligencję.

- Dobrze, dobrze, ale powiedzcie, Rękawek, co was domnie sprowadza?

-Jak mnie wypuścili.

Ta cholera porucznik do nocymnie przetrzymał, chociaż panmajor mu przykazał, żeby za dwie godziny.

Totak za tyle lat znajomości i za tę gwiazdkę, którą przeze mnie dostał!

Taka wdzięczność ludzka!

Major widząc, że wtrącaniem się i przerywaniem tylko przedłuża wywody Rękawka, który chybanie ograniczył się do jednego "szkiełka", postanowił słuchać w milczeniu.

Rękawek ciągnął więc swoją opowieść.

- Jak mnie wreszcie wypuścili, myślę sobie - ten major to taki porządny chłop, trzeba mu pomóc.

Niech się niemęczy.

A tego bladego nie ma co żałować.

Chciałoby szukać uczciwego człowieka, a samemu osiem milionów zarobić.

A głupiemu Rękawkowi, co własną głowę nadstawiał, tylko dziesięć

kafelków.

- Głowę to przecież nie wyście nadstawiali, tylko aplikant Kalinkowski.

I nie dziesięć, ale dwanaścietysięcy -sprostowałmajor.

- Iii!

Tamte dwa to się nie liczą.

To zatę szkołę, którądałem szczeniakowi na Mokotyłu.

A głowa, jak już mówiłem, bardzo przepraszam.

Tak mi się ręka zwinęła

88

w ostatniejchwili i trochęza mocno.

No, ale ja chcę wszystko dokumentnie opowiedzieć, a pan major mi nie daje.

- Już nie będę -westchnąłoficer - jużmilczę jak grób.

-Więcpopytałemmiędzy naszymi, a lenikt tego mojego bladego nie znał.

Ani na Woli, ani naPowązkach.

Dopiero jeden taki były tramwajarz sobie przypomniał, że ten blade musi być z pikieciarzy.

- Z "pikieciarzy"?

Nie rozumiem.

- No, z pikieciarzy- cierpliwie tłumaczyłRękawek - coto przed PKO ona Traugutta chodzą i dolary od chamusiówskupują.

-Czarnagiełda?

- zapytał major.

- Jaka on tam czarnagiełda!

Taką gnidę to porządni dolarowcy nawet by pod "Kuranta" czy do "bunkra" nie wpuścili.

On stoi przed PKO i cały dzień powtarza: "dolary, waluty skupuję.

Płacę lepiej niż przy okienku".

A jakoś złapie, to tylko donosi swojemu bankierowi.

Ot, zwykła pikietka.

Więc dzisiajnie poszedłem do roboty, tylko wałę pod PKO.

Ale pan major zadzwoni do Kasprzaka, bo majster już obiecywał wyłąć mnie na zbity pysk za ciągle opuszczanie roboty.

A przecież wszystko dla pana majora.

I przez tego porucznika Rajskiego.

-Dobrze, zadzwonię - obiecał major.

- Z panamajora złotych łop.

Zawsze będę mówił.

Więc walę pod PKO i rozglądam się za moim knajakiem - to ostatnie słowo Rękawek powiedział tonem, który miało oznaczać bezbrzeżną pogardę - ale go nie znalazłem.

Pogadałem sobie z paroma pikieciarzami, bo to człowiek mawszędzie znajomości, jakby kiedy pani majorowej dolary były potrzebne na jakieś szmatki, to Rękawek też potrafi załatwić.

Czego ja bym dla pana majora nie zrobił!

- Dziękuję!

Nie potrzebuję!

I co ci pikieciarze?

- Znają tam tego bladego.

Wołają go tak jakoś - tu Rękawek zamyślił się trochę, ale zaraz sobie przypomniał - "blady Niko".

Ale już od paru tygodni nikt go pod PKO nie widział.

Albo go chapsy zdjęli, albo może gdzie wyjechał.

Mieszka

89.

podobno gdzieś na Powiślu koło elektrowni.

Zajęcza albo Lipowa, a może Drewniana.

Gdzieś tam w pobliżu.

A przedtem ten Niko bardzo kręcił się za walutą.

Mówił, że potrzebuje trzydzieści patykówna duży skok.

Nawet chciał pożyczać, ale kto takiemu pożyczy?

- A nazwisko?

- O nazwisko tam nikt unichnie pyta.

Nie wypada.

Na Mokotowie to wiedziałem, jak się szczeniak nazywa.

Ale to przecież prawie cztery lata temu.

Wyleciało z głowy.

Takie jakieś niezwykłe.

I kończy się dziwnie jak "wytrych" albo "woreczek".

Trudne do zapamiętania.

Nie toco Napiórkowski.

- Mówicie więc, że kończy się na literę "ha" lub "ka"?

Tak jak Rękawek?

- A wie pan major, że jak sobie przypominam, to coś podobnego.

Rzeczywiście.

Ale trochę inaczej.

Major na próżno usiłował jeszcze coś wyciągnąć od Rękawka.

Stary złodziej mimo najlepszych chęci nic więcej nie mógł sobie przypomnieć.

Nawet podany przez niego rysopis "bladego Nika" był bardzo niedokładny.

Major, podziękowawszy Rękawkowi, obiecał solennie, że z samego rana zadzwoni do fabryki i usprawiedliwi nieobecność w pracy swojego nowego sprzymierzeńca.

- Moje uszanowanie panu majorowi - żegnał się Rękawek odprowadzwszy oficera aż do bramy jego domu.

- Jak tylko coś będę wiedział, to znowu zadzwonię.

Gdy wreszcie major pozbył się swojego gościa i wrócił do mieszkania, wcale nie byłomu tak wesoło.

Nie mógł przestać myśleć o tej całej tajemniczej sprawie.

Właściwie po dwu tygodniach dochodzenie stanęło w martwym punkcie.

Nie tylko nie posuwało się naprzód, ale przeciwnie, wróciło do pozycji wyjściowych.

Po początkowych sukcesach, jakimi było ustalenie, kto bezpośrednio dokonał napadu na Kalinkowskiego i zabrał mu teczkę z cennym listem "Donaubanku", oraz ujęcie Macioszka obie te nici nie prowadziły dalej.

Macioszek nie brał udziału w kradzieży czeku.

Tego major był pewien.

Nabrał przekonania do całkowitej szczerości

90

zeznań księgowego.

Był przekonany, że prokurator Kurnicjuż więcej z Macioszka nie wycisnie. Również główny oskarżony, inżynier Lisowski, najprawdopodobniej nic nie wiedział, kto wszedł w posiadanie czeku.

Major dobrze znał świat przestępczy, orientował się w jego zwyczajach i w jego etyce.

Gdyby Lisowski miał czek lub przynajmniej domyślał się, że ten czek zrabował, to albo sam wszedłby w pertraktacje z jego posiadaczem, aby sobie zabezpieczyć chociaż część fortuny (wówczas może nawet uważałby, że opłaca się posiedzieć te kilkanaście lat), albo też usiłowałby pertraktować z prokuratorem, aby wytargować sobie pewne względy i złagodzić zarzuty pisanego właśnie aktu oskarżenia.

Z drugiej strony major nie wątpił, że jeżeli którykolwiek z członków gangu pozostający jeszcze na wolności zawładnął czekiem, to przede wszystkim sam będzie usiłował go zrealizować, przy ewentualnej pomocy kogoś z Wiednia, aby nie dzielić się z nikim pieniędzmi.

Tak więc listy podejrzanych trzeba już skreślić dwu najważniejszych:

Macioszka i Lisowskiego.

Kto pozostał poza tym?

Lista była bardzo krótka.

Znowu tylko dwa nazwiska:

Zygmunt Kalinkowski i Jan Napiórkowski - alias Rękawek.

Obaj byli ostatnimi ludźmi, którzy mieli czek w swoich rękach.

Dla majora mniej podejrzany był Rękawek.

Stary fachowiec od zakładania "bomby" nie wyglądał na człowieka samodzielnie działającego.

Zresztą kto by mu powiedział o całej sprawie?

Major wierzył, że Rękawek mówi prawdę i ze swej strony chce dopomóc w śledztwie.

Najlepszym tego dowodem jest jego dzisiejsza wizyta w domu przy ulicy Wołowskiej.

Przecież przyszedł z własnej woli i ujawnił nowe szczegóły.

O taką przebiegłość, żeby Rękawek chciał majora skierować na fałszywy trop, nie można było starego łodzie japosadzać.

W takim wypadku jego informacje byłyby bardziej szczegółowe, wyraźniej wskazujące na kogoś, kogo dałoby się "dokleić" do śledztwa.

Pozostawał więc Kalinkowski!

Jedyną poszlaką było, że ukrył swoją godziną obecność w kawiarni "Sejmowej"

91.

w przeddzień napadu.

Może działając w porozumieniu ze współnikami, chciał w ten sposób pokazać się Rękawkowi?

Ale w takim razie aplikant nie ukrywałby swojej obecności w "Sejmowej", tylko po prostu powiedziałby w czasie zeznań, że czuł się po całym dniu pracy w sądzie bardzo zmęczony.

Wiedząc, że czeka go jeszcze kilka godzin nocnej pracy, wpadł do kawiarni, by napić się dobrej, mocnej kawy.

Byłoby to bardzo naturalne i logiczne, a jednocześnie uwalniał od podejrzeń.

Poza tym aplikant mógł też całą sprawę tak wyreżyserować, aby nie narażać swojej głowy na rozbicie.

To przecież byłoby duże ryzyko osobiste.

Gdyby Rękawek jeszcze trochę mocniej zamachnął się swoim wórczkiem, żadne pieniądze nie byłyby już potrzebne aplikantowi.

Z drugiej strony właśnie Kalinkowski był niemal idealnym domniemanym organizatorem kradzieży czeku.

Wszystko wiedział o "białym gangu", o każdej porze dnia miał swobodny dostęp do akt.

Miał wreszcie możliwość wyniesienia ich z gmachu sądów.

Prócz tego był inteligentny, bardzo ambitny.

Chciał w życiu coś znaczyć, do czegoś dojść.

Czy tylko do stanowiska prokuratora sądu powiatowego w Płocku i męża córki lekarza, do zamieszkania razem z teściami w ich willi?

Major nie wątpił, że ambicje młodego człowieka sięgają znacznie dalej.

Ale jak daleko?

- To było pytanie, na które major nie umiał na razie znaleźć odpowiedzi.

A jeżeli Kalinkowski naprawdę jest organizatorem kradzieży czeku?

Pomysł zaaranżowania napadu na siebie samego, włącznie z przewiezieniem do szpitala, był wprawdzie nienowoczesny, ale godny młodego człowieka, który niedawno zdał z bardzo dobrym wynikiem i pierwszą lokatą trudny egzamin sędziowski.

Co się tyczy samego czeku, to poza twierdzeniem Kalinkowskiego, nie ma żadnego dowodu, że był w teczce w chwili napadu Rękawka na aplikanta.

Kalinkowski, inscenizując ten cały napad na siebie, na pewno wyjął przedtem czeku dobrze go schował.

On na pewno również nie ufał swojemu współnikowi, że ten nie będzie chciał zawiązać milio92

nami w tym czasie, gdy aplikant, po dobrowolnym nadstawieniu głowy pod cios Rękawka pojedzie do szpitala.

A co do zrealizowania czeku, to komu przyszyłoby łatwiej niż właśnie pracownikowi prokuratury, w tajemniczonemu wewszystkie najdrobniejsze szczegóły sprawy "białego gangu".

Nawet zdobycie upoważnienia od Lisowskiego nie przedstawiało żadnych trudności.

Pod pozorem ułatwienia mu widzenia się z rodziną czy przyznania dodatkowej paczki Kalinkowski mógł bez trudu zdobyć podpis Lisowskiego in blanco na pierwszym lepszym arkuszu papieru.

Teraz pozostaje tylko poczekać trochę.

Za parę dni lub nawet za parę tygodni Kalinkowski zostanie zwolniony dyscyplinarnie z sądownictwa albo po prostu, pomimo zdania egzaminu sędziowskiego, nie otrzyma dalszego etatu.

Zniknie z oczu prokuratora i spokojnie postara się podjąć leżących w "Donaubanku" 80 000 dolarów.

Może już w tej chwili porozumiał się z bankiem i zawiadomił ich, że maczek i upoważnienie inżyniera Lisowskiego, tylko prosi o zwłokę w zrealizowaniu czeku, bo "matrudności z wydobyciem się zza żelaznej kurtyny"?

Jednocześnie zrobił zastrzeżenie, żeby nie wypłacać pieniędzy pod żadnym pozorem osobie trzeciej, niemającej odpowiednich dokumentów.

Czek to dla każdego banku rzecz święta i nikt nie podejmie pieniędzy, kto na pulpicie okienka nie położy tego małego świstka papieru.

"Tak - powiedział major sam do siebie - Kalinkowski mógł to wszystko zorganizować.

Dlatego też aplikant sądowy musi pozostać na liście podejrzanych jako numer pierwszy.

Numer drugi trzeba zarezerwować dla "błędego Niko".

Co o nim wiemy - medytował dalej.

Właściwie nic, tylko to, co powiedział Rękawek.

A taki świadek nawet dla sądu nie przedstawia większej wartości.

Cóż dopiero dla oficera śledczego, który na podstawie tych wątpliwych dowodów ma wykryć sprawcę przestępstwa.

A więc:

- 1) doskonale orientuje się w sprawie "białego gangu";
- 2) wiedział, że Kalinkowski przyjdzie do kawiarni "Sejmowej" i

weźmie ze sobą papiery (mógł się tego wszystkiego dowiedzieć).

go dowiedzieć bezpośrednio od aplikanta, jeżeli był nim w zмовіе. Jeżeli nie, to ma doskonale wiadomości z terenu prokuratury);

'''3) rozporządza stosunkowo poważnymi środkami pieniężnymi. Rękawkowi zapłacił 12 000 złotych zanapad, a więc nawet o dwa tysiące więcej, niż to było umówione;

4) siedział na Mokotowie za jakąś bójkę przed "Słowianką";

5) handluje walutami bądź skupuje dolary lub bony przed PKO na Traugutta;

6) nosi pseudonim "blady Niko";

7) mieszka gdzieś na Powiślu, w pobliżu elektrowni.

Aż siedem punktów charakterystyki, lecz jakże z tego ułożyć chociaż jedną poszlakę, która pasowałaby do żywego, konkretnie określonego człowieka, i jak tego człowieka znaleźć?

Nazajutrz major Krzyżewski od rana odwiedzał różne pokoje wielkiego gmachu Komendy Głównej MO na Ksawerowie. W archiwum przeglądał notatki i zapiski o bójkach, ze szczególnym uwzględnieniem awantur na ulicy Puławskiej w pobliżu "Słowianki", która przed paru laty cieszyła się najlepszą sławą w tej dzielnicy Warszawy.

Koledzy z archiwum po prostu roześmiali się, słysząc żądania majora.

Wy tłumaczyli, że jeżeli facet nie miał wyroku i sprawa nie była w jakiś sposób charakterystyczna, to żadnego śladu nie zostawiła w zapiskach czy w zbiorowych raportach dziennych, przychodzących tutaj z całego kraju.

- Gdybyśmy notowali wszystkie warszawskie bójki pijaków i huliganów - śmiał się kierownik archiwum - trzeba by było wybudować gmach przynajmniej dziesięć razy większy i przeznaczyć go wyłącznie dla tych spraw tylko.

W odpowiedniej komórce śledczej, zajmującej się zwalczaniem przestępczości dewizowej, również nikt nie słyszał o takim czarnogłodziarzu noszącym pseudonim "blady Niko".

- Widocznie jakaś plotka - wyjaśniał podpułkownik Malinowski, kierownik tego oddziału - mówicie, że pikietarz spod PKO?

Z tymi najgorsza historia.

Tam się coraz to wszystko zmienia.

Zajmują się nimi na Mostowskich.

94

Przytrzymują i wypuszczają, bo można wytoczyć sprawę tylko w

przypadku ujęciana gorącymuczynku transakcjikupna-sprzedaży.  
Jeżeli pikieciarz niczego przy sobie niema,może bezczelnie powiedzieć, że konstytucja Polski Ludowej nie zabrania spokojnym obywatelomspacerować poulicy Traugutta.

Doszło do tego, że w Pałacu Mostowskich ludzie starają się uciekać z "dewizówki".

Bo i służba niewdzięczna, i pikieciarze się z nich śmieją, i prasaraż po raz na milicjęnapada, że ulicą Traugutta przejść nie można.

W każdej bramie słyszy się tylko "dolary, dolary, bony kupuję".

Ale w każdym razie idźcie do nich na Mostowską.

Oni tęcałą grandędobrze znają.

Również w albumie przestępców - itych poszukiwanych listami gończymi, i tych najczęściej notowanych asów i waletów podziemnej Warszawy - nie figurował pikieciarz czy nawet chuligan-nożownik o takim przezwisku.

Z kolei więc major wybrał się do Pałacu Mostowskich do Komendy Stołecznej MO.

Tutaj spotkało go jednak drugie tego dnia niepowodzenie.

Specjaliści od koników dolarowych kategorycznie twierdzili, że żaden z ich "klientów" nie nosi przezwiska "Niko".

Wymieniali najrozmaitsze pseudonimy, przeważnie brzmiące z angielska, jako że wśród młodzieży praktykującej "na pikiecie", zanim nietrafiona za kratki po dokonaniu poważniejszego przestępstwa, panuje właśnie moda na jazz i na angielszczyznę - ale takiego nikt nie mógł sobie przypomnieć.

Nawet "obyczajówka" - major przezornie zaszedł i nadругie piętro do tego oddziału, gdyż wiedział, że dolary i sutenerstwo w świecie przestępczym to bardzo pokrewne sobie zawody, nie umiała mu odpowiedzieć na stawiane pytania.

Tam wprawdzie przypomnian sobie młodego sutenera "Niko", który za uwodzenie nieletnich i zmuszanie swoich ofiar do nierządu dostał przed dwoma laty wysoki wyrok i jeszcze nawet połowynie odsiedział.

Na pewno więc nie ten Niko.

Innych zaś nie znali.

Żeby wyczerpać już wszystkie możliwości, major Krzyżewski po kolei odwiedził szefów prokuratur mieszczących

się w gmachu sądów na Świerczewskiego.

Każdego z nich poprosił o pełną listę pracowników ich urzędów ze szczegółowym podaniem wieku i miejsca zamieszkania.

Oczywiście został przyjęty bardzo kwaśno.

Prokuratura Stołeczna w ogóle próbowała wymigać się od tego.

Prokuratura Wojewódzka, w której interesie przecież prowadzone było całe śledztwo, zgodziła się bardzo niechętnie.

Prokuratorzy dzielnicowi protestowali gwałtownie.

Ale że to prokuratura i milicja muszą ze sobą dobrze żyć, bo inaczej nie wyszło z pracy każdego z tych organów, w końcu major postawił na swoim.

Obiecanemu w ciągu dwóch, trzech dni sporządzić takie listy.

Co prawda naczelnik Wielawski z Prokuratury Stołecznej robił później gorzkie wymówki prokuratorowi wojewódzkiemu spotkawszy go w bufecie nakawie.

- My, panie kolego, jesteśmy w najgorętszym sezonie urlopowym.

Na maszynach po dwa tygodnie czekają akty oskarżenia, nawet "aresztanckie", a przychodzi do mnie ten major z KGMO z żądaniem, żeby wszystko rzucić i robić mu listy pracowników.

Bomu potrzebne do śledztwa!

I jeszcze powołujesz się na was - powiada: "potrzebne to koniecznie dla śledztwa, które prowadzimy w sprawie Prokuratury Wojewódzkiej.

Szefowi prokuratury specjalnie nam zależy".

I na comu taka lista?

Jakby to w prokuraturze złodzieje pracowali, a prokuratorzy siedzieli na Mokotowie.

Prokurator jakoś udobruchał swojego przyjaciela.

Przedtem rozmawiał z kierownikiem swojej kancelarii, który w ten sam mniej więcej sposób wyrażał "entuzjazm" dla pomysłu majora Krzyżewskiego.

Swoją drogą - pomyślał prokurator - czy ja dobrze zrobiłem, że zgodziłem się na prośbę Kura i interweniowałem pułkownika Włochowicza, by powierzył sprawę Krzyżewskiemu?

Na Sherlocka Holmesa on mi jakoś nie wygląda.

Trzy tygodnie już mijają, a rezultatów śledztwa nie widać.

Jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie prosić, aby dałikogoś bardziej energicznego.

A tymczasem major Krzyżewski nieświadom czarnych chmur, jakie gromadziły się nad jego głową, złożył następnie wizytę prezesowi Sądu Powiatowego dla m.

st. Warszawy, prezesowi Sądu Wojewódzkiego dla województwa warszawskiego, prezesowi Sądu Wojewódzkiego dla m.

st. Warszawy, prezesowi Sądu Najwyższego i nawet prezesowi Sądu Powiatowego dla miasta i powiatu Pruszków.

W końcu zdołał uzyskać tylko tyle, że będzie mógł przejrzeć akta personalne pracowników tych sądów i wynotować to, co go interesuje.

Następne dni były dla Stanisława Krzyżewskiego bardzo pracowite. Już o godzinie ósmej rano zjawiał się na Świerczewskiego uzbrojony w długopis i swój gruby brulion.

Kierownicy personalni poszczególnych sądów, uprzedzeni o jego wizycie, otwierali majorowi szafy z teczkami personalnymi.

Krzyżewski brał oburącz tyle teczek, ile tylko mógł zdjąć z półki, kładł przed sobą każdą kolejno przeglądał.

Coraz to notował jakieś nazwisko w swoim notesie.

Po przejrzaniu wszystkich teczek ustawiał je z powrotem na półce i brał następna porcję.

Natej "inteligentnej i myślowej pracy" zeszło mu pełne pięć dni.

Tymczasem wszystkie prokuratury, chociaż bez entuzjazmu, dostarczyły również swoje listy.

Major w swoim notesie wynotował z tych list cały szereg nazwisk.

Potem policzył swój spis.

Doszedł do pięknego rezultatu.

187 osób zatrudnionych w sądownictwie lub prokuraturze mieszkało na Powiślu i było mniej więcej w wieku odpowiadającym danym dostarczonym przez Rękawka.

Czy uda się wśród tych 187 osób zidentyfikować tę jedną jedyną?

Czy reszta znajduje się onaw tym spisie?

Major sam wątpił o tym, ale prowadząc tak odpowiedzialne śledztwo, w tak ważnej sprawie, nie mógł pominąć żadnego sposobu dotarcia do celu: ujęcia sprawcy napadu i odnalezienia czeku "Donaubanku" na 80 000 dolarów.

- .  
Pułkownik Zienkiewicz, któremu major jak zwykle złożył raport z ostatnich swoich czynności, również sceptycznie odniósł się do zgromadzonego z takim trudem spisu nazwisk.

Majora jednak nie zbiłoto z tropu.

- Panie pułkowniku, mając tenazwiska będę starał się ustalić, kto z tych osób najczęściej kontaktował się z tymi pracownikami prokuratury i "aparatu", którzy prowadzili sprawę "białego gangu".

Kto szczególnie interesował się tą sprawą.

To nam wyeliminuje większość nazwisk z mojej listy.

Nie przypuszczam, aby zostało na niej więcej niż dziesięć pozycji.

Wtedy będę już szczegółowo badał każdego kolejno.

- Bardzo prawidłowo, tak jak należy.

Nie byłoby biedy, gdyby nam się nie śpieszyło.

Pamiętajcie, majorze, że czekmoże być każdego dnia przewieziony do Wiednia i zrealizowany w "Donaubanku".

A wtedy będzie po herbacie!

Nic dziwnego, że Krzyżewski opuścił gabinet pułkownika z niewesołą miną.

Kiedy w swoim pokoju dowiedział się, że prokurator Kurwzywa go do siebie, wsiadł w autobuspośpieszny "A" i parę minut później wchodził już do gmachu sądów.

W gabinecie prokuratora Kura zastał już dwu panów, z których jeden był przedstawicielem Centrali Handlu Zagranicznego "Budex", a drugi wyższym urzędnikiem Ministerstwa Handlu Zagranicznego.

Obaj panowie przyjechali do prokuratury, żeby dowiedzieć się, jak sprawa wygląda.

- Gotowi jesteśmy ofiarować jakąś poważną nagrodę - oświadczył przedstawiciel "Budexu".

- Może to naprowadzi na jakiś nowy ślad.

Na przykład mamy 50 000 złotych.

- To byłoby niezłe.

Możność zarobienia takiej sumy niejednego może skusić.

Do tego trzeba zagwarantować niekaralność sprawcy, jeżeli sam się zgłosi z czekiem - dodał dyrektor z MHZ.

- To jest bezcelowe - powiedział prokurator - kto ma w rękę 80000 dolarów, nie poleci na pięćdziesiąt tysięcy złotych.

Alesam pomysł z nagrodą uważam za dobry.

Mo98

że się zgłosić ktoś, kto zna lub przynajmniej domyśla się osoby sprawcy kradzieży.

Jeżeli "Budex" potwierdzi napiszmy swoją decyzję, pan rozumie, dyrektorze, że to zewzględów formalnych jest dla nas konieczne, to od raju jutro ogłosimy w prasie o nagrodzie.

- O, przepraszam - zaprotestował przedstawiciel MHZ - nie możemy w żadnym przypadku ujawnić publicznie czegokolwiek, bo mogłoby nam zepsuć nasze kontakty handlowe.

Zagranica nie powinna dowiedzieć się zbyt wiele o "białym gangu".

Gdy już będzie proces, to co innego.

Sprawcy wykryci, szkody niknie poniósł, ani my, ani nasi austriaccy kontrahenci, wtedy naturalnie prasa krajowa i zagraniczni korespondenci mogą sobie używać na takiej sensacji ile wlezie.

Na razie bądźmy bardzo ostrożni.

Dla nas lepiej jest stracić czek niż narazić się na śmieszność.

- Doskonale panów rozumiem - zgodził się major - jaw przeciwieństwo pana prokuratora jestem raczej sceptykiem, jeżeli chodzi o rezultaty, jakie może nam przynieść ogłoszenie nagrody. Ale jak już powiedziałem, zewzględna specyficzny charakter sprawy i ze względu na konieczny pośpiech nie możemy zaniedbać również tego sposobu.

Dlatego też proponuję, aby w ogłoszeniu pominąć zarówno prokuraturę, jak milicję.

Po prostu niech ogłoszenia "Budex" i poprosi o kierowanie do niego wszelkich informacji, które mogłyby przyczynić się do odnalezienia czeku.

W ten sposób cała sprawa nie będzie miała na zewnątrz posmaku sensacji.

Ze swej strony wydelegujemy jednego z naszych ludzi do "Budexu".

Będzie on udawał urzędnika centrali i przyjmował wszystkie informacje napływające w tej sprawie.

- Świetny pomysł - zgodził się pan z MHZ - możemy nawet w tym ogłoszeniu napisać, że czek dla posiadacza przedstawia żadnej wartości, gdyż zostały poczynione odpowiednie zastrzeżenia w banku. Jeżeli posiadacz czeku weźmie się na ten kawał, to może sobie pomyśleć, że lepiej dostać wprawdzie w porównaniu z dolarami niewielką, ale pewną sumkę.

- Nie liczcie, panowie, na tego rodzaju podstęp - majordana był pesymistą - ten, kto potrafi tak sprytnie zorganizować całą aferę z kradzieżą czeku, ma na pewno dostateczne wiadomości z prawa bankowego, że zastrzeżenie może być zrobione tylko przez sąd.

Fakt posiadania czeku jest dla banku jedynym wymogiem wypłaty sumy czekowej.

Zresztą w tym przypadku decyduje nie tylko posiadanie czeku, ale i upoważnienie Lisowskiego.

Dopiero te dwa dokumenty dają ich posiadaczowi prawo do inkasa gotówki.

Więc ani sąd austriacki, ani bank nie honorowałyby zastrzeżenia bez pełnomocnictwa.

O tym nasz ptaszek doskonale wie.

Na terybkiego nie złapiemy.

Ale oczywiście tego rodzaju zastrzeżenie można zrobić, żeby całe ogłoszenie miało w sobie jak najmniej znamion sensacji.

Co do przyznania nagrody w całości, ewentualnie jej podziału, to proponuję, aby wnioski wyszły od milicji z uzgodnieniem z prokuraturą.

- My też sądzimy, że tak będzie najlepiej - zgodził się przedstawiciel "Budexu" i z miejsca zaproponował ustalenie treści ogłoszenia.

Już nazajutrz w całej prasie warszawskiej ukazał się skromnie umieszczony wśród innych ogłoszeń anons:

Wysoką nagrodę wypłaci CHZ "Budex" za zwrot lub udzielenie informacji o zaginionym czeku dolarowym jednego z banków austriackich.

Nagroda będzie wypłacona z pominięciem drogi prawnej.

Jednocześnie wyjaśnia się, że wobec zrobionego zastrzeżenia w banku czek nie przedstawia żadnej wartości dla posiadacza.

Jak przewidywał major, ogłoszenie to nie wzbudziło żadnego zainteresowania prasy i wywołało jedynie komentarze w rodzaju: "czego to ludzie nie potrafią zgubić".

Jednocześnie jeden z młodszych oficerów MO rozpoczął urzędowanie w "Budexie", odbierając wszystkie telefony i przyjmując wszystkich zgłaszających się w tej sprawie.

Niczego konkretnego jednak nie uzyskał.

Telefonów i zapytań było dużo, ale dzwonili ludzie, którzy nic niewie-

100

dzieli o całej sprawie, przeciwnie, sami ciekawi byli usłyszeć, co za

czek, na jaką sumę, gdzie został zgubiony i jak jest wysokość nagrody.

Po dwóch dniach, pomimo ponowienia ogłoszeń, major uznał, że posterunek w "Budexie" można już zwinąć.

Następne ogłoszenia nie przyniosły żadnego rezultatu.

Za to prokurator Kurbardzo się zdziwił, kiedy pewnego ranka woźny przyniósł i położył na jego biurku list adresowany imiennie:

Wiceprokurator Jerzy Kur.

Prokuratura Wojewódzka w Warszawie, ul.

Świerczewskiego 127, pokój nr 483.

Panna Halina Wilka ciekawie zerknęła na list, a później na swojego szefa.

Ten z niezadowoloną miną obracał w ręku białą kopertę.

Bardzo nie lubił listów prywatnych adresowanych do niego na biuro.

Wreszcie zerwał kopertę, wyjął mały arkusik papieru

zapisanym maszynowym pismem, chwilę czytał zdziwiony i podał Halince.

- Niech pani zobaczy, co otrzymałem.

Ach wy dęte frajery!

Toch chcecie mieć dolary, a dajecie głupie 50 patyków.

A kit wam w oko!

Jak chcecie mieć czek to musicie dać trzy miliony złotych.

Ani grosza mniej.

Odpowiedź w ogłoszeniach drobnych w "Expressie".

Czekam przez 3 dni.

- Miał rację major - stwierdziła Wilka po przeczytaniu pisma.

- Mówił, że posiadacz czeku jeszcze się do nas odezwie.

Trzeba zaraz zadzwonić do KGMO.

Major zjawił się prawie natychmiast.

Uważnie przeczytał list.

- List jest pisany przez inteligentnego człowieka - powiedział

Krzyżewski - który na myślnie usiłuje wydać się prostakiem.

Poza tym doskonale zna się na maszynowym pisaniu.

Margines jest równy, papier prawidłowo założony.

Nie robi najczęstszych błędów ludzi nie obytych z pisaniem na maszynie.

Stawia wszystkie zmniejszenia prawidłowo i używa litery "ą".

Nowicjusze nie napiszą "ś", które

znajduje się na klawiaturze daleko z prawej strony, tylko użyj w tym przypadku zwykłego "s", znajdującego się tużkoło litery "a".

Tak samo znajdą przedziej zwykle "e",nie "ę".

Takiczyłowiek na pewno umie poprawnie napisać list, a jedynie sili się na grubiaństwa, żeby one go maskowały.

- Można dojść, na jakiej maszynie został ten list napisany - podsunęła Halinka - podobno niema dwóch maszyn do pisania, które nie różniłyby się swoim pismem.

- Pani ma rację.

Każda maszyna ma swoje charakterystyczne znamiona.

Przy starych widać to od razu gołym okiem.

Przynowych ekspert-fachowiec również potrafi odróżnić, spod jakiego wałka wyszedł dany napis.

Ale to na niewiele nam się przyda.

Gdzie koperta?

- Leży na biurku - odpowiedział prokurator.

Major wziął do ręki zwykłą białą kopertę.

- Nadany wczoraj w Warszawie - stwierdził oglądając stempel pocztowy - "Warszawa-Sejm".

To na Wiejskiej.

Bardzo interesujące.

Bardzo interesujące.

- Co w tym ciekawego?

- Posiadaczczeku rozpoczął z nami swoją wielką grę.

Ma w ręku same atuty i otworzył od razu z trzech milionów.

Jednakże w pokera wygrywa często ten, kto lepiej zabluffuje.

Nie mając dobrego kart, musimy bluffować.

- Co masz na myśli?

- Autor tego listu albo naprawdę chce nam sprzedać czek, albo chce po prostu zyskać na czasie.

Jeszcze tylko nie wiem dlaczego.

W każdym razie nam również zależy na czasie, aby różne drobne poszlaki powiązać w mocniejszą nicią.

Odpowiemy, że zgadzamy się dać te pieniądze.

- Naprawdę masz zamiar odpowiedzieć na tę ofertę?

- Naturalnie!

Zaraz jutro.

Chociaż nie, lepiej poczekajmy jeden dzień.

Niech przeciwnik pomyśli, że naradzamy się i uzgadniamy.

Dam odpowiedź w ogłoszeniach drobnych "Expressu" tej treści: "Ofertę zasadniczo przyjmujemy.

Prosimy o dowody, że rzecz, którą chcemy kupić, jest w pana posiadaniu".  
Zobaczymy, co nam na to odpowie.

- Taką rozmowę listowo-ogłoszeniową można dłużej ciągnąć -  
roześmiała się Halinka.

102

- Właśnie na to liczę.

Może w czasie tej naszej "rozmowy" przeciwnik znowu zrobi kilka błędów.

- Niesądzę, abyś z tego listu dowiedział się czegośkolwiek.

- Oczywiście, że się dowiedziałem.

Nawet sporo interesujących rzeczy.

Wiem, że doskonale orientuje się w gmachu sądów.

Zna nawet numer twojego pokoju, Jerzy.

Wiedział, że ogłoszenie w "Budexie" zostało dane przez nas, że posłaliśmy tam swojego człowieka.

Stąd jeden prostywniosek - sprawcy napadu trzeba szukać w kręgu osób bardzo bliskich tego pokoju.

Ktoś z prokuratury, może ktoś z przyjaciół lub dobrych waszych znajomych.

Doskonale orientuje się we wszystkim.

Major raz jeszcze wziął do ręki tajemniczy list.

Długo go oglądał i zastanawiał się, jakby sobie coś przypominając.

Wreszcie wyjął z teczki jakiś papier, również go przeczytał i zwrócił się do Wilskiej:

- Miała pani rację, mówiąc oswoim pomyśle  
zidentyfikowanie maszyny do pisania.

Okazało się to bardzo łatwym zadaniem.

Już wiem, na jakiej maszynie ten list został napisany.

-???

- Właśnie na tej, która stoi na tym stoliku!

Efekt tych słów można porównać tylko z wybuchem bomby.

Zarówno prokurator, jak i jego maszynistka poprostu zamienili się w dwa posągi zdumienia.

- Przy czytaniu listu zauważyłem - wyjaśnił major - że litera "e" jest  
wybijana nieco pod kreską.

Nad "o" rysuje się dość wyraźny krzyżyk.

Pamiętałem, że taki krzyżyk widziałem zupełnie niedawno na jakimś piśmie.

Przypomniałem sobie: na liście wzywającym mnie na konferencję do prokuratury przedstawicielami MHZi "Budexu".

Na liście podpisanym przez Ciebie, Jerzy, a pisanym przez panią Halinę, przypuszczam, że właśnie na tej maszynie.

Zresztą zaraz się przekonamy.

Dajcie mi jakikolwiek maszynopis, na przykład akt oskarżenia.

- Nie potrzeba - przerwała sekretarka - doskonale wiem, że ten stary grat źle wybija literę "e" i odbija nad "o"

103.

krzyżyk, który jest na metalowej czcionce między dużą małą literą.  
Początkowo, po zaginięciu czeku, zamykałam maszynę w szafie, ale tam coraz ciasniej, bo akt przybywa.

A na taką starą maszynę nikt niepoleci, w sąsiednich pokojach mają lepsze.

- Czy wczoraj lub przedwczoraj - zapytał major - wychodziliście z pokoju zostawiając otwarte drzwi?

-Przez cały wczorajszy dzień ciągle ktoś z nas był w pokoju, bo mieliśmy dużo roboty.

Nawet do bufetu na kawę miałem kiedy wyjść.

Przedwczoraj byliśmy tylko w bufecie, aby coś zjeść.

Najwyżej 15-20 minut.

Sam zamknąłem pokój i wziąłem klucz ze sobą.

Jeżeli jestem na rozprawie lub wychodzę na dłużej, a Halina również musi wyjść, to zamyka drzwi i klucz zanoszę do sąsiedniego pokoju, gdzie siedzą podprokuratorzy.

- I kolega Kalinkowski?

- spytał major.

- Tak, także Kalinkowski.

-Ciekawe.

Tym bardziej, że list wrzucono do skrzynki pocztowej "Warszawa-Sejm".  
Znowu tam, gdzie mieszka aplikant.

- Zwykły przypadek - zauważył prokurator.

-Ta sprawa zaczyna gromadzić coraz więcej przypadków.

I przypadkiem te wszystkie "przypadki" kręcą się wokół twojego aplikanta.  
Czy to nie jest dziwne?

Co do mnie, to nie wierzę w cuda.

Listy na pewno nie pisały krasnoludki wtedy, gdy piliście kawę w bufecie.

A swoją drogą wierzę również, żeby ktokolwiek potrafił w tym bufecie w ciągu nawet 20 minut dostać kawę.

To też byłby cud.

- Co zacholerna sprawa - powiedział ze złością Kur.

-Kto tutaj sprząta pokój?

- Taka stara sprzątaczką, pani Ignasiowa.

Wdowa podawnym woźnym sądowym.

- Niech ją pani zawoła.

Sekretarka wyszła z pokoju i po chwili wróciła ze starszą miłą  
wrażeniem sprawiającą kobietą.

- To właśnie pani Ignasiowa, panie majorze.

Kobieta ciekawie spojrzała na oficera milicji.

- Kiedy pani sprząta pokoje?

- zapytał major.

104

- Zaczynam równo o czwartej, jak panowie wychodzą z biura.

Ale nie wszystkie po kolei.

Czasem panowie prokuratorzy siedzą aż do wieczora.

Wtedy nawet muszę przeprosić ich chwilę i albo przy nich zamiatać, albo prosić, żeby poczekali na korytarzu.

- Czy pani zamyka pokoje?

- Tak, jak tylko sprzątnę, to zaraz zamykam.

Czasem panowie prokuratorzy muszą coś wziąć z innego pokoju, więc przychodzą do mnie, żeby im otworzyć, bo nie chcą chodzić na dół.

Ja mam klucze zapasowe do wszystkich pokoi.

Biorę je z dołu z tablicy, gdy przychodzę, a wychodząc zawieszam z powrotem.

- A czy któryś z panów prokuratorów albo jakiś urzędnik nie wszedł wczoraj lub przedwczoraj do pokoju prokuratora Kura?

- Nie, żaden nie przychodził.

- A jakiś obcy?

- Żadnego obcego nie było.

- A może pokój był otwarty?

- Nie, jak przychodziłam sprzątać, to zawsze pokój otwierałam swoim kluczem.

A i sprzątania tu niewiele, bo panna Halina bardzo porządna.

Nigdy żadnych papierów.

Sama wyciera kurz na biurku i na maszynie.

Tyle że podłogę zamiotę, i towszystko.

Jak wychodzę, to pokój zaraz zamykam.

- Więc mówicie, że nikt nie wszedł do pokoju?

- Nikt.

Zamiatałam, a ten mechanik reperował maszynę.

Niedługo to trwało i wyszedł jeszcze przede mną.

- Jaki mechanik?

- zapytał major.

- No ten od maszyny, co mu pan prokurator kazał przyjść.

Mówił, że musiał przyjść w zastępstwie kolegi, bo ten jest na urlopie.

Wyjął z kieszeni szmatkę, buteleczkę zoliwą, jakiś śrubokręt.

Coś tam pokręcił i powiedział, że gotowa.

Założył kawałek papieru, żeby sprawdzić, czy już dobrze pisze.  
Trochę postukał, a potem zebrał rzeczy i poszedł.  
- Żadnego mechanikanie wzywałem.  
Zresztą niedawno był stały konserwator.

- Właśnie ten, co przyszedł, to bardzo się dziwił, gdy mu powiedziałam, że kilka dni temu był konserwator i sprawdzał wszystkie maszyny.

Ale powiedział, że pan

prokurator dzwonił dzisiaj do ich firmy, że maszyna się zepsuła i żeby szybko ją naprawić, więc przysłali go zamiast kolegi, chociaż ma inny rewir.

- Mówicie więc, że naprawili potem coś pisał?

Nie widzieliście, co pisał?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Ja tam nie mam czasu na patrzenie.

Coś tam stukał.

Ja sprzątałam ten pokój, później sąsiedni, gdzie panowie prokuratorzy siedzą.

Tam zawsze jest taki bałagan.

Papierosy wszędzie wypalone leżą.

Nawet na szafach.

Słyszę, że on tam stuka, więc zapytałam, czy długo będzie siedział.

A on na to: -, już można zamykać, pani Ignasiowo".

Aż się zdziwiła, skąd on wie to.

Ale powiedział, że ten stały go nauczył, kto tutaj sprząta.

Potem wyszedł, pożegnał się.

Chociaż młody, ale grzeczny.

Ja zamknęłam pokój i poszłam sprzątać po drugiej stronie korytarza.

- Jak wyglądał?

Nie przypomina sobie pani?

- Taki młody, szczupły, nie za wysoki, nie bardzo się tam przyglądałam.

W płaszczu granatowym, jak oni wszyscy konserwatorzy chodzą.

Teczkę miał pod pachą.

Włosy takie zwykłe.

Tyle że jak na lato mało był opalony.

I mizerny na twarzy.

- Powiadacie, że blady?

- Właśnie, blady.

Dobrze pan major mówi.

- Bardzo pani dziękuję - powiedział major - mam tylko jeszcze jedną prośbę, niech pani nikomu nie mówi o naszej rozmowie.

Po co ludziami mają jakieś plotki robić.

- Aniech Bóg broni - zachnęła się starsza kobieta.

- Czytoja sama nie wiem?

Mój mąż nieboszczyk, Panie świeć nad jego duszą, 27 lat w prokuraturze pracował.

Zawsze mi powtarzał, że co się tutaj dzieje, nikt nie śmie wiedzieć.

Po jej wyjściu z pokoju major z przekąsem powiedział:

- Okazuje się, panie prokuratorze, że każdy kto chce wejść do pańskiego pokoju, byle tylko włożył na siebie granatowy kombinezon i wziął śrubokręt do ręki.

I pi-

106

sze listy do pana na pańskiej maszynie.

Coraz lepiej, coraz lepiej!

Niedługo przyjdzie paru silnych ludzi i całą szafę z aktami wyniesie!

Ale żarty na bok.

Jedno jest pewne.

"Błady" doskonale wie, co się tutaj dzieje.

Jego posunięcia pewno nie są przypadkowe.

Nie narażałby się też naprzyjście tutaj tylko dla głupiego żartu.

A okazji do napisania swojego listu na innej maszynie teżby mu nie zabrakło.

Tylko w jakim celu to zrobił?

Nikt jednak nie umiał odpowiedzieć na pytanie majora.

Tak jak to było ustalone, ogłoszenie ukazało się w najbliższym sobotnim numerze "Expressu" w rubryce: "Ogłoszenia drobne -- Różne".

Mineły trzy dni.

W środę znowu na nazwisko prokuratora Kuranadszedł gruby, ciężki list polecony.

Ani prokurator, ani panna Wilska nie brali listu doręki.

Zawiadomiony o wszystkim major przyjechał ze specjalistą daktyloskopem.

Ten obejrzał dokładnie kopertę z grubego, szarego papieru, otworzył swoją małą walizeczkę i rozpylił biały proszek na obu powierzchniach koperty.

W paru miejscach wystąpiły wyraźne ślady linii papilarnych.

W wielu innych ślady te nakładały się na siebie.

Daktyloskop przeniósł te ślady na specjalną bibułkę, ponumerował i schował do koperty.

Następnie delikatnie rozcięto brzeg koperty i wysunięto z niej

naburko gruboplik papierów złożonychna dwoje.

Po ich rozwinięciu prokurator poznał, że sąto akta "białego gangu" - właśnie z tego tomu,który Kalinkowskiabrał ze sobą który późniejzostał mu zrabowany w czasie napadu.

Niczego nie brakowało poza, oczywiście, czekiem "Donaubanku" i pozasztywną tekturową obwolutą, w której pierwotnie dokumenty były zaszyte.

- Nie mógł nam wcześniej tego przysłać - Wilska byłarozżalona, - oszczędziłoby mi trzech tygodni pisania namaszynie.

Teraz, gdy już wszystko zostało odtworzone, nadiabła nam te stare papierzyska!

- Dobrze, że przysłał - prokurator ucieszyłsię z odzyskaniaakt - będzie można porównać późniejszymi przesłuchaniami.

107.

Daktyloskop ukończywszy swą pracę, schował kopertę z odciskami, pożegnał się i wyszedł.

' - Nie rozumiem, po co on przysłał teraz te akta?

- dziwiła się Wilska.

- To proste!

Dał dowód, że ma w swoim posiadaniu czek.

Kto miał akta, ten miał również czek, który był do nich załączony.

W ogóle muszę przyznać, że mamy do czynienia z wyjątkowym spryciarzem.

Na razie tak tańczymy, jak on nam zagra.

Jak dobry szachista przewiduje trzy ruchy naprzód.

-?

- Nie odsyłał ani nie zniszczył przedtem akt, bo już go planował, że ogłosi nagrodę i że złoży nam swoją ofertę.

Przewidywał też, że ją przyjmiemy i zażądamy od niego dowodu, że istotnie jest posiadaczem czeku.

Boję się nawet, że przewidział, iż nasza zgoda jest pozorna.

No, ale cóż robić?

Będziemy tańczyli dalej pod jego muzykę.

W końcu chyba jednak my zagramy, a on nam zatańczy.

- Co chcesz robić dalej?

Jak powiedziałem, prowadzić tę grę, chociaż nasz przeciwnik prawdopodobnie przypuszcza, że gramy fałszywymi kartami.

Być może domyśla się nawet naszego następnego posunięcia.

Dla jakichś nieznanych nam jeszcze powodów ta gra jest mu potrzebna.

Ponieważ my także musimy zyskać na czasie, będziemy ją ciągnęli dalej.

Teraz próbujemy potargować się z naszym "błędym Niko".

- Potargować?

W jaki sposób?

- Po prostu - stwierdził major - dam następne ogłoszenie, że możemy zapłacić najwyżej milion.

O, już je piszę.

Major usiadł przy biurku.

"Potwierdzamy odbiór przesyłki z aktami.

Zasadniczo przyjmujemy ofertę.

Możemy zapłacić jedną trzecią wymienionej pierwotnie ceny.

Czekamy odpowiedzi".

Pożegnawszy się z prokuratorem, Krzyżewski pojechał następnego dnia

ulicę Wiejską, do urzędu pocztowego "Warszawa-Sejm".

Po rozmowie z naczelnikiem urzędu odszukano bez trudu urzędniczkę, która w dniunadania listumiała dyżur w okienku przyjmującym przesyłki polecane.

108

Naczelnik poprosił ją do swojego gabinetu i zapoznał majorem.

- Czy pani przypominasobie, kto nadawał tenlist?

-Major wyjął ze swojej teczki szarą, dużą kopertę.

"Panienska z okienka" zamyśliła się.

- Może przyniosę swój wykaz pokwitowań, to prędzejsobie przypomnę.

Po chwili wróciła.

Odnalazła pozycję uwidocznioną nakopercie, porównała ją z paru poprzednii następnymii zadowolona zawołała:

- Już wiem!

To był taki ciężki list.

Bardzogruby.

Nadawał go jakiś pan.

Taki młody, z gołą głową.

- Blady, szczupły na twarzy?

-Czy szczupły, nie zauważyłam.

Alenie blady.

Przeciwnie, mocnoopalony.

W jasnym płaszczu.

- Czy podobny do tego?

- Tumajor wyjąłzdjęcie, naktórym było widać młodego człowieka idącego w jasnym płaszczu ulicą Świerczewskiego.

Duży gmach sądów wyraźnie rysował sięna dalszym tlezdjęcia.

Urzędniczkaz uwagą oglądała fotografię.

- Bo ja wiem?

Może ten?

Chyba ten, bo w jasnym płaszczu i z gołą głową.

Ale czy ten sam, nie przysięgnę.

- A czy panigo pozna, jeżeli pokażęgożywego?

-Boja wiem?

U nas na poczcie ruch duży.

Codziennieprzyjmuję tyle paczek.

Poza tym sprzedaję jeszcze znaczki i blankiety pocztowe.

Zapamiętałam, że to był młody mężczyzna, bo list był bardzo ciężki,

alenię przyglądałam siętemu człowiekowi.

Pamiętam, że byłmocno opalony.

Major podziękował, pożegnał się i wyszedłna ulicę.

Czekając na przystanku na trolejbus "55" rozważał w myśli:

Opalony!

Więc chyba nie nasz "Niko".

Możejego współnik?

List byłnadany około piątej po południu w czasienajwiększego ruchu na poczcie.

W tym czasie mógł gonadać Kalinkowski, jeżeli to on działa wporozumieniu z "bladym".

Opalony!

To by się zgadzało, bo Kalinkowskijestrzeczywiście śniady na twarzy i mocno podpieczonyprzez słońce.

Widoczniam skłonnośćdo szybkiego opalania się, jeżeli wtakie dżdżyste lato ma taką ciemną opa-

109.

leniznę.

I urząd na Wiejskiej jest najbliższy jego mieszkania.

To wszystko nic pewnego, ale poważnepszlaki.

Urzędniczka wprawdzie niepoznała go na pokazanym zdjęciu - fotograf milicyjny udając ulicznego lekarza trzydni czatował na Kalinkowskiego przed gmachem sądówi zrobił całą serię zdjęć aplikanta na polecenie majora -ale również nie zaprzeczyła, że podobieństwo istnieje.

Z drugiej strony jednak Kalinkowski, jeżeli to on był organizatorem napadu na siebie samego, jak dotąd postępował bardzo zręcznie.

Czy mógłby popełnić teraz tak dziecinny błąd i samemu nadać list na pocztę w bezpośredniej bliskości swojego domu?

W każdym razie - stwierdził major wsiadając do trolejbusu - koło Kalinkowskiego nie ustaje podejrzany ruch.

Trzeba nadal, nader uważnie pilnować tego śladu.

- ^ .

Przez następne trzy dni major Krzyżewski był bardzo czynny.

Wraz z paroma ludźmi przydzielonymi do tej sprawy przeprowadzał dyskretne wywiady o osobach, które figurowały na liście w jego zeszycie.

Liczba "podejrzanych" zmniejszała się szybko.

Po trzech dniach pozostało ich na liście za ledwie około dwudziestu.

A i ta liczba - jak przypuszczał major - zostanie w najbliższym czasie zredukowana przynajmniej o połowę.

Metoda "eliminacji", na jaką ostatecznie zdecydował się, była niezawodna, przynajmniej w swojej początkowej fazie wykluczania z kręgu podejrzanych tych osób, która na pewno niewzięty udziału w zawładnięciu czekiem z "Donaubanku".

Doświadczony oficer dochodzeniowy wiedział jednak, że im dalej, tym uzyskiwane tą metodą rezultaty będą coraz bardziej problematyczne. Gdy już na liście zostanieli tylko kilka nazwisk, wybranie bezbłędne tego jednego - sprawcy napadu, będzie musiało oprzeć się na dodatkowych, ścisłych dowodach.

W skrytości ducha major liczył, że tak zręczny i pewny siebie "błady Niko" zrobi w końcu jakiś błąd, który go zdemaskuje.

Albo może po prostu zgubi go największy wróg przestępców - zbytńia pewność siebie.

110

W każdym razie, prowadząc energiczne wywiady wśród swoich

"podejrzanych", majornie zaprzestał używania i innych środków, mogących doprowadzić go do celu.

Paru najzręczniejszych wywiadowców obserwowało w gmachu sądów gabinet prokuratora Kura, żeby ustalić, kto najczęściej kontaktuje się z trójką ludzi prowadzących śledztwo przeciw "białemu gangowi". Niedługo, żeby Krzyżewski podejrzewał swojego przyjaciela Jerzego Kuraczyjgo sympatyczną sekretarkę, lecz po prostu mógł dać głowę, że inicjator całej czekowej afery musi się rekrutować z tych kół, które stoją blisko prokuratury lub też mają bezpośredni dostęp do tajemnic pokoju numer 483 naczelnym piętrem wielkiego gmachu sądów.

Inaczej miała się sprawa Zygmunta Kalinkowskiego. Tutaj major nie mógł oprzeć się wrażeniu, że młody człowiek wie coś więcej o całym napadzie, a może nawet sam maczał palce w kradzieży czeku.

Dlatego też Kalinkowski był dla prowadzącego dochodzenie jednym z potencjalnych sprawców napadu.

Każdy krok aplikanta był pilnie śledzony.

Dwu najlepszych ludzi z MO stało się jego nieodłącznymi cieniami.

A on albo tego nie dostrzegał, albo przynajmniej zrećźnie udawał, że nie zauważa swoich "aniołów stróżów".

Nadal również prowadzony był flirt z "bladym Nikłem" za pośrednictwem "Expressu".

Co parę dni ukazywały się drobne ogłoszenia o tajemniczej treści.

Major targował się zawzięcie.

Do pierwotnie proponowanej ceny wykupu czeku, jednego miliona złotych, skąpo dodawał po 100 lub 200 tysięcy.

W odpowiedzi nadchodziły krótkie listy pisane w ten sposób, że nabrały arkusza papieru naklejanosłowa lub litery wycięte z tytułów "Expressu".

Przeciwnik majora również w tych listach nieznacznie obniżał cenę.

Listy te przeważnie wrzucane były do skrzynek pocztowych w obrębie urzędu pocztowego "Warszawa-Sejm" lub też na poczcie mieszczącej się przy ulicy Świerczewskiego, parę domów od gmachu sądów.

Te targi skończyły się na sumie 1700000 złotych, którą obie strony zaakceptowa-

ły. Z kolei major poprosił, aby jego tajemniczy kontrahent zgłosił się do dyrektora "Budexu" celem ustalenia miejsca i sposobu wypłaty.

Odpowiedź, jaką otrzymał, była grubiańska.

Na tym urwały się rokowania.

- Twój "blady Niko" jakoś więcej się nie odzywa- zagadnął majora prokurator - co to znaczy?

-Przypuszczam, że te rozmowy były mupotrzebne dla uzyskania czasu.

Widocznie, według niego, chwila podjęcia pieniędzy z "Donaubanku" jest już bliska i dalsze przeciąganie rozmów, o których na pewno wiedział, że niemogą doprowadzić do niczego, uznał za niecelowe.

Stąd jego ostatni, ordynarny wybryk i późniejsze milczenie.

- A my cona to?

-Mysiały rzeczy również zbliżamy się do rozwiązania tej całej sprawy.

- Masz coś konkretnego?

-Są różne poszlaki i różni ludzie, wśród których prawdopodobnie znajduje się główny inicjator całej afery.

Zobaczmy niedługo.

Ton, jakim major to powiedział, niepozwalał prokuratorowi poznać, czy to bluff oficera milicji, który nie chce jeszcze przyznać się do porażki, czy też mówi gracz mający w swoich kartach co najmniej cztery asy w ręku.

Jeszcze dwa dni upłynęły w pozornym spokoju.

Major i jego ludzie mozolnie zajmowali się swoją metodą eliminacyjną.

W prokuraturze wykańczano ostateczną redakcję aktu oskarżenia przeciwko "Lisowskiemu i innym".

Aplikant Kalinkowski spędzał pół dnia w prokuraturze, a następnie, aż do zamknięcia, siedział na basenie "Legii" ku niezbyt wielkiemu entuzjazmowi swoich dwóch cieni, którym wcale nie uśmiechało się codzienne wielogodzinne moczenie w niezbyt ciepłej wodzie basenu.

Trzeciego dnia major wpadł do pokoju prokuratora.

Wyjął z teczki papier i podał go Jerzemu Kurowi.

Była to decyzja prokuratora dzielnicowego, uchylająca tajemnicę listową w stosunku do korespondencji nadchodzącej pod adresem Zygmunta Kalinkowskiego, aplikanta sądowego, zamieszkałego w Warszawie na Ujazdowie.

- Miałem nosa - powiedział major - że postarałem się tę decyzję.  
Patrz, co twój ukochany aplikant dzisiaj otrzymał.

To mówiąc major podał prokuratorowi niebieską kopertę zagranicznym, austriackim znaczkiem pocztowym.

- Czytaj!

Prokurator wyjął kartkę papieru listowego, napisanego maszyną, energicznym pismem.

Drogi Zygmuncie!

Uśmiełem się serdecznie dostawszy Twój list z opisem wszystkich perypetii, jakie przeżyłeś.

Uważam, że powinieneś dobrze obrugać tego niedołęgę.

Przecież mógł Cię zabić.

Swoją drogą nie wiem, czy ośmieliłbym się zaryzykować coś podobnego.

No, ale wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Bardzo Cię proszę, bądź uważny i broń Boże nie spiesz się niepotrzebnie.

Tutaj, w Wiedniu, wszystko załatwiłem pomyślnie, wiedzą o wszystkim i spokojnie czekają.

Tydzień lub miesiąc zwłok nie gra żadnej roli.

Dostałem prospekty pięknej wycieczki.

Wyjazd Genui przez Neapol, Barcelonę, Gibraltar i Lizbonę na Wyspy Kanadyjskie.

Stamtąd na Wyspy Bahama i przez Kanał Panamski na Hawaje.

Powrót przez Filipiny, Singapur, Indie, Cejlon, Suez, Aleksandrię do Włoch.

Trzy miesiące podróży dookoła świata.

I tanioccha!

Zaledwie po 3000 dolarów.

Chwała Bogu, możemy sobie nato pozwolić.

Zarezerwowałem od razu miejsca dla nas obu.

Należy Ci się taki mały odpoczynek po tych przejściach.

Ściskam Cię serdecznie, do rychłego zobaczenia

Twój.

(jakiś nieczytelny zygzak)

Bardzo zdziwiony prokurator dwukrotnie przeczytał list i dokładnie obejrzał kopertę.

Na jej odwrotnej stronie, tam, gdzie się zazwyczaj umieszcza adres nadawcy, znajdowała się mała pieczętka: "Alfacotex-Wien.

Wipplingerstr.

UI".



Adres ten był doskonale znany prokuratorowi.

Figurował nawet w aktach "białego gangu".

Inżynier Lisowski w swoich zeznaniach dokładnie opisał firmę należącą do Polaka, który parę lat temu uciekł do Wiednia, "wybrał wolność" i w małym lokalu mieszczącym się w suterenie przyruchliwej, handlowej ulicy założył "interes handlowy", nastawiony wyłącznie na kontakty z turystami z Polski.

Tutaj można było wszystko sprzedać, nie wyłączając polskich złotych, i wszystko kupić, co tylko przedstawia wartość dla przemytu.

Obrotny właściciel firmy załatwiał jeszcze różne inne podejrzane zlecenia - między innymi był oficjalnym agentem "białego gangu" na Austrię.

Lisowski, posługując się papierem firmowymi pieczęciami cementowni, której był dyrektorem, wystawił firmie "Alfacotex"

formalne przedstawicielstwo, pozwalające jej załatwiać na terenie Republiki Austriackiej wszelkie czynności związane z nielegalnym importem cementu szybko sprawnego 404 i jego sprzedaż konsorcjum budującemu zapórę pod Linzem.

W swoich zeznaniach Lisowski wyjaśnił również, że "Alfacotex" opłacała frachty przewozowe i inkasowała pewne sumy od konsorcjum, przesyłając je następnie inżynierowi, który w ten sposób mógł opłacać członków "białego gangu" na terenie Polski.

- Wiesz, Stachu, czytam i oczom nie wierzę - powiedziała ze smutkiem prokurator - takie miałem zaufanie do tego chłopaka.

- Gdzie on jest?

- Protokołuje właśnie jakąś rozprawę na sali numer 4, na drugim piętrze - odpowiedziała panna Wilska.

Jeden z trzech ludzi, którzy weszli do pokoju prokuratora razem z majorem, natychmiast wyszedł.

Drugi zaproponował:

- Panie majorze, my obsadzimy korytarz i schody.

- Dobrze - zgodziłem się major - ale nie ruszać go.

Niech tu sam przyjdzie.

W tym pokoju wszystko załatwimy.

Pocichu, bezsensacji.

- Rozkaz, panie majorze.

- Wychodząc, cicho zamknęli za sobą drzwi.

114

Prokurator siedział przy biurku bez słowa,

- Nie martw się, Jerzy.

Nie takie zawody zdarzają się w życiu.

Osiem milionów podróży dookoła świata to czasem zbyt duża pokusa dla młodego człowieka, mającego w perspektywie posadę podprokuratora w Płocku.

- Ciągłe w to nie mogę uwierzyć - mówiła Wilska - aby Zygmunt mógł zdobyć się na taką rzecz.

Byliśmy w dużej przyjaźni.

Oczywiście niech pan, majorze, nie myśli coś złego.

Nieraz mi się ten chłopak zwierzał ze swoich kłopotów i planów życiowych.

Nie dalej jak parę dni temu mówił, że tak mu przykro, iż mu nie wierzycie i że jest śledzony.

- Więc wiedział o tym?

- Tak!

Nawet śmiał się, że będzie miał dużą zasługę w nauczaniu dwóch pracowników KGMO pływania.

Podobno jeden z nich zrobił ostatnio duże postępy, zwłaszcza w "delfinie".

Bardzo się śmiała, gdy Zygmunt opowiadał, jak to obaj wzdrygają się włączając do zimnej wody.

To były tylko takie niewinne figle.

- Ten figiel - powiedział surowo major, pokazując list ciągle leżący na biurku - jest mniej niewinny.

- Czy chcesz go od razu na miejscu przesłuchać?

- zapytał prokurator.

- Tak.

Najlepiej będzie z miejsca zadać mu parę pytań.

Właściwie to formalność, ale trzymajmy się ściśle litery prawa.

Przypuszczałem również, że będzie ci przykro samemu podpisywać nakaz aresztowania.

Z góry więc zaopatrzyłem się w ten papier w Prokuraturze Dzielnicowej.

- Bardzo ci dziękuję.

Rzeczywiście, jakoś głupio aresztować swojego najbliższego pomocnika, któremu tak się ufało i okazywało tyle przyjaźni.

- Mam również nakaz rewizji.

Pojedziemy stąd od razu do jego mieszkania na Ujazdowie.

- Liczysz na to, że znajdziesz czek?

- Nie wiem.

Raczej nie.

Skoro wiedział, że go śledzimy, w domu nie ukrył czeku.

Albo tak go schował, że nie znajdziemy.

Drewniany domek, ogródek, a naokoło duży park.

Miliony miejsc do schowania małego kawałka papieru, że do końca świata nikt go nie odkryje.

Raczejliczę, że

115.

w końcu Kalinkowski załamał się i sam nam wskaże miejsce ukrycia czeku.

A możesz spróbować dalej z nami pertraktować, już nie za pośrednictwem "Expressu".

Może nawet

ydałbym mu ostatnią szansę.

". - Jaką?

; - Jeszcze nie wiem.

Musiałbym to uzgodnić z moimi władzami, a one z koleiz MHZ-em.

W tej sprawie najważniejszy jest przecież czek "zachowanie twarzy" na zewnątrz.

Aco do rewizji, to chociaż nie przypuszczam, że znajdę czek, może onajednak dostarczyć innych interesujących materiałów.

Przecież Kalinkowski nie był sam, poza swoim wiedeńskim przyjacielem ma współnika czy też pomocnika w Warszawie.

"Blady Niko" nie jest postacią fikcyjną, ale osobą z krwi i kości.

Trzeba go również odnaleźć.

Może to nas przybliży do listu z "Donaubanku"?

W tej chwili do pokoju wszedł Kalinkowski.

Położył na stole teczkę z aktami i w krótkich słowach streścił prokuratorowi przebieg rozprawy, którą protokołował.

- Przepraszam, panie majorze, że jeszcze nie przywitałem się z panem, ale najpierw służba.

- Doskonale rozumiem.

Ja też jestem na służbie!

I to w roli listonosza!

- Jak to listonosza?

- Właśnie przyniosłem list adresowany do pana.

Przepraszam, że nie został doręczony przez autentycznego listonosza, ale okoliczności zmusiły nas do tego - tu major podał aplikantowi fatalne pismo.

Zygmunt Kalinkowski szybko przeczytał list.

Obejrzał kopertę.

Przez moment po jego twarzy przebiegło zdziwienie, potem przestraszenie, ale szybko się opanował.

Gdy zwrócił się do majora, tylko mu głos nieco drżał:

- Czy ma pan nakaz aresztowania, czy sam go mam wypisać?

Major pokazał mu nakaz Prokuratury Dzielnicy.

- Spodziewałem się tego!

- Aplikant był już zupełnie spokojny.

- Przekonywanie pana majora o mojej niewinności naniec by się nie zdało.

Pan major i tak by mi nie uwierzył.

Niewierzył mi pan zresztą od początku.

Najlepszy dowód, że je-

116

stem od dawna śledzony.

A tymu pismu, czarno na białym, mógłbym przeciwstawić tylko głośne twierdzenie, że niemam nic wspólnego z tą całą aferą.

Firmę "Alfacotex" znam tylko ze sprawy "białego gangu", a list został wysłany właśnie dlatego, żeby mnie dokleić do sprawy i spowodować moje aresztowanie.

Cóż, udało się, jestem osaczony i bezsilny.

- Zygmunt!

Wytłumacz się!

Ratuj się!

- Wilska mówił przez łzy.

Kalinkowski uśmiechnął się gorzko.

- Cóż ja mogę zrobić.

Pętlę na mojej szyi zaciśnięto bardzo precyzyjnie i solidnie.

- Czy pan zainicjował na siebie napad?

- Sucho zapytał major.

- Nie!

- Czy pan przyznaje się do zabrania z aktu prokuratury czeku "Donaubanku" na 80 000 dolarów?

- Nie!

- Czy pan wie, gdzie jest ukryty czek?

- Nie!

- po raz trzeci odpowiedział Kalinkowski.

- Daję panu jeszcze ostatnią szansę - mówił major.

- Na kogo pan czekał w kawiarni "Sejmowej" w przeddzień napadu od godziny 19.

30 do 20.

30? Do kogo pan wtedy dzwonił z aparatu przy szatni?

- Odmawiam odpowiedzi.

- W imieniu prawa aresztuję pana - major wygłosił tradycyjną formułkę.

- Tu jest nakaz rewizji.

Pojedziemy zaraz na Ujazdów.

Major otworzył drzwi.

Do pokoju weszli agenci MO i wyprowadzili aplikanta.

Zanimi wyszedł major.

W pokoju nastąpiła długa chwila ciężkiego milczenia.

Wkońcu przerwał ją Wilska, mówiąc:

- Ciągle nie mogę uwierzyć w jego winę.

- Niech pani, Halinko - powiedział prokurator - załóżyna maszynę  
czysty arkusz papieru.

Z jednym odpisem.

Podyktuję pani list.

Halinka usiadła przy maszynie.

Prokurator kilka razy przeszedł się po pokoju, jak gdyby namyślając się  
nad treścią tego, co ma powiedzieć.

Wreszcie zaczął:

117.

Do Pana Prokuratora Wojewódzkiego dla Województwa Warszawskiego

W związku z wypadkami zaszłymi ostatnio na powierzonym mi odcinku pracy, w szczególności w związku z zabraniem do domu akt prokuratorskich i wykradzeniem z nich czeku "Donaubanku" przez przydzielonego mi aplikanta sądowego, Zygmunta Kalinkowskiego, stwierdzam, że jako wiceprokurator dopuściłem się poważnych zaniedbań służbowych i wykazałem niedostateczną czujność.

Wobec powyższego proszę o natychmiastowe zwolnienie mnie z zajmowanego stanowiska i wyznaczenie mojego następcy dla przekazania mi prowadzonych przez mnie spraw, do czasu wszczęcia w stosunku do mojej osoby postępowania dyscyplinarnego bądź karnego, a to z art. 286 Kodeksu Karnego.

Wiceprokurator (-) Jerzy Kur

Wilska pisała połykając łzy.

Prokurator, skończywszy dyktowanie listu, uważnie go przeczytał i podpisał.

- Od razu go zaniósę.

Im wcześniej, tym lepiej.

Wziął pismo i wyszedł z pokoju.

Nie upłynął nawet kwadrans, jak Jerzy Kur wrócił.

Wilska spojrzała nań pytająco, ale nie rzekła ani słówka.

Prokurator usiadł przy biurku i starając się swojemu głosowi nadać możliwie najbardziej obojętny ton, powiedział:

- Szef przeczytał moje podanie, podał jej wyrzucił mnie z pokoju, nazywając ją pożegnaniem "starym bałwanem".

- Kochany!

- zawołała z entuzjazmem sekretarka.

- Ja?

- Nie!

Kochany szef!

I jak trafnie pana ocenił!

Prokurator udawał, że się gniewa, ale Wilska widziała, że w gruncie rzeczy jest bardzo zadowolony zarówno z reakcji swojego zwierzchnika na prośbę o dymisję, jak i z. . .  
łez swojej sekretarki.

Dyżurny milicjant przyprowadził do gabinetu jakiegoś wezwanego na dzisiejszy dzień naprze-

śłuchanie aresztanta, i praca potoczyła się swoją kolejką.  
Nie było nawet czasu nadłuższą rozmowę o Kalinkowskim.

W parę godzin później zadzwonił major.

Poinformował, że w mieszkaniu aplikanta nie znaleziono nic podejrzanego.

Natomiast na malutkim podwórku fińskiego domku jeden z prowadzących rewizję znalazł w śmietniku żółtą, mocno zwiniętą kulkę papieru.

Po jej rozprostowaniu okazało się, że jest to jednak ćwiartka z żółtej okładki, w jaką zazwyczaj prokuratura oprawia swoje akta.

Podalszym poszukiwaniem znaleziono pozostałe trzy ćwiartki.

Nosiły one sygnaturę akt "białego gangu" i napis "tom VII" - tensam, który rzekomo został zrabowany Kalinkowskiemu w czasie napadu.

Pomimo dalszych szczegółowych poszukiwań czeku nie odnaleziono.

Opowiedziawszy Wilskiej o wynikach rewizji, prokurator ze smutkiem stwierdził, że niestety, choć trudno w to uwierzyć, wina aplikanta nieulega wątpliwości.

- To straszne - Wilska była szczerze przejęta.

- Chłopak złamał sobie całą przyszłość.

Czego to te pieniądze ludźmi nie robią.

Muszę zadzwonić do Zosi Samaszkówny i zawiadomić ją o wszystkim.

Mimo że tak pogniewała się na mnie i mimo że ma narzeczonego, przypuszczam, że trochę durzyła się w Zygmunście.

Pamiętam, jak nam tutaj zemdląła wiadomość o napadzie na niego?

- Podtrzymałem ją w ostatniej chwili.

Mogła sobie dobrego guza nabić, bo leciała wprost na moje biurko.

Jednakże Zosia, do której Wilska natychmiast zadzwoniła, wysłuchała złej nowiny bez żadnych komentarzy.

Sucho podziękowała za wiadomość i położyła słuchawkę.

W ciągu następnych paru dni major codziennie przesłuchiwał Kalinkowskiego.

Ten zaprzeczał wszystkiemu.

Twierdził, że nic nie wie o napadzie i nie rozumie, skąd wzięła się teczka po aktach "białego gangu" w śmietniku na podwórzu jego domu, oraz co znaczył list, który otrzymał z Wiednia od nieznanej sobie osoby.

Zaprzeczył również, że przed dniem napadu był w kawiarni "Sejmowej".

Dopiero po skonfrontowaniu z Rękawkiem przyznał w końcu, że siedział tam kilkadziesiąt minut, aby trochę

odpocząć i napić się kawy przed czekającą go jeszcze pracą.  
Natomiast kategorycznie zaprzeczał nadal, żeby tam się kimś umawiał lub żeby znał "bladego Nika", z którym wtedy był Rękawek.

W ogóle twierdził, że nie rozglądał się po sali.

Wypił kawę, posiedział i wyszedł.

Wszelkie usiłowania, aby z byłego aplikanta sądowego wydobyć coś więcej, spaliły na panewce.

Nawet przeprowadzone bez świadków i bez protokolowania rozmowa majora z Kalinkowskim w jego celi więziennej, gdzie major niedwuznacznie proponował: wolność za czek - nie dała rezultatów.

Zygmunt odpowiedział krótko, że czeku nie wziął i nie ma pojęcia, gdzie on może być.

Major, mający przecież duże doświadczenia w prowadzeniu najrozmaitszych spraw, czuł, że teraz stanął przed jakimś niewidzialnym murem.

Wszystko wiązało się logicznie, a jednak nie był zadowolony z rezultatów.

Wina Kalinkowskiego była niewątpliwa.

W świetle dowodów w zupełności wystarczających do natychmiastowego przekazania sprawy prokuraturze i sporządzenia aktu oskarżenia.

Mimo to major nie umiał oprzeć się wewnętrznemu przekonaniu, że coś tu nie jest w porządku.

Jeżeli liczył, że badania odcisków palców na kopercie, w które jemu przesłano prokuratorowi Kurowi akta "białego gangu" posuną sprawę naprzód, to bardzo się mylił.

Daktyloskopia wykryła jedynie odciski palców pracowników poczty.

Innych śladów nie było.

Major powrócił więc jeszcze raz do swoich zapisków w zielonym brulionie.

Jeszcze raz odnowa przestudiował wszystkie dokumenty, protokoły przesłuchań, zeznania świadków - wszystko to znał prawie na pamięć.

A jednak.

Jednak ciągle wydawało mu się, że właściwe rozwiązanie jest blisko, bliżej, bodaj ręką sięgnąć, ale gdzie?

Gdzie?

Na to pytanie daremnie usiłował sam sobie odpowiedzieć.

Czuł, że ta sprawa zaczyna go niesłuchanie męczyć.

Już dawno przestała być zwykłym, szablonowym dochodzeniem.

Urosła do poważnego problemu - stała się punktem honoru i ambicji

zawodowej tego oficera, którego wszyscy dotychczas tak chwalili za jego  
zdolności i wyni-

120

ki w pracy.

A teraz na "głupiej" zdawałoby się sprawie, ten "zdolny, robiący karierę  
oficer" utknął w beznadziejny sposób.

Dni upływały.

Major zrozumiał, że należy się spieszyć.

Czek w każdej chwili mógł znaleźć się w Wiedniu, a wtedy już wszystko by  
przepadło.

Kalinkowski był wprawdzie cenną zdobyczą, ale w tej sytuacji mniej  
chodziło o ludzi - bardziej o ten niewielki kawałek papieru.

Zresztą Kalinkowski miał współnika lub współników, a oni byli  
nawolności i na pewno nie siedzieli bezczynnie.

Tego dnia major, jak zwykle w ostatnich czasach, spał źle.

Ostatnio cierpiał na bezsenność.

Nawet gdy zasypiał, sen nie dawał wypoczynku i uspokojenia.

Mózg nieumiał się wyłączyć i pracował, pomimo że ciało zapadało w  
bezwład.

Wstał jeszcze przedsiódma.

Po cichu, żeby nie budzić żony i dzieci, poszedł do łazienki, umył się i  
zaczął golić.

Nagle wydał głośny okrzyk.

- Co się stało?

- zawołała pani Maria niezupełnie jeszcze rozbudzona.

- Co za idiota ze mnie!

- Major wyskoczył z łazienki z jednym policzkiem namydlonym, z  
drugim już wygolonym.

- Ale kretyn!

Wszystko było jasne jak na dłoni.

Wszystko napisane.

Czytałem kilkadziesiąt razy i nic.

Mam! Mam!

- Co masz?

Co ci się stało?

- Pani Maria z niepokojem obserwowała męża, gotowa przypuszczać coś  
najgorszego.

Zerwała się z łóżka, szybko wkładając szlafrok.

- Tyle tygodni męczę się nad sprawą tego czeku.

Wiesz którego?

Mówiłem ci nieraz.

Tak się wszystko zacięło, że ani rusz.

Gryzło mnie to, że nie masz pojęcia.

Nic ci nie mówiłem, ale nawet po nocach dręczyła mnie ta sprawa.

Spać nie mogłem.

A sprawa była prosta.

Taka jasna.

Od samego początku.

A ja cymbał niczego się nie domyślałem.

Dopiero teraz, przy goleniu, od razu wszystko zrozumiałem.

- Kiedy masz takie dobre myśli przy goleniu, to może rzucisz pracę w milicji i weźmiesz się za pisanie felietonów

121.

do pism literackich - roześmiała się pani Maria, uspokojona wreszcie co do stanu zdrowia swojego męża.

- Dobrze!

Pod warunkiem, że będziesz śpiewać.

, Oboje się roześmieli.

-.-Wariacie!

Dokończ się golić, a ja zaraz zrobię śniadanie  
zakomenderowała żona, wypychając męża do łazienki.

- Nic nie rób.

Zaraz biegnę do biura.

- Nie puszczę cię bez śniadania.

Już je podaję.

Major szybko przełknął kawę, nie dojadł kawałka chleba z masłem i wypadł za drzwi.

W swoim pokoju natychmiast wyciągnął z szafy akta sprawy.

Gorączkowo je przeglądał i bardzo z siebie zadowolony, poprosił o samochód służbowy.

Najpierw pojechał do pewnego komitetu blokowego na Powiślu.

Później odwiedził Prokuraturę i przeglądał tam pewną teczkę personalną.

Następnie był w biurze ewidencji ludności, potem złożył wizytę w Pałacu Mostowskich w tamtejszym biurze paszportowym i wreszcie w "Orbisie", gdzie uważnie studiował prospekty wycieczek zagranicznych.

Dopiero przed samą czwartą wrócił do siebie na Ksawerów.

Promieniał radością.

- W totka szóstkę trafiłeś?

- spytał go któryś z kolegów.

- Znacznie więcej.

W totka to tylko głupi milion, a ja trafiłem od razu osiem.

Nazajutrz zrana major Krzyżewski zameldował się pułkownika Zienkiewicza.

Ten wysłuchał dokładnie raportu majora i zaakceptował bez zastrzeżeń dalszy plan postępowania.

- Macie rację, majorze - powiedział - tak będzie najlepiej.

Trzeba działać bardzo ostrożnie.

Będę dzisiaj u ministra i powiem mu o waszym odkryciu.

Na pewno ucieszysz się, bo z MHZ-u co parę dni do niego dzwonią.

Nawet z pretensjami i wymówkami, że nic nie robimy.

Mnie się też od "starego" kilka razy dostało.

No, winszuję wam, żeście na to wpadli.

Jeszcze tego samego dnia major odwiedził swoich przyjaciół w prokuraturze.

Na sakramentalne pytanie "co słyhać" opowiedział parę najnowszych anegdotek i zauważył, że właśnie jest bez przydziału.

122

- Może masz jakąś ciekawą sprawę?

Chętnie bym się teraz czymś zajął.

- Z tobą to szlag człowieka może trafić.

Wykrztuś wreszcie, co ze sprawą czeku.

- O, z tym już skończyłem!

Kalinkowski siedzi.

Wszystko w porządku.

- A co z "bladym Niko"?

-Dziękuję, zdrów.

Wczoraj był w "Palladium" na filmie "Liga dżentelmenów", na tym seansie o 20.

15. Widzieliście ten film?

Warto się wybrać.

Dobra komedia.

Lubię angielski humor.

- Za to ja nie lubię twojego humoru.

Wiesz, ktosi jest "blady Niko", i nie aresztujesz go?

Co z czekiem?

- Myślę, że "blady Niko" dobrze go schował i czek jest w porządku.

Prokurator próbował jeszcze zadawać przyjacielowi szeregi pytań, ale major, nadal w doskonałym humorze, dawał wymijające odpowiedzi.

Wreszcie zaproponował:

- Wiecie, po tej całej sprawie Kalinkowskiego warto by się trochę rozzerwać.

Może w najbliższą sobotę wybierzemy się, jakto się mówi z angielska, na weekend, a z polską "nawyraj"?

Pułkownik Zienkiewicz z MSW obiecał mi dać swój wóz.

Wyskoczmy sobie na Śląsk.

Ale nie natenczarny, zadymiony, który wszyscy znamy.

Na ten piękny, Zielony Śląsk, ze ślicznymi wzgórzami, starymi lasami pełnymi dębów i buków wśród sosen i brzoź.

Zwiedzimy pałac w Pszczynie największym w Polsce zbiorem chińskich waz i chińskiej porcelany.

W Wiśle wykapiemy się tymślicznym basenie.  
Po drodze wstąpimy do Żywca nanajlepsze w Polsce piwo, prosto z  
beczki, zobaczycie, co to za nektar.  
Wyjedziemy od razu po pracy, około drugiej.  
Podjadę po was pod gmach sądów.  
Dobrze?

Prokurator, trochę obrażony na majora, chciał odmówić, ale w oczach  
Wilskiej zobaczył tyle radości, że zgodził się na tę eskapadę.  
Dopiero po wyjściu major przyszło mu namysł, że Krzyżewski coś knuje.  
Nagle zrobił się takim turystą!  
I to właśnie wtedy, gdy nie chce nic mówić o sprawie czeku dla "białego  
gangu".

123.

Zimny, brzydki i deszczowy sierpień jakby na-  
^:, glesobie przypomniał, że jest przecież najbardziej upalnym miesiącem roku, bo nagle nad Warszawą jednej nocy'wiatry przegnały gdzieś ciemne chmury, a od samego ranka słońce zaczęło przygrzewać.

Już na drugi dzień byłotak upalnie, że wielkie koła trolejbusów odciskały na rozmiękłym asfalcie wyraźnie swoje ślady.

W piątek major Krzyżewski zatelefonował samegorana,przypominając o wycieczce.

-Wiesz, Jerzy,taki upał, że wyrwiemy sięchyba wcześniej.

Przyjadę po was o jedenastej.

- Też masz pomysły!

Przecież pracujemy jak zwykle w sobotę do drugiej.

- To się urwiecie.

Będę czekał na parkingu przed barem mlecznym.

- TenStach chyba zwariował - powiedział prokuratoro do swojej sekretarki - myśli, że my tutaj w prokuraturzenic nie robimy i możemyjeździćna wycieczki w godzinachsłużbowych.

Jakie byłojednakzdziwieniezarówno prokuratora, jaki jego maszynistki, gdy w kilka minut potemzadzwoiłasekretarkaszefa, zawiadamiając, że kierownik prokuratury wojewódzkiej udziela im zwolnienia z pracy w sobotę od godziny jedenastej.

Gdy nazajutrz Halinka wraz z Jerzym Kurem wyszliprzed gmach sądów, czekała już tam nowa, zielona "Wołga".

Obok majora stał jakiś nieznany im mężczyzna.

- Poznajcie się.

Mój przyjaciel kapitanBurko.

Wilska przywitała się z kapitanem.

Prokurator podając mu rękę poznał go od razu.

Kapitan wprawdzie niebył w mundurze, tylko w jasnym letnim ubraniu, ale Kurwidywałgo nieraz jakobiegłego w sprawach wypadkówsamochodowych.

Wiedział również, że Durko sprawujeprzy komendancieMO funkcję "oficera do specjalnychporuczeń".

Kapitan usiadł przy kierownicy.

Wilskaobok.

Majorz prokuratorem usadowili się wygodnie z tyłu.

124

- Jak się zmęczysz, to cię zmienię- ofiarowała się Krzyżewski.

-Obejdzie się bez tego.

Nie będę ryzykował życia czworga ludzi.

- Kapitan, jak widać, nie przeceniał zbyt mocno zdolności szoferskich swojego przyjaciela.

Jazda była przyjemna.

Dobry humor majora udzielił się wszystkim pozostałym.

Kapitan prowadził wóz z tą pewnością siebie, jaką mają tylko nieliczni kierowcy-rajdowcy.

Dużo też opowiadał o tych imprezach Automobilklubu, w których ostatnio startował.

Otwarte okno samochodu duża szybkość sprawiały, że upalnie dawał się we znaki.

Szybko minęło Tomaszów- kapitan trochę kłął na niechlujne oznakowanie przejazdu przez miasto.

"Wołga" pędził w stronę coraz bliższego już Śląska.

W Katowicach kapitan zaproponował zjedzenie obiadu w restauracji hotelu "Polonia".

W niespełną pół godziny znaleźli się znowu w samochodzie, który zręcznie wymijając autobusy i samochody ciężarowe, wypełnione górnikami wracającymi z pracy, wydostał się na szosę w stronę Pszczyny. Tutaj postanowiono wykorzystać okazję i zwiedzić ciekawe muzeum, urządzone w dawnym pałacu książąt von Pless.

Pomimo że muzeum w sobotę po południu było już zamknięte, Krzyżewskiemu udało się jakoś odszukać kustosza i namówić go do pokazania wnętrza pałacu.

Z kolei zatrzymanosię jeszcze w małej kawiarence dla - jak powiedział major - "spróbowania, czy cykorii warszawska ma inny smak niż ta z prowincji".

Okazało się jednak, że zaopatrzenie Pszczyny w cykorię najwyraźniej szwankuje, bo kawa była zdecydowanie lepsza od mętnego, czarnego płynu podawanego w większości warszawskich lokali.

- Nocleg mamy zarezerwowany w Zebrzydowicach- rzucił od niechcienia major.

- A jutro wracając do Warszawy zwiedzimy Cieszyn i wpadniemy do Wisły - uzupełnił kapitan - napijemy się wody z studni trzech braci: Lecha, Czecha i Rusa oraz wykapiemy w najładniejszym basenie kąpielowym w Polsce- Wiśle.

Prokurator, który postanowił o nic nie pytać, milczał, chociaż od chwili, gdy w towarzystwie podróży poznał "oficera od specjalnych poruczeń", przestał wierzyć w wyłącznie turystyczny cel tej eskapady.

Trzeba było jechać z pięknej asfaltowej szosy i i najlepszą drogą jechać do pobliskich zresztą Zebrzydowic.

Po drodze major zaproponował jeszcze postój w pięknych pszczyńskich lasach, przez które właśnie przejeżdżali.

Opowiadał, jak to przed wojną w tych lasach żyło stado żubrów.

Gdy ostatni "panujący" w Pszczyń, Bolko von Pless, uciekł wraz ze swoją niemiecką służbą, a po lasach zaczęły się włóczyć bandy rozbitych oddziałów SS, miejscowi chłopcy schwytały niezbyt zresztą dzikie żubry i ukryli je we własnych oborach - aż do czasu przewalenia się frontu i odbudowy polskiej administracji.

Dzięki temu całe stado bez większych szkód ocalało.

Były to jedyne żubry, które ocalały w Polsce po drugiej wojnie światowej, ponieważ stadów Białowieży prawie całkowicie wytrzebili niemieccy kłusownicy.

Późnym wieczorem "Wołga" zatrzymała się przed niewielkim drewnianym baraczką, który ciągle jeszcze spełniał rolę "dworca kolejowego" w tym najruchliwszym punkcie granicznym naszego państwa. Do samochodu podeszli dwaj milicjanci.

Jeden z dystynkcji porucznika, zapytawszy wysiadających, czy to major Krzyżewski, zameldował mu oficjalnie, że jest kierownikiem miejscowego posterunku, że otrzymał telefonogram z Warszawy że "wszystko przygotowane według dyspozycji".

- Do przyjazdu pociągu mamy jeszcze dwie godziny - podał - może państwo pozwoli do mnie.

Żona coś tam przygotowała na kolację dla miłych gości.

Major grzecznie podziękował, ale porucznik nie chciał nawet słyszeć o odmowie.

- Tak rzadko mamy gości z Warszawy, i to z samej KGMO, nie róbcie nam zawodu - prosił - będzie również naczelnik urzędu celnego i dowódca placówki WOP.

Pokój dla panów przygotowaliśmy w Urzędzie Celnym, bo tutaj nie ma żadnego hotelu, a pani zrobi żonie tę grzeczność zatrzyma się u nas.

126

Na tak serdeczne zaproszenie nie można było odpowiedzieć odmownie, więc po chwili wszyscy przeszli do mieszkania

komendantamiejscowego MO.

Mieszkał on wygodnie w domku mieszczącym jednocześnie posterunek.

- Naczelniku- major zwrócił się do siwawego mężczyzny o żywych oczach ściągniętej, spalonej słońcem twarzy -mamy do pana i pańskich ludzi wielką prośbę.

-Myśmy też dostali telefonogram z Koszykowej, z Głównego Urzędu Celnego, aby być do dyspozycji panamajora.

W ciągu tych ostatnich dni dobrze się pocztanapracowała.

Nic, tylko same telefony ze stolicy -śmiał się naczelnik.

- Nasza prośba jest prosta.

Dzisiejszym "Chopinem" jedzie wycieczka "Orbisu".

- Jakim "Chopinem"?

- przerwał prokurator.

- "Chopin" - wyjaśnił porucznik - to pośpieszny z Warszawy do Wiednia.

Przejeżdża przez Zebrzydowice o godzinie 23 minut 55.

- Właśnie!

- potwierdził major - wycieczka "Orbisu" jedzie do Jugosławii wagonem sypialnym.

Będzie on przyczepiony do pociągu jako przedostatni wagon całego składu.

W tym wagonie przedział "D" jest zajęty przez trzech panów.

- O wycieczce wiemy.

Nawet wydałem już polecenie, aby więcej ludzi przyszło do pracy na wieczór.

Z taką wycieczką zawsze dużo roboty.

Bo to nie turystyka, tylko handel.

Z maszynami do pisania i z aparatami "Zorka" jadą po płaszcze skórzane, rękawiczki nylonowe i, z przeproszeniem pani, majteczki z podwiązkami jednocześnie.

W Wiedniu dokupią jeszcze sweterki.

My to dobrze znamy.

Już czekamy natych "turystów".

- Chodzi o to, naczelniku, żeby w tym przedziale "D" wasi ludzie zrobili tylko pobieżną rewizję.

O tak, tylko rzut oka do walizeczek.

Weźciedo tego najzręczniejszych.

Jeden zaś niech sięgnie do popielniczki.

Tam będzie zgniecione, puste pudełko po "Rarytasach".

Takie czerwone, wiecie?

Otóż niech wyjmie to pudełko i zajrzy do środka.

Znajdzie tam banknot pięćdziesięci dolarowy.

Wtedy, pro-

127.

sze, zapytajcie, czyje to dolary.

Nikt się do nich nie przyzna, celnicy więc poproszą wszystkich trzech panów narewizję osobistą z rzeczami do baraku.

Po ich wyjściu kapitan wraz zporucznikiem i jednym z celników przeprowadzi szczegółową rewizję całego przedziału.

Albow przedziale, albow przy jednym z trzech pasażerów znajdziemy rzecz, która nas bardzo interesuje.

- Ja sam pójde robić tę rewizję - zaofiarował się naczelnik - może od razu pan major nam powie, czego gdzie szukać po innych przedziałach.

Szkoda, że u nas w urządzenie matakich magików.

Łatwiej byłoby pracować, gdyby tak jeden z moich ludzi spojrzął w szklaną kulę mówił:

"ta paniz trzeciego przedziału ma w tubie pasty do zębów 100 dolarów.

Ten łysy w okularach schował w tabliczce czekolady 1000 koron.

Ta młoda z końskim ogonem ma w cukierkach 850 szylingów.

Ta z Krakowa, co już siódmy raz w tym roku jedzie do Pragi, schowała za pasek odpodwiązek 3500 koron.

To dopiero byłaby robota!

- Niestety, naczelniku.

W innych przedziałach i w innych wagonach musicie szukać sami.

Pamiętajcie, przedział "D"!

Gospodarze dopytywali się o nowinki z wielkiego świata.

Sami opowiadali dużo ciekawych rzeczy o życiu nad granicą, o codziennej pracy i niewyczerpanej wprost pomysłowości przemysłników.

- Kiedyś dostaję - mówił naczelnik - telefon z Warszawy.

Dzwoni dyrektor gabinetu jednego z ministrów, że pan minister jedzie do Czechosłowacji na jakieś rokowania.

Razem z jakimś dyrektorem.

Jadą w przedziale pierwszej klasy w tym i tym wagonie, więc żeby nie urazić zbyt nadmiernym dostojnym gości.

Dyrektor podał nazwiska jadących - ale czy to się zna wszystkich ministrów, wiceministrów i dyrektorów departamentów?

Ale coś mniemknęło, bo nigdy takiej praktyki u nas nie było, żeby anonsować podróże ministrów i jeszcze przestrzegać przed zagładaniem do ich bagażu.

Za telefon więc i łączę się z swoją centralą.

Tam sprawdzili i zawiadomili mnie, że to zupełnie nieznanie nazwiska.

Dobrze wtedy obłowiliśmy

128

się przy rewidowaniu rzekomych dygnitarzy.

Samych dolarów mieli przy sobie przeszło cztery tysiące, nie licząc nielicznego sznurka pereł i paru innych kamyków.

A telefonowali po prostu pocztą.

- To jeszcze nic - zabrał głos komendant WOP-u.

- Niedaleko, tuż przy samej granicy, idzie droga do jednego przysiółków. Grunty i domy leżą nawet po obu stronach, część u nas, część w Czechosłowacji.

Toteż zawsze stawiamy tam posterunek i patrolujemy drogę.

Idzie taki patrol, a tu naprzeciwko ministrant i ksiądz "z Panem Bogiem".

Ministrant dzwoni, ile tylko ma sił.

Chłopaki zdjęli czapki, przyklękli, przeżegnali się, a ksiądz poszedł dalej.

Ale gdy go jeszcze ze dwa razy spotkali w ciągu paru następnych dni, to coś im się wydało podejrzanym.

Zatrzymali więc i grzecznie poprosili o dowód osobisty.

A ten jak niewsiadnie na nich: "komuniści, bezbożnik!"

"i grozi im wszystkimi mękami piekielnymi.

Chłopcy myślą sobie - gdyby to naprawdę był ksiądz, to przecież wyjąłby dowód, pokazał i poszedł dalej.

Więc go zabrali na stację.

A tam okazało się, że rzekomy ksiądz ułował mapę i sutannę prawdziwy "ornat" z kilkudziesięciu kieszeniami, a w każdej gumę do żucia, bo to było jeszcze wtedy, gdy do Czechosłowacji brało się "żuwaczki".

Pobożny ministrant też miał kilkanaście paczek pod komeżką.

W miłym nastroju kolacja dobiegła końca.

Zbliżał się czas przyjazdu "Chopina", więc wszyscy wrócili na stację.

Major, porucznik i naczelnik urzędu celnego zajęli się swoimi sprawami.

Wydawali polecenia, ustawiali ludzi.

Kierownik stacji zawiadomił, że pociąg przyjdzie o czasie.

Prokurator i Halinka, jako "bezrobotni", zostali w poczekalni.

Jerzy Kurs siedział na ławce, jego sekretarka stała w otwartym oknie.

Wreszcie długi rząd oświetlonych wagonów zatrzymał się na peronie.

Zaczął się zwykły w takich razach ruch.

Zbieranie i stemplowanie dowodów przez WOP, spisywanie dewiz i kontrola bagaży.

Na peronie wolno było nikomu wychodzić.

Major, który wybiegł z budynku stacyjnego, wrócił po chwili bardzo

podniecony.  
129.

- Są - powiedział szeptem, chociaż na sali nikogo nie było.

Prokurator zauważył, że malutka poczekalnia na stacji jest cała obstawiona.

Pod oknami, wychodzącymi na peron, stało dwóch wopistów.

W drzwiach przed dworcem ustawił się milicjant.

Drugi spacerował w pobliżu, na ulicy.

Drzwi wejściowe na peron otworzyły się.

Najpierw szedł celnik w zielonym mundurze.

Za nim trzech ludzi z walizkami i paczkami, z tyłu naczelnik.

Zanimirysowała się postać porucznika.

Jeden z cywilów, młody człowiek średniego wzrostu, szczupły, opalony, rozejrzał się ciekawie po pomieszczeniu, do którego go wprowadzono.

Spojrzał na prokuratora.

Widocznie wszystko zrozumiał.

Zbladł i jakby chciał zrobić krok do tyłu.

Widząc, że ma drogę odciętą, puścił trzymane w ręku paczki i skoczył w stronę otwartego okna.

Stojącemu na drodze dziewczynę odepchnął tak silnie, że aż upadła.

W pogoń za uciekającym rzucili się major, milicjanci i wopiści.

Prokurator podnosił z ziemi krzywioną z bólu Wilską.

Padając potłukła się dotkliwie i skaleczyła rękę odłamkiem szkła.

Po chwili major i milicjanci wprowadzili do poczekalni zbiega ujętego pokrótce w pościgu.

Widząc krew na rękud dziewczyny, major powiedział:

- Trzeba natychmiast założyć opatrunek.

Gdzie apteczka?

A tego zabrać do sąsiedniego pokoju.

Szczegółowa rewizja.

Oni wam pomogą - pokazał na dwóch pozostałych podróżnych - to moi ludzie.

Pilnowali go od Warszawy.

Wiedzą, czego szukać.

I od razu założyć mu kajdanki.

Ten ostatni rozkaz był już właściwie niepotrzebny, gdyż jeden z funkcjonariuszy MO właśnie w tej chwili obdarzał napastnika stalowymi "obrączkami".

Zawiaadowca stacji przybiegł z podręczną apteczką.

Major zρέcznie wydezynfekował niegroźną zresztą ranę i założył opatrunek, bandażując lewą rękę aż do łokcia.

Drzwi sąsiedniego pokoju otworzyły się.

- Znaleźliśmy - oznajmił tryumfalnie agent.

- Sprytnacholera.

Wziął dwie nowe setki, zlepil je, że utworzyły torebkę w środek to wsunął.

130

To mówiąc podał majorowi mały, podłużny kawałek papieru.

Krzyżewski rzucił okiem i rzekł:

- Panie prokuratorze, otoczek "Donaubanku".

Pozwolipan, że na razie zostanie u mnie.

Przekażemy go oficjalnie prokuraturze po przyjeździe do Warszawy.

Na salę wprowadzono zatrzymanego.

Był już zupełnie spokojny.

Tylko oczy wyrażały całą wściekłość i nienawiść.

Prokuratorz ciekawością przyglądał się młodemu człowiekowi.

Widział go chyba po raz pierwszy.

A może?

Tak, chyba mignęła mu - usiłował sobie przypomnieć - tapostać gdzieś na korytarzu gmachu sądów.

- Pozwolicie sobie przedstawić, panna Halina zresztą już go zna - powiedział drwiącym głosem major - pan Wiktor Samaszek, zwany przez przyjaciół "błady Wicio", brat panny Zosi Samaszkówny z Prokuratury Stołecznej i do niedawna szczęśliwy posiadacz 80 000 dolarów.

Nie gotówką wprawdzie, ale czekiem, co właściwie w Austrii niestanowi większej różnicy.

- Czy można już odprawić pociąg?

- spytał zawiadowca stacji.

- Jeżeli celnicy i WOP skończyli, to nie mamy tam już nic do roboty.

Jeden turystycznie zobaczy ani Wiednia, ani Jugosławii.

Przynajmniej przedłuższy czas.

Zawiadowca stacji włożył swoją czerwoną czapkę, i wziął "lizak" do ręki.

Po chwiliś nur wagonów przetoczył się przez stację i zniknął w ciemnościach nocy.

Tylko w wagonie sypialnym wiozącym wycieczkę "Orbisu"

długokomentowano fakt, że ani jeden z trzech pasażerów przedziału "D"

niewrócił na swoje miejsce.

Reszta, zwłaszcza ci doświadczeni "turyści", zapisujący się na każdą wycieczkę, na której można zarobić, twierdziła, że rewizją razem była bardzo krótka i pobieżna.

Większości walizek nawet nie otworzono.

- Przy tych trzech musieliszę dobrze obłowić.

Jak jednak poznali.

Mają nosa ci celnicy.

Kiedy weszli do wagonu, to ten ze złotym paskiem na czapce tylko popatrzył poprzeczniakach, raz przeszedł wagon i od razu zabrał się do tamtych.

131.

Tymczasem w poczekalni na stacji kapitan Durko pisał długie, urzędowe protokoły.

Kierownik miejscowego posterunku promieniał dumą.

Otrzymał polecenie od majora, aby z samego rana zadzwonił osobiście do komendanta MO na jego prywatny numer i zameldował mu o zatrzymaniu przestępcy i znalezieniu przy nim czeku.

Wydając to polecenie major powiedział, aby w raporcie podkreślić pomoc miejscowej milicji, WOP i urzędu celnego przy ujęciu Wiktora Samaszka, którego natychmiast pod dobrym konwojem odesłano najbliższym pociągiem do Warszawy.

- Proszę, Stachu, wyjaśnij mi tylko.

- Niczego teraz nie będziemy wyjaśniali.

Pogadamy tym w Warszawie.

Teraz czas spać.

Nazajutrz okazało się, że albo rana była poważniejsza, niż początkowo przypuszczano, albo Wilska musiała odnieść jeszcze inne obrażenia.

Dziewczyna czuła się źle, miała gorączkę i narzekała, że boli ją przy oddychaniu.

Postanowiono więc, wbrew protestom Wilskiej, zrezygnować z turystyki i zamiast jechać do Cieszyna i Wisły, najkrótszą drogą przez Rybnik, Żory i Katowice wrócić do Warszawy.

Zaraz po śniadaniu "Wołga" ruszyła w powrotną drogę.

Kapitan prowadził wóz pewną ręką.

Wskazówka na liczniku nie spadała niżej osiemdziesiątki.

Tylko przy przejazdach przez liczne miasta i miasteczka śląskie trzeba było jechać wolniej.

Kiedy wreszcie wydostali się na równą, szeroką szosę za Częstochową, motor "Wołgi" zagrał najwyższymi obrotami, a licznik pokazywał ponad 120 km.

Nic dziwnego, że przy takiej jeździe już przed trzecią po południu mijali rogatki Warszawy.

Kapitan o nic nie pytając skręcił z szosy Grójeckiej na ulicę Żwirki i Wigury, po czym przez Raławicką wjechał na Wołoską i zatrzymał samochód przed drzwiami szpitala MSW.

Tutaj po zbadaniu Wilskiej stwierdzono pęknięcie dwu żeber.

Lekarze chcieli chorą zatrzymać w szpitalu, ale Wilska się nie zgodziła.

Obandażowano ją więc odpowiednio i kapitan wraz z prokuratorem odwieźli

chorąaNowe Miasto.

Major, mieszkający prawie naprzeciwko

132

szpitala, pożegnał się zapowiadając, że jutro koło piątej popołudniu pozwoli sobie odwiedzić chorą.

Po powrocie do domu major przede wszystkim połączył się z swoim bezpośrednim zwierzchnikiem, pułkownikiem Włochowiczem, by go powiadomić o znalezieniu czeku i ujęciu sprawcy jego kradzieży. Pułkownik serdecznie gratulował majorowi sukcesu.

- A co do czeku, to porozumcie się z MSW.

Uważam, że trzeba zrobić odbitki fotograficzne i doręczyć je prokuraturze. Sam czek od razu przekażemy Ministerstwu Handlu Zagranicznego, aby znowu nie zapomniano, że to nie tylko ważny dokument śledztwa, ale również 80 000 dolarów żywą gotówką.

- Właśnie w tej sprawie chciałbym z pułkownikiem pomówić.

Mam ten czek w kieszeni w portfelu i chciałbym się jak najprędzej go pozbyć.

Nie bardzo mi się uśmiecha czekać z tym do jutra.

Chcielibyśmy z żoną gdzieś wyjść, a z takim bagażem jakoś nieporęcznie. Zostawić w domu w szufladzie biurkowej nie bardzo.

Pułkownik roześmiał się.

- Macie rację.

Zanieście po prostu na Ksawerów i tam oddajcie do depozytu oficerowi dyżurnemu, aby zamknął kasie.

- Tak jest, panie pułkowniku.

Ale ja już znam jednego, co tak nosił czeki, i wiem, co z tego wynikło.

- Nie przesadzajcie, majorze.

Zresztą między nami mówiąc, macie rację.

Po co ryzykować.

Zaraz przyślę powas samochód z jednym z naszych ludzi.

Razem zawieziecie czek do komendy.

Za godzinę było już po wszystkim.

Mały, biały papierek znalazł nareszcie spokojne schronienie w kasie pancernej KGMO, a major z widoczną ulgą schował do kieszeni odpowiednie pokwitowanie.

14.

Punktualnie o godzinie piątej major Krzyżewski nacisnął biały guziczek dzwonka domieszkania Wilskiej.

Drzwi otworzył prokurator Kur.

Majorują pod rękę  
133.

stojącego obok Zygmunta Kalinkowskiego i przepuszczając go przed siebie, wszedł za aplikantem.

- Zygmunt, nareszcie.

Ogromnie się cieszę.

Spotkaliście się na schodach?

- Pan major był takuprzejmy, że osobiście przyjechałmnie zwolnić więzienia.

Nie pozwolił nawet wstąpić dodomu, żeby się przebrać.

- Cowy tam spiskujecie w przedpokoju - rozległ się zzadrzwi głos Wilskiej - wejdźcie, proszę.

Po serdecznym przywitaniu się Wilskiejz aplikantemmajor, wskazując na Zygmunta, powiedział:

- Pozwólcie, że wam przedstawię: pan Zygmunt Kalinkowski, od dzisiaj podprokurator Sądu Powiatowego w Płocku.

Wszyscy pytająco spojrzeli na majora.

Najbardziej zdziwiony byłsamKalinkowski.

- Byłem dzisiaj u naszego ministra.

Złożyłem mu szczegółowy raport i wyjaśniłemprzyczyny, dla których musieliśmy, dladobrasprawy, przetrzymać pana w więzieniu.

Minister przychylił się do mojegopunktu widzenia i osobiście interweniował w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Zadwa, trzy dni dostanie pan oficjalnepismo.

- Nie wiem, jak panu dziękować, majorze.

Przepraszamteżza moje zachowanie.

Byłem na pana nieco rozżalony.

Major roześmiał się.

- Nicnie szkodzi.

Sam na pana miejscu byłbym nie tylko rozżalony,ale nawet wściekły. I tak dał pan dowóddużego opanowania.

- Jur!

Mam tam wszafie butelkę czerwonego wina.

Otwórz ją.

Trzeba oblać taką okazję - zaproponowała Halina - musimywypić za pomyślnośćnowego prokuratora.

Jerzy Kur zajął się odszukaniem i odkorkowaniem wina, a dzwonek wprzedpokoju znowuodezwał się.

Tym razem major poszedł otworzyć.

Wrócił z powrotem w towarzystwie kapitana Durki.

Tymczasem wino i kieliszki znalazły się na stole, a prokurator poprosił majora o wyjaśnienie wątpliwości nurtujących świadków ostatniego aktu afery "czeku dla białego gangu".

134

- W tej całej sprawie - zaczął major - ty Jurku zrobiłeś jeden, a ja aż dwa błędy.

Od początku, od pierwszego bodaj dnia mieliśmy cały materiał śledztwa przed sobą.

Nieraz i nie dziesięć czytaliśmy akt oskarżenia i nie zauważyliśmy najbardziej oczywistych faktów.

- Jaki to błąd?

- prokurator był bardzo zdziwiony.

- Wszyscy członkowie "białego gangu" zeznawali, a najwyraźniej podkreślił to w swoich zeznaniach Macioszek, że inicjator całej afery ze sprzedażą cementu "szybkosprawnego 404" do Linzu, dyrektor Lisowski, nikogo z członków gangu nie wtajemniczał w swoje sprawy pieniężne. Zawsze osobiście opłacał członków gangu, a kiedy potrzebował pieniędzy, to jeździł do Warszawy.

Ani do cementowni, ani pod prywatny adres Lisowskiego nigdy nie przychodziły z zagranicy żadne przekazy walutowe.

Macioszek dodatkowo zeznał, że Lisowski pytał go kilkakrotnie o kurs dolar na czarnej giełdzie i interesował się możliwością sprzedaży dolarów w Lublinie.

Mieliśmy te zeznania od początku, czytaliśmy je aż do znudzenia, a nie umieliśmy obaj wysnuć z tych faktów oczywistego wniosku.

- Jakiego wniosku?

Ciągle nie rozumiem - przerwał prokurator.

- Wniosku jasnego jak słońce!

Lisowski opłacał swoich ludzi zawsze tylko w złotówkach.

Przecież nie przywiózł ich z Wiednia.

Z Austrii mógł przywieźć tylko dolary, ale wątpię, żeby ryzykował osobiście przemyślenie zbyt dużego sumy.

W Wiedniu Lisowski miał do spraw finansowych swojego przedstawiciela w osobie właściciela firmy "Alfacotex" - musiał mieć również drugiego rezydenta, tym razem w Warszawie, aby tutaj upłynniać dolary bądź realizować przekazy na PKO.

- I tym człowiekiem był Samaszek - wykrzyknęła Wilska.

- Teraz o tym wiemy.

Wtedy nie wiedzieliśmy o jego istnieniu, niemniej powinniśmy byli

wywnioskować, że taki "minister finansów białego gangu" musi gdzieś być. Niewiem, w jaki sposób Lisowski zetknął się z Samaszkiem, może po prostu pod gmachem PKO na ulicy Traugutta, dość żmłody pikieciarz został szybko prawą ręką Lisew-  
135.

skiego.

Początkowo sprzedawał mu dolary, później nawet na nazwisko Samaszka zaczęły przychodzić różne przekazy.

Były one nadawane przez "Alfacotex" z różnych krajów Europy, aby nie wzbudzać żadnych podejrzeń.

W ten sposób Samaszek po pewnym czasie został dość dokładnie wprowadzony w sprawę "białego gangu".

Teraz wypada mi powiedzieć parę słów o Wiktorze Samaszku.

Najmłodszy w rodzinie, rozpieszczony zarówno przez rodziców, jak przez cztery starsze od niego siostry, zdołał jakoś zdać maturę, a potem dostać się na uniwersytet, na polonistykę.

Rychło jednak nasz bohater doszedł do przekonania, że młodość bez pieniędzy niewiele jest warta.

Porzuciwszy studia zaczął szukać szczęścia gdzie indziej.

Był przystojny.

Miał duże powodzenie u "babelek".

Próbował najpierw jako dobrze zapowiadający się młody sutener.

Szybko jednak zorientował się, że z "obyczajówką" w Pałacu

Mostowskich nie ma żartów.

Jego przyjaciel "piękny Żoko" dostał właśnie 7 lat zatakanie sprawki.

Wycofał się więc i postanowił poświęcić swoje zdolności ułatwianiu ludziom wymiany pieniężnej z wykluczeniem PKO i Narodowego Banku Polskiego.

Z czasów swoich studiów uniwersyteckich wyniósł przyzwisko "literat", o którym wspominał w swoich zeznaniach Rękawek.

Krótką zresztą karierę sutenerską zakończyła bójka na noże przed "Słowianką" i pierwsza w życiu wizyta w Mokotowie.

Ale jakoś wykręcił się z tego i ostatecznie obrał drogę "pikieciarza".

Na to, żeby być czymś w czarnej giełdzie, brakowało mu, oczywiście, funduszków.

Ponieważ Samaszek rzeczywiście wyglądał dość wymoczkowato i miał bardzo jasną cerę, pikieciarz nazwał go "bladym Wiktorem".

Rękawek, który jeszcze przed wojną musiał pamiętać ówczesny szlagier "blady Niko", zmylony tym, w swoich wyjaśnieniach cały czas mówiło "bladym Niko", co bardzo utrudniało odnalezienie właściwej osoby.

- No, dobrze, to wszystko się zgadza, ale w jaki sposób doszedłeś do odkrycia, że to właśnie Samaszek jest organizatorem całej afery?

- Początkowo podejrzewałem pana Zygmunta.  
Złapałem goprzecież na kłamstwie.  
Milczał nadal uparcie, nawet wówczas, gdy mu dowiodłem, że kłamie.  
Myślałem, że ród Don Kichotów wygasł ostatecznie w La Manchy.  
Jak mogłem przypuszczać, że jeszcze jeden przedstawiciel tego rodu zachował się w Płocku?  
Później, gdy dowody przeciwko panu Kalinkowskiemu zaczęły wyskakiwać jeden za drugim, jeszcze bardziej utwierdzałem się w przekonaniu o jego winie.  
Ale gdy tych dowodów zaczęło być aż za dużo, zrozumiałem, że ktoś ordynarnie wrabia go po prostu w tę całą sprawę.  
Jeżeli Zygmunt był taki sprytny, aby zorganizować napad na siebie samego, to nie powinien być aż tak naiwny, aby listy wrzucać w najbliższym sobie urządzie pocztowym, a okładkę po aktach podrzeć naczewo i schować w śmietniku na swoim podwórku.  
Również im dłużej czytałem list z Wiednia, tym bardziej czułem, że jest on sfingowany.  
Ani jeden list z firmy "Alfacotex" nie nadszedł nigdy do Lisowskiego, nawet w tym czasie, kiedy to nie budziłoby najmniejszych podejrzeń.  
A tu nagle, i to w tym czasie, gdy Kalinkowski wiedział, że jest śledzony, nix tego ni owego listonosz przynosi list tak kompromitującej treści.  
Zrozumiałem, że to wszystko sączyjeś manewry, aby doprowadzić do wsypy.  
Ktoś usiłował wywołać wrażenie, że Kalinkowski jest głównym sprawcą całej afery.  
Udałem, że mu wierzę, że cel swój osiągnął.  
Naturalnie stało się to kosztem pana Zygmunta.  
Ale może to nawet lepiej, że przyszły prokurator poznał życie z tej drugiej strony barykady.  
Tego nie uczą ani na uniwersytecie, ani nawet na kursach dla aplikantów.  
Takie doświadczenia mogą być przydatne w przyszłej karierze prokuratorskiej.  
Ostatecznie pan Kalinkowski stracił za ledwie 17 dni.  
Dla młodego człowieka to nic nie znaczy.  
W zamian uzyskał nominację, na którą musiałby czekać jeszcze co najmniej pół roku.

- Nie rozumiem tylko, panie majorze - zabrał głos młody podprokurator - co organizator afery uzyskiwał, zamykając mnie w więzieniu.

Anigo nie znam, anigo niewidziałem.  
137.

Przeciwno panu nic osobiście na pewno nie miał.  
Doprowadzając do pozornego ujęcia sprawcy, Samaszek zyskiwał  
bezcenną rzecz - swobodę ruchów.  
Myślał, że jest już bezpieczny.  
Dlatego podjął próbę wyjazdu z czekiem.  
Wszystkie manewry "bladego Wiktora" od początku zmierzały do  
zyskania na czasie i do tego, żeby podejrzenia odsiebie oddalić.  
Zapisał się na wycieczkę do Jugosławii wiedział doskonale, że w razie  
najbliższego podejrzenia dostanie paszportu.  
Dlatego musiał sprokurować winnego i rzucić go nam na pożarcie.  
Zresztą mógł mieć obawy, że pan Zygmunt może przerwać milczenie  
powiedzieć nam, nakogo to oczekiwał w kawiarni "Sejmowa" w  
przeddzień napadu.  
Tu trzeba naszą scenę wprowadzić jeszcze jedną postać.  
Pannę Zosię Samaszkównę, urzędniczkę Prokuratury Stołecznej.  
Rodzoną siostrę "bladego Wiktora".  
Bardzo przystojna i miła panna miała, jak to często się zdarza, całe tłumy  
wielbicieli.  
Żadnego jednak, który by chciał poważniej się zadeklarować.  
Dość, że latka mijały, a piękna Zosia ciągle miała rutkę.  
Niczego tak nie pragnęła jak właśnie zamążpójścia.  
Za kogokolwiek.  
Kto pierwszysię trafi.  
I oto na jej horyzoncie zjawia się młody, przystojny przybysz z Płocka,  
któremu notabene zapowiadano dużą przyszłość.  
Nasza Zosia zmiejsca zaczęła zarzucać na niego swoje sieci.  
Młody człowiek był miły, grzeczny, chętnie flirtował z piękną dziewczyną,  
ale zanic nie chciał przekroczyć granicy tego flirtu.  
Gdy więc zjawił się inny, tym razem poważny rywal, jeden z sędziów z  
"powiatówki", Zosia natychmiast przyjęła jego deklarację, ale na  
wszelki wypadek nie zrywała z poprzednikiem.  
Jedynie starała się te kontakty utrzymać w jak największej tajemnicy.  
Powtarzam - na wszelki wypadek, ponieważ nie traciła nadziei, że może  
Zygmunt zdecyduje się wreszcie stanąć na tym wymarzonej przez nią  
ślubnym kobiercu.  
Pracując w prokuraturze i flirtując z aplikantem prokuratora Kura, panna  
Samaszkówna była oczywiście doskonale wtajemniczona w sprawę  
"białego gangu".

Natomiast prawdopodobnie wiedziała, że jej ukochany braciszek jest ważną postacią w tymże gangu.

U siebie w domu Zosia musiała coś

138

mówić o tej sprawie.

Wiktor postanowił wyciągnąć od niej jak najwięcej wiadomości, aż wreszcie dowiedział się o istnieniu czeku.

Lisowski używając Samaszki różnych usług finansowych, nigdy nie miał najmniejszego nawet zamiaru wtajemniczać go we wszystko.

Fakt, że konsorcjum w Linzu na zakończenie całej transakcji ma

Lisowskiem przekazać jeszcze 80 000 dolarów, był nikomu nieznany.

Z tej sumy Lisowski planował tylko drobną część dać swoim współpracownikom, rozsiewając ich po całej Polsce, samemu zaś wyjechać za granicę.

Oczywiście - ciągnął dalej major - nasz Wiktor, jak tylko dowiedział się o czeku, z miejsca postanowił nim zawładnąć.

Najpierw planował włamanie do gabinetu prokuratora.

Dostać się tam było bardzo łatwo, jak to później stwierdziliśmy,

dzięki łatwości sprzątaczkę pani Ignasiowej.

Ale przeszkodę stanowiła masywna stalowa kasa, której w żaden sposób nie dałoby się otworzyć systemem bezszmerowym.

Dlatego też nasz bohater po dokonaniu paru wizji lokalnych - stał Jerzy przypominał sobie jego twarz, bo pod pozorem odwiedzin siostry kręcił się często po korytarzu - wpadł na inny pomysł.

- Tak, teraz przypominam sobie dokładnie - powiedziała panna Wilska - kilka razy zaglądał do naszego pokoju, właśnie wtedy, gdy nie było prokuratora, i o coś pytał.

- Samaszek doskonale wiedział o flircie swojej siostry z panem Zygmuntem.

Postanowił to wykorzystać.

Ten chłopak miał naprawdę dużo sprytu.

Ostrzegł narzeczonego siostry, że Kalinkowski coś za bardzo kręci się koło Zosi.

Zazdrosny sędzia wpadł w pasję i zrobił narzeczonej taką awanturę, że pracownicy wszystkich prokuratur znalazły szczegóły.

Wiedząc od Zosi, że Kalinkowski właśnie opracowuje paginację aktu oskarżenia, Samaszek zadzwonił pewnego popołudnia, właśnie w przeddzień napadu, do prokuratury.

Pewna dziewczyna, namówiona przez niego, udając głos Zosi poprosiła pana Zygmunta o spotkanie w "bardzo ważnej sprawie".

- Gdy - ciągnął major dalej - Kalinkowski wykręcał się pod pozorem,  
że musi koniecznie skończyć tego dnia pra-  
139.

cę, jego rozmówczyni, rzekoma Zosia, podsunęła mu pomysł zabrania roboty do domu.

Samaszek dobrze wyreżyserował tę rozmowę, także w końcu Kalinkowski, który wiedział o awanturze między narzeczonymi i miał widocznie pewne wyrzuty sumienia, zgodził się na spotkanie.

Umówiono się na pół do ósmej w "Sejmowej".

Pan Zygmunt posiadał tamprostoz prokuratury.

Wiktor miał możliwość przekonać się, że aplikant ma ze sobą grubo wypchaną teczkę.

Z tą teczką musiał więc na drugi dzień rano pójść do pracy.

Samaszek był pewny, że w tej teczce znajdują się akta sprawy, te akta, o które mu chodziło.

Dalszy ciąg już znacie - skończył major z uśmiechem.

- No, nie bardzo - Wilska nie była dostatecznie przekonana - to wszystko, co pannam powiedział, jest prawdą, ale w jakis sposób major wpadł nato, że sprawcą jest właśnie Samaszek?

- To było właśnie moje Waterloo - odpowiedział major - nie umiałem wysnuć logicznego wniosku z oczywistych faktów.

Przecież już w czasie naszej pierwszej rozmowy pani sama mówiła mi o Zosi, i o jej bracie.

Niestety, niezwróciłem na to większej uwagi.

Dopiero pewnego dnia przypomniałem sobie pewien drobny szczegół.

- Jaki?

- Mówiła mi pani, że Zosia Samaszkówna, dowiedziawszy się o wypadku Kalinkowskiego, zemdląca.

Reakcję tę mogło wywołać albo silne uczucie do aplikanta, albo obawa o siebie.

Wykluczając z różnych względów pierwszy powód, zadałem sobie wówczas pytanie: dlaczego się tak mocno przejęła?

I odpowiedziałem sam sobie: ponieważ wie o tej całej sprawie znacznie więcej.

Wie albo domyśla się, kto jest sprawcą napadu, i drży, że odkrycie prawdy zamiesza ją również do tej sprawy.

Przeprowadzenie wywiadu osobie pięknej Zosi, ustalenie jej powiązań rodzinnych i towarzyskich było już dziecinnaigraszką.

Postać "bladego Wiktora" pasowała jak ulał do wszystkich przesłanek śledztwa.

Dla pewności pokazałem Rękawki kilka zdjęć, wśród których

była również fotografia Wiktora.  
Poznał natychmiast.  
Bez błędnie wskazał winowajcę.

140

Pojechałem następnie do biura paszportów, aby przejrzeć listę wyjeżdżających do Austrii.

Nazwiska Samaszkanie znalazłem.

Wróciłem więc do "Orbisu", gdzie poinformowano mnie, że wycieczki do Jugosławii jeżdżą teraz przez Austrię.

W ten sposób jest szybciej, a przy okazji można odwiedzić Wiedeń.

Nawet w tym przejawiał się niepospolity spryt "błatego Wiktora".

Nie zapisał się na wycieczkę do Austrii, ale do Jugosławii.

A w Wiedniu po prostu by czmychnął.

- Jeszcze jedno, Stachu - przerwał prokurator - jeżeli już ustaliłeś ponad wszelką wątpliwość, że to właśnie Samaszek jest ostatnim ogniwem "białego gangu" w Polsce, dlaczego woziliście nas do Zebrzydowic?

Przecież mogliście go aresztować w Warszawie.

- Oczywiście.

Ale co wówczas czekiem?

Zupełną pewnością, że znajdę przy nim czek, mogłem mieć tylko tam, na granicy.

Dlatego też, żeby go zmylić i skłonić do wzięciaczku z sobą, aresztowałem Kalinkowskiego i postarałem się, aby Samaszek jechał w przedziale z moimi ludźmi, obserwującymi go bez przerwy.

Stąd ta mała komedia z pięćdziesięcioma dolarami, zresztą falsyfikatem, wypożyczonym z naszej "dewizówki".

Do ostatniej chwili, nawet idąc na rewizję, "błady Wiktor" był pewny siebie.

Oczywiście nie miał przy sobie żadnych walut, żadnego szmuglu.

Na ogół celnicynie przyglądają się uważnie tym paru polskim setkom, które każdy wyjeżdżający ma prawo mieć w kieszeni.

- Przeszedłeś w tej sprawie samego siebie - chwalił go z entuzjazmem prokurator.

- Co się stało z Zosią Samaszkówną?

- zapytała Wilska.

- W tej sprawie nie zapadła jeszcze żadna decyzja.

Z dotychczasowego śledztwa nie zebraliśmy dostatecznego materiału stwierdzającego jej umyślną winę.

Wiktor Samaszek zeznał, że siostra nic nie wiedziała o telefonie

wyznaczającym Zygmuntowi Kalinkowskiemu randkę w "Sejmowej".  
Samaszek twierdzi, że na jego prośbę do prokuratury zadzwoniła jakaś jego  
znajoma.

Myślała, że tu po prostu chodzi o jakiś kawał.

Mówiąc

141.

przez telefon, udawała płacz i dlatego Zygmunt nie mógł rozróżnić głosu.

- To by się zgadzało - potwierdził Kalinkowski - tam.

ten był niekształcony, ale wiedziałem o awanturze, jaką Zosi zrobił jej narzeczony, i nie dziwiłem się, że mówi przez łzy.

- W każdym razie, bez względu na to, czypannie Samaszek zrobimy sprawę, czy umorzemy dochodzenie w stosunku do jej osoby, będzie miała dyscyplinarkę za ujawnianie tajemnicy śledztwa.

- A co będzie z nagrodą?

- zastanawiał się kapitan.

- Pułkownik Zienkiewicz rozmawiał dzisiaj ze mną o tej sprawie i opracowały plan.

Nagroda będzie podzielona między tych wszystkich, którzy przyczynili się do ujęcia Samaszka i odzyskania czeku.

A więc przede wszystkim Rękawek.

- Rękawek?

- zdziwił się Kalinkowski.

- Jana Napiórkowskiego trzeba traktować jak każdego uprawnionego do udziału w nagrodzie.

Jego zeznania przyczyniły się do zdecydowania sposobu do wykrycia przestępstwa.

On pierwszy zidentyfikował Samaszka.

Oczywiście potrafi mu się z nagrody to "aconto", które bezpośrednio zainkasował od "Białego Wicia".

Ale i tak na dolę Rękawka przypadnie ładne parę tysięcy.

Może to ostatecznie przekona go, że przestępstwo nie popłaca, a uczciwością można zarobić więcej.

- Nie jestem przekonany o tym, że Rękawek zmieni swoje zapatrywania, no, ale.

- Nagroda - przerwał te wywody major - podzielona będzie również między tych funkcjonariuszy milicji z Walicowa, którzy skontaktowali mnie z Rękawkiem.

Znajdzie się w niej część dla celników i dla milicji Zembrzydowic oraz dla towarzyszy ostatniej zagranicznej podróży Samaszka.

Pułkownik Zienkiewicz na tej liście umieści także pewną młodą osobę, która pierwsza zwróciła uwagę na Wiktora Samaszka i która, jak głoszą motywy, "z narażeniem własnego życia przeszkodziła przestępcy w próbie ucieczki".

- Strasznie się cieszę- Halinka aż klasnęła w dłonie.

-Jerzy, schowamy te pieniądze na książeczkę jako zaczątekprzyszłego spółdzielczegomieszkania, dobrze?

- A pan,majorze?

Przecież pan jest na tej liście?

Przedewszystkim pan powinien otrzymać nagrodę.

- Ja?

Ja przypuszczam, żebędę mógłprzez półrokwspóźnić się na obiad.

- Dlaczego?

-Mój udział w nagrodzie akurat wystarczy na telewizor.

Przez pół roku żona moja będzie przed nim siedziała,łapiąc wszystkie audycje.

KONIEC

143.

Nota redakcyjna

Powieść Jerzego Edigeya "Czek dla białego gangu" jest jedenastą pozycją, która ukazuje się w Serii z Warszawą.

Po raz pierwszą powieść ta była wydana przez "Iskry" w 1963 r. w serii "Klub Srebrnego Klucza".

Pomysł wydawania serii z Warszawą zrodził się na spotkaniach Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd.

Dotąd wydaliśmy:

1. Helena Sekuła - "Tęczowy cocktail"
2. Helena Sekuła - "Kieliszek Bordeaux"
3. Helena Sekuła - "Wstęga Kaina"
4. Zygmunt Zeydler-Zborowski - "Czwarty klucz"
5. Piotr Kitrasiewicz - "Sherlock Holmes i koledzy"
6. Zygmunt Zeydler-Zborowski - "Nieudany urlop majora Downara"
7. Anna Kłodzińska - "Królowa Nocy"
8. Anna Kłodzińska - "Jak śmierć jest cicha"
9. Zygmunt Zeydler-Zborowski - "Za dużo kobiet"
- 10.

Jerzy Edigey - "Uparty milicjant"

Zapraszamy wszystkich zainteresowanych do naszego grona.

Prowadzimy stronę internetową Klubu MOrd [www.klubmord.com](http://www.klubmord.com)

[www.klubmord.com](http://www.klubmord.com)

[www.klubmord.com](http://www.klubmord.com)

oraz na Forum Mordu

[www.klubmord.com](http://www.klubmord.com)

[www.klubmord.com](http://www.klubmord.com)

[www.klubmord.com](http://www.klubmord.com)

Nasza inicjatywa ma charakter pasjonacki!

i skierowana jest do miłośników starych polskich kryminałów.

Pozdrawiam

Grzegorz Cielecki (prezesik13wp.

pl)prezes Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd

144

W/ykaz książek Jerzego Edigeya

1. Czek dla białego gangu (1963) Klub Srebrnego Klucza

2. Mister MacArek i jego business (1964) Jamnik

3. Trzy płaskie klucze (1965) Jamnik

4. Sprawa Niteckiego (1966) Jamnik

5. Wagon pocztowy GM38552 (1966) Klub Srebrnego Klucza

6. Baba-Jaga gubitrop (1967) Jamnik
  7. Umrzesz jak mężczyzna (1967) Klub Srebrnego Klucza
  8. Elżbieta odchodzi (1968) Tukan
  9. Przy podniesionej kurtynie (1968) Jamnik
  10. Szkielet bez palców (1968) Ewa wzywa 07.
  11. Pensjonatna Strandvagen (1969) Tukan
  12. Człowiek z blizną (1970) Klub Srebrnego Klucza
  13. Strzały na rozstajnych drogach (1970) Jamnik
  14. Zbrodnia w południe (1970) Klub Srebrnego Klucza
  15. Żółta koperta (1970) Tukan
  16. Błękitny szafir (1971) Jamnik
  17. Jedna noc w Carltonie (1971) Tukan
  18. Minerva-Palace-Hotel (1972) Tukan
  19. Testament samobójcy (1972)
  20. Gang i dziewczyna (1973) Ewa wzywa 07.
  21. Śmierć czeka przedoknem (1973) Klub Srebrnego Klucza
  22. Śmierć jubilera (1973) Jamnik
  23. Diabeł przychodzi nocą (1974) Ewa wzywa 07.
  24. Szklanka czystej wody (1974) Jamnik
  25. Najgorszy jest poniedziałek (1975) Klub Srebrnego Klucza
  26. Strzał na dansingu (1975) Czerwona Okładka
  27. Walizka z milionami (1975) Jamnik
  28. Dwie twarze Krystyny (1976) Jamnik
  29. Dzieje jednego pistoletu (1976) Czerwona okładka
  30. Tajemnica starego kościołka (1976) Ewa wzywa 07.
  31. As trefl (1978) Ewa wzywa 07.
  32. Nagła śmierć kibica (1978) Jamnik
  33. Sprawadła jednego (1978) Czerwona Okładka
- 145.

34. Alfabetyczny morderca (1981) Klub Srebrnego Klucza
  35. Pomysł za siedem milionów (1982) Jamnik
  36. Siedem papierosów "Maracho" (1982) Ewa wzywa 07.
  37. Zdjęciez profilu (1984) Tukan
  38. Operacja "Wolfram" (1985) Tukan
  39. Wycieczkaze Sztokholmu (1987) Tukan
  40. Uparty milicjant (2010) Seria z Warszawą  
146
- Książki wydawnictwa "WielkiSen"  
do nibeii na stronie internetowej  
[www.klubmord](http://www.klubmord).

eomPierwsza seta

Pierwszy tom serii, w której dokonujemy przeglądu wszystkich polskich powieści kryminalnych, jakie ukazały się od roku 1945 do początku lat 90.

Staram się zainteresować Czytelników gatunkiem.

Oferujemy ogromną różnorodność podejścia do tematu: są to teksty, które można uznać za klasyczne recenzje, są noty, luźne refleksje, analizy.

Jednych interesuje sposób popełnienia zbrodni, inni oglądają tło społeczno-obyczajowe, zagląдают do lokali gastronomicznych - każdy z Klubowiczów zмага się bowiem z gatunkiem na swój własny sposób.

"Serią po kryminałach"

czyli Katalog konesera kryminałów z PRL

Miłośnicy powieści kryminalnych z epoki PRL-u mieli do tej pory poważny problem z gromadzeniem, ulubionych książek wydawanych w klasycznych seriach:

Klub Srebrnego Klucza, z Jamnikiem, Labirynt, Różowa Okładka oraz wielu innych, nie było bowiem żadnego wykazu czy katalogu, grupującego w kompleksowy sposób te bezcenne dla koneserów pozycje. Nasz katalog wypełnia tę bolesną lukę informując, co, kiedy i w jakiej serii wydano, co z pewnością niejednemu ułatwi kompletowanie zbiorów.

Seria z Warszawy Helena Sekuła

"Tęczowy cocktail"

"Tęczowy cocktail" ukazał się po raz pierwszy w roku 1962 w legendarnej serii kryminalnej wydawnictwa Iskry - Klub Srebrnego Klucza.

Już w tej debiutanckiej powieści Heleny Sekuły można dostrzec wiele cech właściwych dla późniejszych dzieł pisarki.

Warto zwrócić uwagę przede wszystkim na wielowątkowość fabuły, nagłe zwroty akcji, a przede wszystkim galerię intrygujących, mocnych postaci kobiet.

Helena Sekuła

"Kieliszek Bordeaux"

"Kieliszek Bordeaux" może z powodzeniem uchodzić z "Tęczowym cocktailem" za dylogię.

Łączy te dzieła czas powstania, trunkowy tytuł oraz osoba śledczego - majora Korosza - , jednego z najzdolniejszych oficerów dochodzeniowych Komendy Głównej Milicji".

Tym razem major Korosz musi odkryć, ktoż to był łaskaw otruć tytułowym kieliszkiem wina, wzbogaconym o stosowną dawkę cyjanku potasu, niejakiego Igora Ordon - z zajęcia producenta ceramiki, z zamiłowania zaś hurtowego łamacza serc niewieścich.

Helena Sekuła

"Wstęga Kaina"

"Wstęga Kaina" to trzeci tytuł, który ukazują się w Serii z Warszawy. Napisana z epickim rozmachem, wypełniona wartką fabułą kryminalną i tchnącą wielkim światem powieść Heleny Sekuły miała zostać opublikowana przez wydawnictwo Iskry w słynnej serii Klub Srebrnego Klucza.

Niestety, nie miała szczęścia.

Maszynopis zakwalifikowano do druku dopiero w roku 1990, kiedy seria przestawała istnieć.

Dotąd zatem "Wstęga Kaina" jest znana jedynie tym Czytelnikom, którzy mieli szczęście zetknąć się z pierwodrukiem gazetowym.

Zygmunt Zeydler-Zborowski

"Czwarty klucz"

Powieść kryminalna Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego "Czwarty klucz" nie miała dotąd wydania książkowego.

Była publikowana w odcinkach na łamach "Kurierza Polskiego" w roku 1981.

Miłośnicy twórczości tego autora pewno nie będą zawiedzeni.

Wielkie emocje i zazdrości kulminują morderstwem przy użyciu sztyletu.

Ginie piękna kobieta, a podejrzanych nie brakuje.

Brawurowe zwroty akcji, cięte dialogi oraz szczypta erotyki, to niezaprzeczalne atuty "Czwartego klucza".

Piotr Kitrasiewicz

"Sherlock Holmes i koledzy"

Książka Piotra Kitrasiewicza "Sherlock Holmes i koledzy" jest monografią o detektywach - począwszy od pierwszego, którego powołał do życia na kartach swoich powieści Edgar Allan Poe, poprzez wszystkich bardziej lub mniej znanych, aż po Jamesa Bonda.

Autor omawia wprawdzie tylko rdzennych detektywów z Zachodu, ale nie wątpimy, że prędzej czy później napisze monografię poświęconą kapitanowi Glebowi, porucznikowi Szczęsnemu, majorowi Downarowi, majorowi Koroszowii innym tuzom rodzimych organów ścigania.





Wejdź na  
[www.klubmord.com](http://www.klubmord.com)  
zgłoś akces do Klubu MOrd

klub MOrd  
[www.klubmord.com](http://www.klubmord.com)  
i kupuj następne książkiw Serii z Warszawąpo cenie klubowej.

